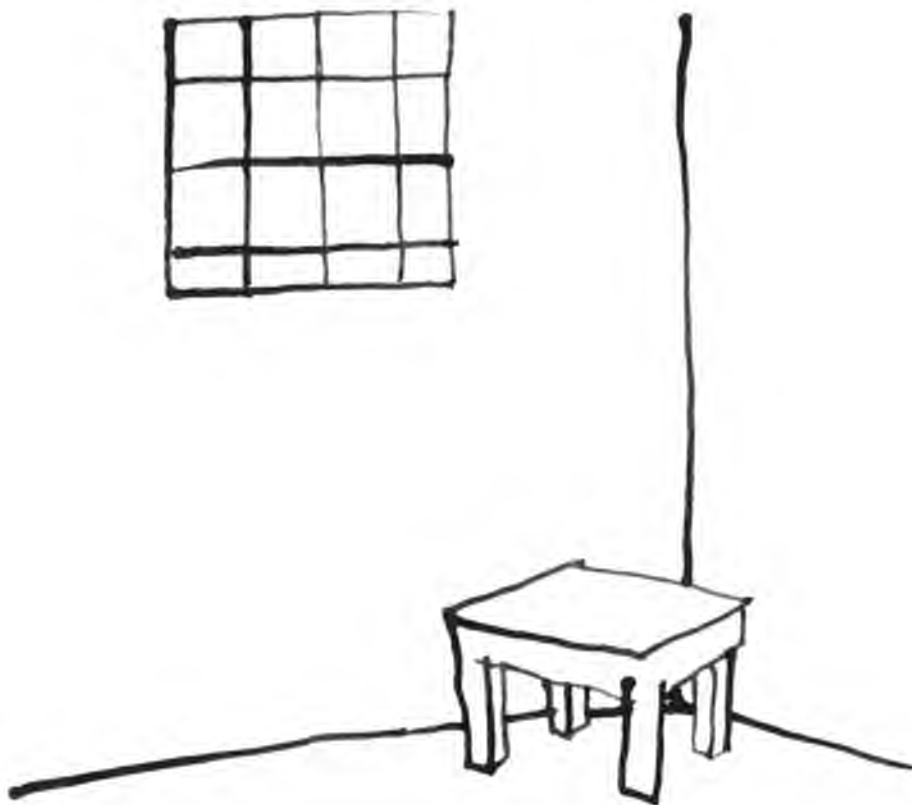
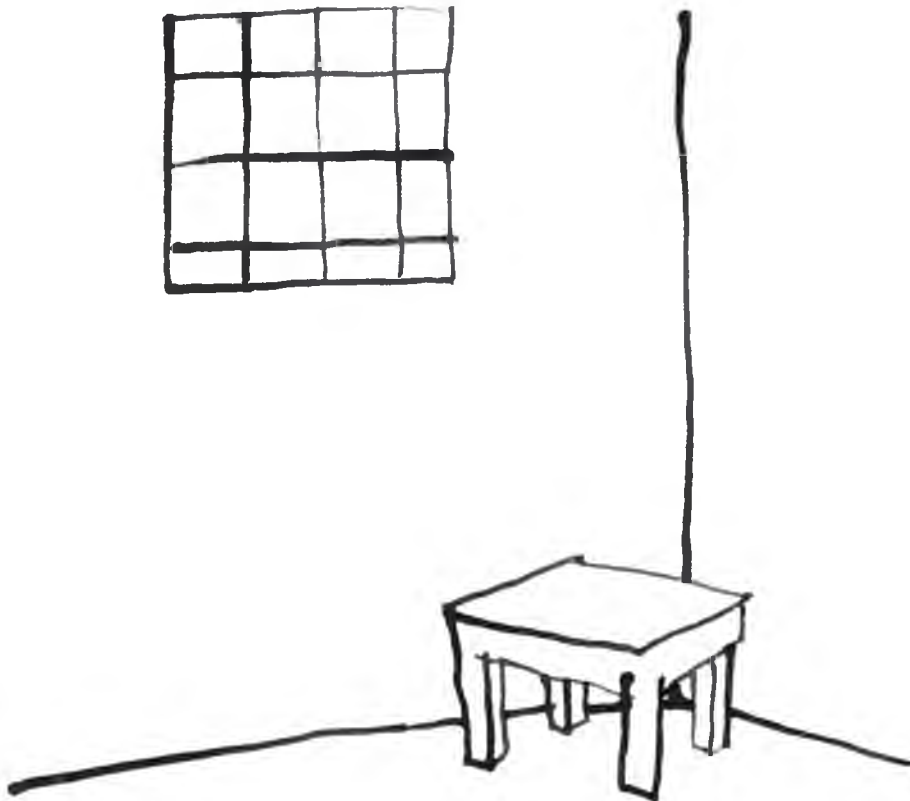


Rozważania o prawie i sprawiedliwości



JAN WIDACKI

**Rozważania
o prawie i sprawiedliwości**



OFICyna WYDAWNICZA AFM
Kraków 2007

Spis treści

Od Autora	7
Przedmowa, Andrzej Zoll	9
 Przestępczość i karanie	
Przestępczość z telewizora	15
Prywatka Lecha Kaczyńskiego	20
W Polsce jest dziś więcej więźniów	25
Czy polskie prawo chroni przestępców?	28
Tradycja wbijania na pal	32
Wieszanie za zbrodnie	36
Pijani kierowcy i my	40
Czy bestia zachowuje godność ludzką?	43
Dlaczego przestępczość maleje?	46
O polityce, przemocy i karze śmierci	49
 Policja, sądy i tajne służby	
Dyskretny urok tajnych służb	57
Jakiej policji Polacy potrzebują	63
Mądry Polak po Słupsku?	70
Pistolet dla Jasia Kowalskiego?	73
Nie tylko policjant i sędzia	76

Adwokat – pomocnik mordercy	83
Jak usprawnić sprawiedliwość	87
W obronie sądów	92
O prawie, które może być okrutne	95

Lustracja i inne rozliczenia

Nowe ślubowanie jako początek wielkiej reformy	101
Bezpieka po podwójnym szoku	104
Casus Egona Krenza	109
Lustracja po polsku	111
Dlaczego nie podoba mi się Ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej	118
Niebezpieczna ustawa	122
Lustracja po raz kolejny	125
Spór o IPN	129
Bolszewickie trybunały	134
Jak wykazać swą czystość i niewinność	137
Polska jako „dom Wielkiego Brata”?	140
Infamia	143
Lustracja po polsku – kolejna odsłona	147
Niepamięć i beztroska	151
„Esbecy zawsze”, „esbecy nigdy”... ..	157

Demokracja, politycy i bezpieczeństwo

Demokracja	163
Niebezpieczeństwo niekompetencji	166
Po co komu ta abolicja?	170
Polscy politycy o bezpieczeństwie (między demokracją a demagogią).....	174

Od Autora

Książka zawiera artykuły i felietony, które w ciągu ostatnich dziesięciu lat publikowane były przede wszystkim w „Gazecie Wyborczej”, „Tygodniku Powszechnym” oraz miesięczniku „Kraków”. W większości poświęcone są one prawu i sprawiedliwości, gdyby słowom tym przywrócić ich pierwotny sens. Część tekstów powstała we współautorstwie z prof. Zbigniewem Hołdą, wybitnym prawnikiem-humanistą, oraz z dr. Krzysztofem Kozłowskim, ongiś ministrem spraw wewnętrznych w pierwszym niekomunistycznym rządzie i zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego” w czasach świetności pisma.

Zadaniem uczonego jest nie tylko dialog z kolegami, specjalistami w jakiejś wąskiej dziedzinie, nie tylko nauczanie studentów, ale także popularyzacja nauki. Ten cel staje się obywatelskim obowiązkiem, gdy chodzi o nauki społeczne lub prawne. Starąłem się i staram spełnić ten obowiązek.

Jeszcze kilka słów na temat szaty graficznej książki, zwłaszcza rysunków. Zdaję sobie sprawę z tego, że ilustrowanie książki traktującej o poważnych tematach rysunkami typu komiksowego może wydać się pomysłem nieco ekscentrycznym. Proszę jednak rysunkom tym poświęcić chwilę uwagi. Czy aby na pewno są zabawne? A może stanowią one tylko kontrpunkt dla treści, które ilustrują? A może odzew!

Chciałbym podziękować Uczelni i Wydawnictwu za decyzję o wydaniu tej książki, a paniom Halinie Baszak-Jaroń i Kamili Zimnickiej-Warchoł za trud jej zredagowania i cierpliwość.

Profesorowi Andrzejowi Zollowi dziękuję za napisanie „Przedmowy”, a pani Iwonie Siwek-Front za ilustracje i opracowanie plastyczne książki.

Jan Widacki

Przedmowa

Felietony i artykuły prof. Jana Widackiego składające się na tę książkę są znakomicie napisanym komentarzem do ostatnich dziesięciu lat historii Polski. Można powiedzieć: tylko ostatnich dziesięciu lat. Są to jednak lata niezmiernie bogate w wydarzenia, lata, w których mieliśmy sześciu premierów; lata, w których politykę karną kształtowało w Polsce siedmiu ministrów sprawiedliwości; lata, w których trwała i trwa nadal ostra dyskusja na temat modelu walki ze zjawiskami patologicznymi, walka o treść pojęcia państwa prawa, o miejsce praw człowieka w systemie prawa i o gwarancje tych praw. Mało kto jest dziś w Polsce tak predysponowany do oceny i komentowania wydarzeń z zakresu polityki karnej i szerzej ujmując, polityki społecznej jak Autor książki.

Prof. Jan Widacki ma nie tylko znakomite przygotowanie teoretyczne, ale również jako obserwator uczestniczący – praktyczne; był bowiem w rządach Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego wiceministrem spraw wewnętrznych. Miał do czynienia wtedy na co dzień z patologią społeczną i tą tak dokuczliwą ze względu na jej ilościowe nasilenie na ulicach naszych miejscowości i tą znacznie rzadszą, ale i też znacznie bardziej niebezpieczną – w strukturach władzy. Profesor Widacki miał okazję także obserwować życie społeczne w Polsce z pewnego dystansu, jaki mu dawała placówka dyplomatyczna w Wilnie. Dzisiaj obserwuje z najbliższego dystansu politykę karną i jej rezultaty, będąc obrońcą w wielu głośnych i mniej głośnych procesach karnych.

Artykuły Jana Widackiego są komentarzem do zdarzeń w zakresie polityki społecznej. Jednak przede wszystkim należy podnieść, że jest to praca jak najbardziej aktualna. Walka o kodyfikacje karne przechodzi w nowe i chyba już ostatnie stadium. Nie ma co się łudzić, na jakiś czas stanowisko uosabiane w artykułach Jana Widackiego przez ministrów sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobrę zwycięży. Zbyt słabe były głosy tych, którzy tak jak

Autor pokazywali nonsensowność takiej polityki karnej, nastawianej na surowość represji, represji całkowicie ślepej, bez żadnej perspektywy na przyszłość. To co dzisiaj wprowadza w życie minister Ziobro, to produkcja recydywy – najlepsza droga do tego, żebyśmy za kilka lat mieli lawinowy wzrost przestępczości wynikający z dużego nasycenia społeczeństwa ludźmi z więzienną przeszłością. Psucie kodeksu karnego przez ministra Ziobrę trwa od czasu, gdy objął stanowisko przewodniczącego komisji sejmowej. Niekonsekwencje przy zastrzaniu kary za gwałt, niekonstytucyjne ograniczenie wymiaru sprawiedliwości w wypadku sankcji przewidzianej za kwalifikowane zabójstwo, brak adekwatności określenia ustawowego w art. 199 do regulowanej materii to tylko skromne przykłady działalności legislacyjnej „człowieka roku 2006” zdaniem redakcji „Wprost”. Dochodzą do tego „sukcesy” w ręcznym sterowaniu prokuraturą i nieprawdopodobne upolitycznienie tego z istoty wydawałoby się apolitycznego organu. Dobrze, że prof. Widacki swoimi artykułami dał świadectwo sprzeciwu wobec takiego pojmowania roli prawa karnego, wobec wykorzystywaniu prawa karnego do załatwiania politycznych porachunków (*vide* sprawa byłego ministra Wąsacza). Dał przede wszystkim świadectwo postawy człowieka cywilizowanego, dla którego fakt postawienia komuś zarzutu, a nawet wniesienie oskarżenia nie oznacza jeszcze stwierdzenia winy, a także nawet ustalenie winy nigdy nie odbiera przestępcy godności ludzkiej związanej z samym człowieczeństwem.

Polityka karna nie jest jedynym problemem omawianym w artykułach składających się na ten zbiór. Autor porusza również tak bardzo istotny problem służb specjalnych. Konieczność zasadniczej reformy tych służb widział w 1997 roku. Zwracał wtedy uwagę na ich upolitycznienie i wykorzystywanie do kopania dołków pod przeciwnikami politycznymi. Niezmiennie ważna jest sprawa kondycji sądownictwa: prof. Widacki wskazuje na aktualne dzisiaj zagrożenia niezawisłości sędziowskiej, na próby wykorzystywania mediów i opinii publicznej w celu nacisków na sędziów, pokazuje, jak niebezpieczne dla polskiej demokracji są te praktyki. Dodam tu także podjęte próby politycznego zniewolenia Krajowej Rady Sądownictwa. Autor dostrzega słabości sądownictwa i wskazuje sposoby naprawy dzisiejszego stanu.

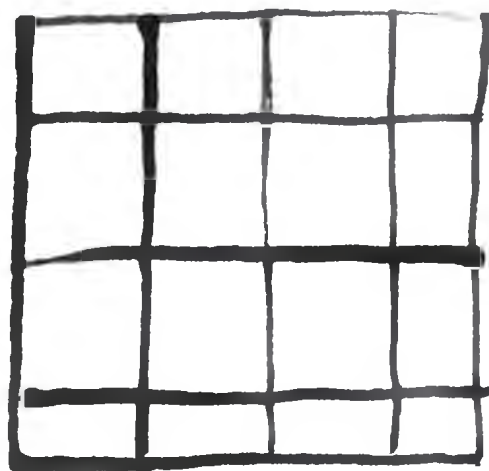
Warto dzisiaj wrócić do dyskusji, które były prowadzone przy tworzeniu ustawy lustracyjnej i powoływaniu Instytutu Pamięci Narodowej. Wiele z zastrzeżeń prof. Widackiego odnośnie do samej lustracji i sposobów tworzenia IPN się potwierdziło. Może jednak osoby, które dzisiaj decydują o modelu lustracji sięgną do książki Jana Widackiego i przez moment się zastanowią. Czy przypadkiem nie wymagam zbyt dużo? Chciałbym, żeby przemyślały, czy powszechna lustracja nie przerodzi się w powszechne polowanie na czarownice. W sprawach lustracji felietony Jana Widackiego pokazują z jednej strony

jego realizm, chodzenie po ziemi, zdawanie sobie sprawy z tego, co można wykonać, a czego wykonać się nie da. Przede wszystkim jednak zwracają uwagę na człowieka, na jednostkowego, indywidualnego człowieka stojącego przed władzą, a często także przed żądającym linczu tłumem. Dla mnie jako karnisty powstaje w związku z lustracją pytanie, czy jest słuszne, że sprawca zabójstwa po trzydziestu latach może czuć się bezpiecznie, gdyż karalność jego zbrodni uległa przedawnieniu, natomiast osoba, która przed trzydziestu laty, chcąc otrzymać paszport, podpisała dokument o współpracy i nie zrobiła po tym nic złego, będzie do końca swoich dni ponosiła konsekwencje swojej słabości. Ma rację Jan Widacki, przypominając nam, że mądre narody przestrzegały zasady, iż akta służb specjalnych przez długi czas (np. pięćdziesiąt lat) nie mogą być ujawniane.

W felietonach umieszczonych w końcowej części książki Jan Widacki zastanawia się nad istotą demokracji. W pełni się zgadzam, że nie da się demokracji sprowadzić do władzy większości. To musi być zawsze władza większości oparta na wartościach, które nie podlegają głosowaniu. Inaczej władza większości zmienia się w tyranję.

Bardzo polecam tę mądrą książkę.

prof. dr hab. Andrzej Zoll



**przestępczość
i karanie**

Przestępczość z telewizora

Zacznijmy od kilku niekwestionowanych prawd. Prawdą jest, że społeczeństwo nasze boi się przestępców. Również jest prawdą, że społeczeństwo uważa, iż surowe kary stanowią podstawową skuteczną metodę walki z przestępczością, i dlatego domaga się surowych kar, a nawet przywrócenia kary śmierci.

Jest to dostateczny powód, dla którego politycy zabiegający o społeczne poparcie (czytaj: głosy w najbliższych wyborach) deklarują, że jeśli zdobędą władzę, zaostrzą kodeks karny i całą tak zwaną politykę kryminalną. Obiecują, że zafundują społeczeństwu państwo bardziej represyjne. Wszystko wskazuje na to, że z tej obietnicy się wywiążą. Jest to stosunkowo łatwe. Cóż to za sztuka, jeśli ma się większość w sejmie, zaostrzyć kodeks karny, wpisać tam, gdzie dotąd groziła kara pozbawienia wolności od roku do lat 5, karę od 5 lat do 15? Cóż to za sztuka, wpisać w kodeksie, że tam gdzie sąd może zastosować areszt tymczasowy, już nie „może”, ale „musi”? – i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki liczba tymczasowo aresztowanych się zwielokrotni.

Jedynie z karą śmierci będzie problem, bo jej ponowne wprowadzenie jest niemożliwe, z uwagi na międzynarodowe zobowiązania Polski. Chyba że Polska wystąpi z Unii Europejskiej...

Ale wywiązanie się z obietnic na tym się skończy. Jeśli zostaną one zrealizowane, staniemy się państwem represyjnym, o jednym z najsurowszych (co nie znaczy najskuteczniejszych) wymiarów sprawiedliwości.

Będziemy państwem, gdzie gwarancje procesowe osoby podejrzanej o popełnienie przestępstwa – dodajmy, wcale często podejrzanej niewinnie, bo dopiero sąd w przyszłości orzeknie, czy rzeczywiście była ona winna czy też nie – będą zredukowane. Podejrzany czy oskarżony, choćby niesłusznie i na skutek błędu, będzie miał mniejsze możliwości obrony, a tym samym wzrośnie liczba osób skazanych niewinnie.

Czy za tę cenę ludzie będą żyli bezpieczniej? Nie. Nie będą żyli bezpieczniej. Co więcej, wzrośnie prawdopodobieństwo, że co najmniej niektórzy z nich zostaną skrzywdzeni przez państwo, wobec którego będą jeszcze bardziej bezbronni.

Po tych prawdach czas na mity. Mit pierwszy to przekonanie, że surowość kar odstrasza skutecznie przestępców, ogranicza przestępczość, poprawia bezpieczeństwo.

Przekonanie to było dominujące przez wieki, co skutkowało wymyślnymi karami, których okrucieństwo do dziś przeraża. W dawnym prawie, pomijając już fakt, że karą śmierci zagrożonych było bardzo wiele czynów, sama ta kara miała formy zwykłe (jak ścięcie lub powieszenie) i kwalifikowane, wśród których wbijanie na pal było jedną z łagodniejszych.

Mimo eskalacji okrucieństwa kar przestępczość ciągle rosła. Konstatacja tego faktu legła u podstaw oświeceniowej myśli prawniczej, której wybitny przedstawiciel Cesare Beccaria głosił, że lepiej przestępstwom zapobiegać, niż za nie karać, a od surowości kary skuteczniej odstrasza jej nieuchronność. Cały blisko dwustuletni dorobek kryminologii potwierdza prawdziwość obu tych twierdzeń.

Ostatnie badania niemieckie nad skutecznością polityk karnych w krajach Europy i USA pokazały, że nie ma związku między surowością tych polityk a stanem przestępczości.

Nasze polskie badania dotyczące przestępczości w Europie Środkowej i Wschodniej w okresie transformacji pokazały, że bez względu na to, czy w poszczególnych krajach polityka karna była surowa czy liberalna, przestępczość wszędzie zachowała się tak samo: wszędzie na początku transformacji odnotowano kilkudziesięcioprocentowy wzrost liczby przestępstw.

Dla kryminologów jest to oczywiste. Dziecko z patologicznej rodziny ma identyczne szanse na stanie się przestępcą, bez względu na to, czy kradzież będzie zagrożona w kodeksie karą do 5 czy do 15 lat pozbawienia wolności. Kara pozbawienia wolności jest poza tym złem koniecznym.

Godząc w przestępcę, godzi ona niestety także pośrednio w społeczeństwo. Nie chodzi tu bynajmniej o to, że skazany żyje na koszt społeczeństwa. Choć to prawda. Jakże często karząc przestępcę, karze się przy okazji jego często Bogu ducha winnych najbliższych. Pozbawia opiekuna, jedyne dotąd żywiciela, rozbija rodzinę, skazuje ją na nędzę i niedostatek. To zaś niejednokrotnie zapoczątkowuje przestępczą karierę dzieci skazanego. Samego przestępcę izolując na lata od jego naturalnego środowiska, często wcale nie przestępczego, pozostawia, nawet po wyjściu na wolność, w towarzystwie tych, z którymi spędził lata w zakładzie karnym, a którzy teraz są już jego jedynymi przyjaciółmi. Pogłębia to demoralizację, zwiększa szansę, że będzie on nadal popełniał przestępstwa cięższe w bardziej wyrafinowany sposób.

Nadmierna surowość kar nie tylko nie ograniczy przestępczości, ale może paradoksalnie stać się jednym z czynników wzrostu w przyszłości.

Mit drugi to mit okrutnego przestępcy. Oczywiście wśród blisko 90 tysięcy ludzi siedzących w aresztach i zakładach karnych w Polsce są również bezwzględni mordercy, okrutni gwałciciele czy sprawcy rozbojów. Ludzie bestie, z trudem budzący uczucie litości czy miłosierdzia u najbardziej nawet wrażliwych. Są i tacy. Rzecz w tym, że stanowią oni jedynie niewielki procent całej więziennej populacji. Tymczasem społeczeństwo tak postrzega wszystkich przestępców. I tak samo chcemy wszystkich traktować.

Skąd taka różnica ocen u kryminologów i zwykłych szarych ludzi, w których imieniu chcą przemawiać politycy? Różnica to wielka, że mogłoby się wydawać, że mówią o dwóch różnych zjawiskach.

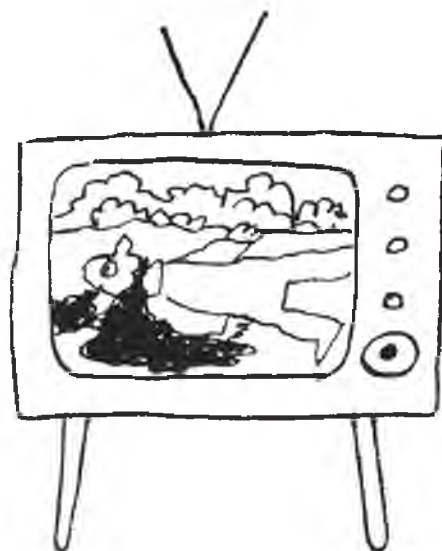
Otóż zjawisko przestępczości jest jedno, ale różne są jego obrazy w zależności od tego, jaką metodę poznania się zastosuje. Poznanie społeczne zjawiska przestępczości opiera się na kilku podstawowych źródłach. Są to doświadczenie osobiste, literatura i film, media, a wśród nich przede wszystkim telewizja.

Z doświadczeniem osobistym mamy do czynienia, gdy ktoś sam lub ktoś z jego najbliższych padnie ofiarą przestępstwa. Rzadziej, gdy ktoś sam (lub ktoś z jego najbliższych) popełni przestępstwo lub tylko zostanie o to oskarżony i dostanie się w tryby organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

Zarówno w jednym, jak i drugim przypadku doświadczenie jest jednostkowe, jednak mocno subiektywnie przeżyte i w naturalny sposób generalizowane. Przez pryzmat pojedynczego wydarzenia patrzy się na całą klasę tysięcy innych zdarzeń, sądząc, że wszystkie one są podobne, choć wcale podobne być nie muszą.

Może to wcale często prowadzić do co najmniej subiektywnie wypaczonego obrazu. Budowanie obrazu przestępcy i przestępczości w oparciu o doświadczenie osobiste jest więc z całą pewnością zawodne.

Literatura piękna dostarcza informacji bardzo różnych i to raczej o przestępcy niż o całym zjawisku przestępczości. Są to nieraz informacje prawdziwe, poparte



bardzo głęboką refleksją autora, sięgającą (jak u Fiodora Dostojewskiego) w głąb duszy przestępcy. Częściej jednak jest to obraz spłycony, nieprawdziwy, nastawiony na sensację. Ponieważ, jak można zasadnie podejrzewać, więcej ludzi czyta powieści kryminalne niż powieści Dostojewskiego (a choćby i naszego Sergiusza Piaseckiego), informacje czerpane z literatury sensacyjno-kryminalnej rzetelnej wiedzy o przestępcy i przestępczości nie dają.

Najwięcej informacji o przestępczości i przestępcach ludzie czerpią z mediów, głównie telewizji (wedle badań ok. 75%), następnie z popularnych wielonakładowych gazet i czasopism, stosunkowo najmniej z radia.



Telewizja nie tylko informuje w swoich serwisach informacyjnych o popełnionych zbrodniach, ale poświęca im publicystyczne programy kryminalne. Odpowiedniki „Magazynu 997” z TVP mają także telewizje komercyjne. Prawie wszystkie stacje telewizyjne serwują też najrozmaitsze seriale kryminalne i także pełnometrażowe filmy fabularne. Zarówno programy informacyjne, jak i pozostałe programy i filmy koncentrują się głównie na przestępstwach najcięższych, przede wszystkim zabójstwach i innych zbrodniach polegających na zastosowaniu przemocy.

Specyfiką polską jest dodatkowo – zapewne najzupełniej słusznie – zajmowanie się przez media nadto korupcją wysokich urzędników i przestępczością gospodarczą nielicznych osób z elity władzy i biznesu.

Wedle badań amerykańskich telewizja w samych tylko programach informacyjnych i publicystycznych (a więc nie licząc filmów i seriali) z czasu poświęconego przestępczości ok. 30% poświęciła zabójstwom, podczas gdy te ostatnie stanowią zaledwie ok. 0,2% wszystkich przestępstw.

Blisko 90% wszystkich przestępstw to przestępstwa przeciwko mieniu, z nich większość to różne formy kradzieży, przeważnie drobnych. Również większość pensjonariuszy zakładów karnych to sprawcy tych właśnie przestępstw. Ale ani te przestępstwa, ani śledztwa w tych sprawach, ani na koniec ich sprawcy nie są na ogół wdzięcznym tematem dla mediów.

Struktura przestępstw układa się w miarę regularną piramidę: najmniej jest przestępstw najcięższych, najwięcej najdrobniejszych.

Struktura przestępczości wyłaniająca się z telewizyjnego ekranu jest dokładnie odwrotna.

Programy informacyjne, a także publicystyka kryminalna (nie mówiąc już o serialach) pokazują i upowszechniają w społecznej świadomości sprawców najcięższych przestępstw nie tylko jako typowych przestępców, ale pokazują ich jako figury pozbawione wszelkiego tła. Nie informują na ogół o historii ich życia (nieraz tragicznej), o sytuacji rodzinnej, o stanie zdrowia psychicznego i tak dalej. Z zasady nie zastanawiają się nad tym, jak mogło dojść do tego, że ten człowiek stał się zabójcą czy innym poważnym przestępcą, czy ktoś kiedyś popełnił jakiś błąd, czy można było temu zapobiec? Dlaczego nie zapobieżono? Okazuje się więc, że medialny świat zbrodni jest zupełnie różny od tego, który opisują statystyki kryminalne i wyniki badań kryminologów. A ten świat uznawany jest przez większość społeczeństwa za prawdziwy.

Społeczeństwo i politycy „wsłuchujący się w głos ludu” chcą zatem walczyć z inną przestępczością niż ta rzeczywista, i szukają sposobów na poskromienie innych ludzi niż ci, którzy są naprawdę przestępcami. Może jest to przyczyną, że ogłaszane przez kolejne rządy programy walki z przestępczością okazują się nieskuteczne?

Prywatka Lecha Kaczyńskiego*

Nowy minister sprawiedliwości chce podnieść karę minimalną do sześciu miesięcy czy nawet do roku. Czy Polska będzie mieć najbardziej drakońską politykę karną w Europie?

W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” (*To moja prywatka*, z 16 czerwca 2000 roku) nowo powołany minister sprawiedliwości i prokurator generalny Lech Kaczyński ujawnił poglądy, które prawdopodobnie niedługo staną się programem podległego mu resortu. Wygląda na to, że ministra interesują jedynie dwie kwestie: śledztwo w sprawie inwigilacji prawicy i zaostrenie polityki karnej.

Jeśli chodzi o kwestię pierwszą, minister znalazł się w sytuacji mało zręcznej. Uważa się za pokrzywdzonego, a równocześnie – jako prokurator generalny – będzie nadzorował wszystkie działania prokuratury związane ze śledztwem w sprawie inwigilacji prawicy. Jak widać, Lech Kaczyński, być może po raz pierwszy, nie posłuchał swego brata Jarosława, który trzy lata temu głosił, że Hanna Suchocka nie powinna objąć funkcji prokuratora generalnego, ponieważ w sprawie o inwigilację prawicy może być w jakimś sensie stroną. Argumenty przemawiające przeciw Suchockiej tym bardziej przemawiają przeciw Lechowi Kaczyńskiemu.

Niezależnie od tej personalnej niezręczności sprawa ewentualnej inwigilacji prawicy nie wydaje się aż tak ważna, by stać się głównym zadaniem programowym ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego. Jesteśmy przekonani, że jest wiele innych śledztw, które zasługują na troskę prokuratora generalnego. Są takie, które ciągną się latami i nic z nich nie wynika poza kompromitacją wymiaru sprawiedliwości. Są też takie, w których po latach okazuje się, że oskarżono niewinną osobę, a prawdziwy sprawca wciąż pozostaje nieuchwytny (np. zabójstwo Jaroszewiczów czy Wojciecha Króla, sprawa „Inkasenta”).

*Tekst napisany wraz ze Zbigniewem Hołdą.

Lista tych spraw pozwala mówić o swoistej „epidemii” bezradności. Czy w tej sytuacji nie należałoby się zastanowić nad prokuraturą, jej poziomem profesjonalnym, warunkami pracy *etc.*? Od prokuratora generalnego można wymagać, aby dostrzegł ten problem, potrafił postawić diagnozę i miał jakiś pomysł na terapię. Analizując wypowiedzi ministra Kaczyńskiego, można dojść do wniosku, że ma on pewne kłopoty z rozpoznaniem hierarchii zadań stojących przed jego resortem.

O ile uczynienie z inwigilacji prawicy jednego z głównych celów musi budzić niepokój, o tyle wypowiedź Kaczyńskiego na temat polityki karnej budzi wręcz przerażenie. Po pierwsze, minister ujawnia... nieznajomość kodeksu karnego. Po drugie, jawnie odcina się od wykształconego w tradycji europejskiej modelu prawa karnego, a nawet od norm cywilizacji europejskiej! Brzmi to osobiście w ustach członka rządu, który chce wprowadzić Polskę do Unii Europejskiej. Kaczyński wierzy, że zaostrzenie kar zmniejsza przestępczość. Jest to pogląd archaiczny, naiwny i nienaukowy. Minister sądzi, że minimum kary pozbawienia wolności w naszym kodeksie to trzy miesiące. Otóż nie trzy, lecz jeden miesiąc (art. 37 kodeksu karnego)!

Minister chce to minimum podnieść do sześciu miesięcy czy nawet do jednego roku. Czegoś takiego próżno by szukać w kodeksach krajów europejskich. Gdyby ministrowi udało się zrealizować ów zamiar, to albo będziemy mieć najbardziej drakońską w Europie politykę karną, albo – co bardziej prawdopodobne – racjonalne na ogół sądy nie będą orzekać kary pozbawienia wolności wszędzie tam, gdzie przepisy dają alternatywnie możliwość wymierzenia grzywny bądź umorzenia sprawy z powodu znikomej społecznej szkodliwości czynu.

Warto też wiedzieć, że w większości krajów europejskich średnie kary pozbawienia wolności liczone są w miesiącach, a nie w latach.

Nie wiadomo, na czym – bo na pewno nie na lekturze przepisów – minister oparł swe przekonanie, że „część ogólna kodeksu karnego jest jedną generalną dyrektywą łagodzenia kar”. Minister chce „rozszerzyć podstawy prawne stosowania aresztu tymczasowego” i „zwiększyć liczbę wypadków obligatoryjnego stosowania aresztu tymczasowego”. Wygląda na to, że Kaczyński jest przekonany, iż nadal obowiązuje ustawa z 1985 roku o szczególnej odpowiedzialności karnej, tylko ona bowiem znała „obligatoryjne stosowanie aresztu tymczasowego”. Ustawa ta przestała jednak obowiązywać już w roku 1988! Obecnie obowiązujący kodeks nie zna obligatoryjnego tymczasowego aresztowania – minister chce zatem „rozszerzać” coś, czego nie ma.

Praktyka tymczasowego aresztowania wskazuje raczej, że w Polsce nadużywa się tej instytucji – czemu nie przeczy fakt, że w paru opisywanych przez prasę przypadkach można mieć wątpliwości, czy sądy postąpiły słusznie, nie wydając postanowienia o aresztowaniu.

Przeraza to, że minister jest świadomy, iż zwiększenie liczby tymczasowych aresztowań skutkować musi zwiększeniem liczby pomyłek – czyli pakowaniem do aresztów niewinnych ludzi – ale nie widzi w tym problemu. Kaczyński wierzy, że odszkodowania i zadośćuczynienia za niesłuszne aresztowanie załatwią sprawę. Zauważyć warto, że w tym momencie minister igra nie tylko z ludzką wolnością, ale także z budżetem swego resortu. Czy zdaje sobie sprawę, jakie kwoty trzeba będzie wypłacać niesłusznie aresztowanym?

Dla ministra Kaczyńskiego nawet prof. Andrzej Zoll – który swego czasu, jako prezes Trybunału Konstytucyjnego, ku zdumieniu wielu środowisk prawniczych dopatrywał się niezgodności aborcji z ówczesnie obowiązującą, Bierutowską konstytucją – jest „najwybitniejszym przedstawicielem pewnej liberalnej ideologii”, której owocami są „większa liczba przestępstw, poczucie bezkarności bandytów i bezradność ofiar” (wywiad dla tygodnika „Wprost” 2000, nr 26). Ciekawe to zakwalifikowanie poglądów prof. Zolla, który niebawem obejmie urząd rzecznika praw obywatelskich.

We wspomnianym wywiadzie dla „Wprost” nowy minister zapowiada, że będzie dążył do zmiany składu komisji kodyfikacyjnej, bowiem „trzeba zwolnić ludzi, którzy przygotowali obowiązujący kodeks karny, i zająć się opracowaniem zupełnie nowego projektu prawa karnego”. Jak widać, Kaczyński nie wie, że od trzech lat komisji kodyfikacyjnej już nie ma, nie ma więc kogo zwalniać. Chyba że Kaczyński zamierza zwolnić byłych członków komisji za liberalne poglądy z funkcji kierowników katedr prawa karnego. Na szczęście władza ministra nie sięga tak daleko, by decydował o obsadzie stanowisk na uniwersytetach.

Nowy minister zapowiada jednak, że będzie dobierał sobie takich ekspertów, którzy głoszą poglądy zgodne z jego poglądami. Wszystko dobrze, tylko po co nadużywać semantyki? Po co słowo „ekspert” rozciągać na coś, co ma już ustaloną inną nazwę – „klakier”?

W ocenie pana ministra autorzy tego artykułu zasłużą sobie zapewne na miano liberałów. Choć może – skoro liberałem jest już prof. Zoll – Kaczyński przyklei nam inną etykietkę? Na przykład „postmodernistów” albo „masonów”?

Możemy też się domyślać, że w klasyfikacji ministra nawet Ojciec Święty, apelujący o zniesienie kary śmierci, wpisuje się w tradycję liberalną. Kaczyński twierdzi bowiem: „Kara śmierci jest sprawiedliwa i potrzebna. Spełnia jednak swoje zadanie tylko wtedy, gdy istnieje w świadomości społecznej jako realny środek oddziaływania na przestępców. Krótko mówiąc – gdy jest wykonywana”. Żle, że minister ma taką wiedzę i takie poglądy, jakie ujawnił w obu wywiadach. Ale warto też zwrócić uwagę na to, czego nie powiedział. Aż dziwne, że w dwu obszernych wypowiedziach pominął wszystkie najważniejsze zadania, jakie dziś stoją przed ministrem sprawiedliwości-prokuratorem generalnym. Nie tylko środowiska prawnicze, ale każdy czytelnik prasy wie, że wymiar sprawiedliwości

w Polsce przeżywa kryzys. Oczekiwanie na wyrok, a nawet na pierwszy termin rozprawy w niektórych sądach trwa latami. Nieraz dochodziło do gorszących przypadków przedawnienia spraw karnych z powodu bezczynności sądów. Rozprawy wloką się miesiącami, bo brakuje sal, biegłych, sędziów. Gruntownej reformy wymaga prokuratura, która coraz bardziej zajmuje się sama sobą.



W ostatnich miesiącach trwała głośnie dyskusja nad projektami ustaw o ustroju sądów powszechnych i o prokuraturze. W istocie była to dyskusja o modelu wymiaru sprawiedliwości i modelu organów ścigania. Zdumiewające, że nowy minister nie ma na te zasadnicze tematy nic do powiedzenia. Aż boimy się zapytać, co Kaczyński zamierza zrobić, gdy – zgodnie z konstytucją – w niedługim czasie ulegną likwidacji kolegia ds. wykroczeń i każdego roku do przeciążonych już dziś sądów trafiać będzie kilkaset tysięcy spraw o wykroczenia?

Unia Europejska podkreśla, że wymiar sprawiedliwości należy do naszych słabych punktów. Raport Banku Światowego zwraca uwagę na korupcję w sądach i organach ścigania. Co w tym zakresie chce zrobić minister? Dyskutowana jest sprawa budżetu sądownictwa i wynagrodzeń sędziów. Co ma do zaproponowania nowy minister?

Są dziesiątki innych ważnych problemów, które resort sprawiedliwości musi podjąć – choćby metody postępowania z nieletnimi, kuratela, przeludnienie więzień. Jeśli chodzi o ten ostatni problem, minister chce więzienia jeszcze bardziej przeludnić. W wywiadzie dla „Wprost” stawia sprawę bez niedomówień: „Trzeba będzie zmienić przepisy prawne dotyczące norm zagęszczenia w zakładach karnych. Z tego powodu będziemy się tłumaczyć w Radzie Europy, ale nie ma innego wyjścia”.

O innych kwestiach minister milczy. Czy jest świadom dylematów stojących przed jego resortem, czy ma na nie jakiś pomysł? Obawiamy się, że wskazane przez Kaczyńskiego priorytety – inwigilacja prawicy, zaostrzenie polityki karnej – świadczą o ideologicznym, a nie merytorycznym nastawieniu szefa resortu sprawiedliwości.



W wywiadzie dla „Gazety” minister Kaczyński posługuje się przenośnią „nie jego prywatki”. Po przeczytaniu wywiadu nabieramy przekonania, że wymiar sprawiedliwości zdecydowanie jego prywatką nie jest.

[„Gazeta Wyborcza”, 28.06.2000, nr 149]

W Polsce jest dziś więcej więźniów*

W naszym tekście w żadnej mierze nie obarczaliśmy ministra Kaczyńskiego winą za aktualną kondycję i problemy wymiaru sprawiedliwości. Po lekturze wywiadów, hojnie przez ministra udzielanych, doszliśmy jedynie do wniosku, że Kaczyński nie dostrzega tych problemów, lecz koncentruje się na trzech tylko sprawach: śledztwie w sprawie inwigilacji prawicy, zaostrzeniu polityki karnej i zaostrzeniu kodeksu karnego (którego nieznamość ujawnił przy okazji).

Jeśli idzie o inwigilację prawicy, to w chwili obejmowania urzędu przez Kaczyńskiego orzeczenie sądu w tej sprawie jeszcze nie zapadło i minister musiał liczyć się z tym, że będzie nadzorował wszystkie czynności, jakie w tej sprawie realizować będzie prokuratura. Stawiało to Lecha Kaczyńskiego – jako ministra – w niezręcznej sytuacji. Nawiasem mówiąc, w tzw. międzyczasie sąd – utrzymując w mocy postanowienie o umorzeniu śledztwa – pokazał, że podejrzenia Kaczyńskiego były, delikatnie mówiąc, nieuzasadnione.

Pan Ziobro, doradca ministra, kategorycznie i w sposób zdradzający ogromną pewność siebie, ale zarazem bardzo uproszczony, krytykuje nowe kodeksy karne i politykę karną III RP. Z jego wypowiedzi wynika jednak, że nie jest mu znana ani literatura przedmiotu, ani wyniki badań. Ośmielamy się więc wspomnieć o artykule Teodora Szymanowskiego *Polityka karna sądów u progu nowej kodyfikacji* („Państwo i Prawo” 2000, nr 1). Autor artykułu stwierdza na podstawie badań, że po wejściu w życie nowych kodeksów struktura orzekanych kar nie uległa istotnym zmianom, a kary za najgroźniejsze przestępstwa (np. zabójstwo)

* Tekst napisany wraz ze Zbigniewem Hołądą.

Na nasz tekst *Prywatka Lecha Kaczyńskiego* polemikę napisał pan Zbigniew Ziobro (*Kto się boi srogiej kary? Uczmy się od Anglików*, „Gazeta Wyborcza”, 26.07.2000, nr 173). Odpowiedzieliśmy na nią tekstem *W Polsce jest dziś więcej więźniów*.

uległy wręcz zaostreniu. Warto też pamiętać, że po wejściu w życie nowych kodeksów liczba osób pozbawionych wolności stale rośnie. O ile w 1996 roku wynosiła 57 tys., to obecnie przekracza 63 tys.!

Jeśli chodzi o amerykańską politykę karną, trzeba by się odwołać do ogromnej literatury, jaka na ten temat ukazała się w USA i na świecie. Z polskich publikacji polecamy pracę B. Stańdo-Kaweckiej *Uwarunkowania i efekty współczesnej amerykańskiej polityki karnej* („Przegląd Więziennictwa Polskiego” 1997, nr 14). W oparciu o analizę danych statystycznych i wyników badań wiktymizacyjnych autorka dowodzi, że polityka karna w USA uległa drastycznemu zaostreniu w ostatnich kilku latach, podczas gdy przestępczość spada tam od lat kilkunastu – co pozwala sądzić, że ów spadek musi mieć jakąś inną przyczynę. Kryminolodzy amerykańscy skłonni są tłumaczyć to zjawisko doskonałą koniunkturą gospodarczą w Stanach. Istotną przyczyną zaostrenia polityki karnej jest, zdaniem różnych autorów, „wojna z narkotykami” – przy czym nasilenie represji jest tylko jednym z elementów tej wojny.

Oparcie całej wiedzy o stanie bezpieczeństwa i polityce karnej w Wielkiej Brytanii na jednej wypowiedzi byłego ministra spraw wewnętrznych, bez głębszej analizy zjawiska, wydaje się dość ryzykowne. Nie znamy wypowiedzi pana Howarda. Jeśli nasz polemista przytoczył ją dosłownie, to można powiedzieć tylko tyle, że – jak widać – skłonność do przeceniania własnej osoby nie jest „specjalnością” jedynie polskich ministrów.



Dodajmy, że w Polsce liczba osób pozbawionych wolności na 100 tys. mieszkańców wynosi 150–160, podczas gdy w Anglii – która ma jeden z najwyższych współczynników przestępczości w Europie – sięga 100–110. Innymi słowy, w Polsce w kryminale siedzi znacznie więcej ludzi niż w Anglii, którą pan Ziobro stawia nam za wzór.

Myli się nasz polemista, sądząc, że na poparcie swych argumentów mamy tylko wypowiedź Beccarii. Rzecz w tym, że argumenty sprzed 200 lat, w gruncie rzeczy zdroworozsądkowe, zostały potwierdzone przez dziesiątki współczesnych kryminologicznych badań empirycznych. Podtrzymujemy nasz pogląd: samo zaostrenie represji karnej nie jest skuteczną metodą ograniczania przestępczości ani drogą do poprawy bezpieczeństwa.

Nasz polemista jest dumny, że jednego z nas przyłapał na zmianie poglądów na temat kary śmierci. Istotnie, jeden z nas wypowiadał się na ten temat przed z górą dziesięciu laty. Było to w czasie, kiedy Polska nie tylko nie ubiegała się o członkostwo w Unii Europejskiej, ale nie była nawet członkiem Rady Europy, które to organizacje nie pozwalają swoim członkom stosować tej kary. Było to także przed apelem Ojca Świętego o zniesienie kary śmierci.

Nasz polemista jest pełnomocnikiem rzecznika praw ofiar i doradcą ministra Kaczyńskiego. Nie bardzo wiemy, w której z tych ról tym razem wystąpił. Czy społecznie, traktując Kaczyńskiego jako naszą ofiarę, czy też służbowo, jako podwładny ministra.

[„Gazeta Wyborcza”, 26.07.2000, nr 173]

Czy polskie prawo chroni przestępców?

Nie wiem, kto pierwszy powiedział, że polskie prawo bardziej chroni przestępców niż pokrzywdzonych, ale idiotyzm ten (jak to często z idiotyzmami bywa) bardzo się spodobał i jako złota myśl bywa przy różnych okazjach powtarzany. Pół biedy, kiedy wypowiada go prosty człowiek, rzeczywiście bezpośrednio pokrzywdzony przestępstwem i odczuwający jakiś dyskomfort z tego powodu, że ten, którego uważał za przestępcę, albo nie został za takiego uznany przez sąd, albo nie został od razu aresztowany, a zdaniem pokrzywdzonego powinien, albo został w jego odczuciu potraktowany zbyt łagodnym wyrokiem. Gorzej, gdy wspomniany idiotyzm wypowiadają i upowszechniają dziennikarze, jeszcze gorzej, gdy robią to politycy. Ci ostatni czynią tak albo z głupoty, albo z cynizmu. Pierwsi sądzą, że tak jest w istocie, i mówią tę głupotę w dobrej wierze. Drudzy doskonale wiedzą, że to bzdura, ale dobrze się sprzedająca, bo trafiająca w gust potencjalnych wyborców. Mniej niebezpieczni są ci pierwsi. Jest bowiem szansa, że dadzą sobie wytłumaczyć, iż są w błędzie, i przestaną bredzić. Tym drugim nic już nie pomoże.

To, co uważane bywa za przejaw nadmiernej troski o przestępcę, oznacza działania wynikające z tak zwanych gwarancji procesowych podejrzanego, a później oskarżonego. Gwarancje te wypracowała nasza cywilizacja w długim procesie dziejowym. Są one efektem przemyśleń i doświadczeń pokoleń prawników, a także filozofów, efektem wielowiekowych doświadczeń społecznych. Najważniejsze z tych gwarancji to prawo do uczciwego procesu. Takiego, który prowadzony jest bezstronnie, zgodnie z procedurą przez kompetentny sąd, kończącego się w rozsądnym terminie.

Uczciwy proces respektować musi zatem zasady procedury, w tym takie jak prawo do obrony, domniemanie niewinności do czasu prawomocnego zakończenia sprawy, obowiązek interpretowania na korzyść oskarżonego niedających się usunąć wątpliwości. Warunkiem uczciwego procesu jest także bezstronność

i kompetencja sędziów. Tę pierwszą gwarantować powinien wysoki poziom moralny, dojrzała osobowość i zrównoważenie psychiczne. Kompetencje zawodowe sędziego wynikać powinny z wysokiego poziomu intelektualnego, doświadczenia życiowego, ugruntowanej wiedzy prawniczej oraz chociażby elementarnej znajomości nauk sądowych, takich jak: psychiatria sądowa, kryminalistyka, medycyna sądowa i tym podobne.

Wspomniane zasady wypracowano w interesie wszystkich, którzy teoretycznie mogą zostać oskarżeni czy podejrzani, także tych, którzy mogą zostać fałszywie podejrzani czy oskarżeni. Zasady te służą temu, aby osoba niewinna nie została skazana, nie była niewinnie trzymana w areszcie, nie cierpiała niezasłużenie.

Prawo nie tylko zapewnia wszystkim (winnym i niewinnym) uczciwy proces, ale też gwarantuje im w miarę możliwości zachowanie anonimowości: zabrania podawania do publicznej wiadomości pełnego brzmienia ich nazwisk, chroni ich wizerunek itd. Gdyby tych zasad uczciwego procesu nie było lub nie były przestrzegane, można by bez trudu skazać każdego, obojętne czy byłaby to osoba winna, czy niewinna.

Do czasu, gdy zapadnie prawomocny wyrok, dopóki nie ma pewności, czy podejrzany (oskarżony) jest winny lub nie, czy jest sprawcą zarzucanego mu czynu, wszyscy podejrzani i oskarżeni stanowią jedną grupę. Są w niej i winni, i niewinni. Przed zakończeniem procesu tych dwóch kategorii rozdzielić się nie da, bo proces właśnie jest jedyną akceptowaną w cywilizowanym świecie metodą przeprowadzenia takiego podziału. Jeśli więc jakieś elementarne prawa chcemy przed wyrokiem zapewnić niewinnym, siłą rzeczy zapewniamy je także winnym. Innej rady nie ma. Jest to standard europejskiego procesu karnego. Polskie prawo poza ten standard nie wykracza.

Jak jest z ochroną praw pokrzywdzonych? Rzeczywiście jednym z celów procesu karnego jest dążenie do „uwzględnienia prawnie chronionego interesu pokrzywdzonego”. Polskie prawo karne (tak materialne, jak procesowe) interes ten uwzględnia i w rozmaity sposób w procesie próbuje zabezpieczyć. Pozwala pokrzywdzonemu wystąpić z powództwem cywilnym przeciw oskarżonemu już w ramach procesu karnego. Pozwala orzec sądowi karnemu obowiązek naprawienia szkody i dania zadośćuczynienia pokrzywdzonemu. Od woli pokrzywdzonego zależeć może los postępowania i oskarżonego. Od jego zgody na pojednanie zależeć będzie, czy sąd nadzwyczajnie złagodzi oskarżonemu karę, czy warunkowo umorzy mu postępowanie. Pokrzywdzony może wreszcie występować w procesie jako oskarżyciel posiłkowy, mając z tego tytułu prawa identyczne jak oskarżyciel publiczny.

Jak widać, prawa pokrzywdzonych są w polskim prawie względnie dobrze chronione, nawet bardziej niż wymaga tego europejski standard. Teza, że sąd zawsze musi dopuścić do procesu pokrzywdzonego w charakterze oskarżyciela

posiłkowego, gdy tylko wyrazi on taką wolę, poza standard ten zdecydowanie wykracza i można mieć wątpliwości, czy jest uzasadniona. Na gruncie poprzedniej procedury sąd mógł odmówić przyznania pokrzywdzonemu statusu oskarżyciela posiłkowego, gdy uznał, że w konkretnym przypadku jest to niekorzystne dla wymiaru sprawiedliwości, a niejednokrotnie tak jest!

Postulowane niekiedy dalsze poszerzenie uprawnień pokrzywdzonego w procesie karnym nie tylko nie ma sensu, ale może niebezpiecznie zdeformować model procesu karnego poprzez zachwianie równowagi stron, co w dodatku realnie żadnej korzyści pokrzywdzonemu nie przyniesie. Już dziś niektóre z uprawnień są praktycznie fikcyjne. Co z tego, że pokrzywdzony może dochodzić od skazanego sprawcy naprawienia szkody, kiedy ten trafi na wiele lat do zakładu karnego, nie ma żadnego majątku, nie ma z czego zapłacić i wszelka egzekucja komornicza będzie nieskuteczna?



Czy zamiast tworzyć dalsze, fikcyjne *de facto* uprawnienia pokrzywdzonego, nie lepiej zastanowić się nad realnymi możliwościami naprawienia mu szkody wyrządzonej przestępstwem, choćby poza procesem karnym? Czy nie bardziej skuteczne byłoby utworzenie państwowego funduszu pomocy ofiarom przestępstw, który wypłacałby odszkodowania nieegzekwowalne od skazanych sprawców, brałby na siebie obowiązek egzekwowania od nich wypłaconych pokrzywdzonym sum, opłacałby i organizował dla pokrzywdzonych pomoc prawną, a gdy trzeba – także psychologiczną i socjalną?

Państwo może także udzielić innej, skutecznej pomocy ofiarom przestępstw. Sprawny, dobrze funkcjonujący system ubezpieczeń może w istotny sposób złagodzić skutki rozmaitych przestępstw. Inaczej odczuwa się kradzież samochodu w Polsce, inaczej w krajach dobrze zorganizowanych. W Polsce ten, komu ukradziono samochód, najpierw musi się uporać z przyjęciem zgłoszenia kradzieży

na policji, później odczekać na umorzenie (w 85% przypadków, niestety) śledztwa z uwagi na niewykrycie sprawcy, później rozpocząć procedurę w firmie ubezpieczeniowej. W wielu krajach wszystko to można załatwić w ciągu paru godzin! I jeszcze tego samego dnia wsiąść do nowego, zakupionego za pieniądze z firmy ubezpieczeniowej samochodu.

Osobiście radziłbym podjęcie starań idących w tym kierunku niż dalsze majstrowanie przy kodeksach i tworzenie kolejnych fikcyjnych uprawnień pokrzywdzonych...

Choć to ostatnie oczywiście jest o wiele łatwiejsze.

[„Kraków” 2005, nr 9]

Tradycja wbijania na pal

Wiele wskazuje na to, że posłowie znów zajmować się będą kodeksem karnym. Nowy minister sprawiedliwości zapowiada bowiem, że jednym z punktów jego programu jest dalsze zaostrzenie kar.

Program ten zapewne uzyska akceptację społeczną. Ludzie chcą żyć bezpiecznie, boją się przestępczości, co jest normalne i zrozumiałe. Wierzą też, że surowe kary są najskuteczniejszą metodą walki z przestępczością. Pogląd ten, choć błędny, jest zakorzeniony niezwykle głęboko. A że jest błędny, światli ludzie przestrzegali już ponad 200 lat temu; od tego czasu nauka i codzienne doświadczenie wymiaru sprawiedliwości dostarczały coraz to nowych argumentów przekonujących, że surowość kar nie jest ani jedynym, ani nawet najważniejszym czynnikiem ograniczającym przestępczość, że, krótko mówiąc, na stan przestępczości wpływ ma niewielki.

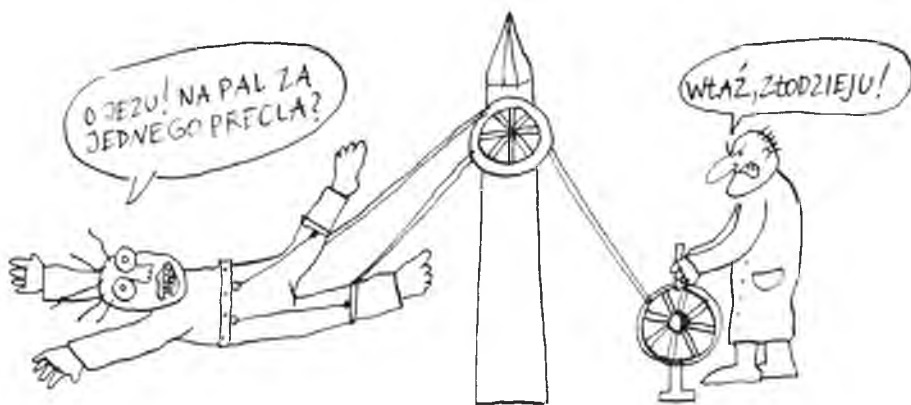
Dokonane w dobie oświecenia odkrycie, że dalsze zaostrzanie i tak już surowego prawa karnego bynajmniej nie zmniejsza przestępczości, legło u podstaw humanitaryzmu w prawie karnym. Przełomowe znaczenie miała praca włoskiego autora Cesarego Beccarii *O przestępstwach i karach*, która ukazała się w 1768 roku w Mediolanie, a już w 4 lata później została wydana w Polsce w przekładzie ks. Teodora Wagi. Często powtarzane twierdzenia, że lepiej zapobiegać, niż karać, czy że nieuchronność kary dalece ważniejsza jest od jej surowości pochodzą właśnie z tego dzieła. Myśl Beccarii nie tylko przyjęła się w Polsce, ale została tu twórczo rozwinięta za sprawą kilku autorów XVIII-wiecznych, spośród których na szczególne wyróżnienie i przypomnienie zasługuje profesor krakowskiej Wszechnicy ks. Sebastian Czochron (1749–1819). Przyjęła się, wywierając wpływ na wielu późniejszych autorów i co więcej na polskie ustawodawstwo karne, które jednoznacznie, mimo zmieniających się prądów filozoficznych i mód przesiąknięte było duchem humanizmu, wyróżniając się pod tym względem korzystnie w Europie, budząc szacunek, a niekiedy podziw.

Czochron zapoczątkowuje listę wybitnych karnistów krakowskich, z których każdy był znakomitością swojej epoki, żeby tylko wspomnieć kantystę prof. Edmunda Krzymuskiego czy światowej sławy pozytywistę prof. Juliusza Makarewicza, twórcę kodeksu karnego z 1932 roku, który z Krakowa przeszedł do Lwowa, gdzie żył i tworzył aż do śmierci w 1955 roku. Z dzieł Czochrona obok *Dysertacji o prawodawstwie kryminalnym* wydrukowanej w Drukarni Szkoły Głównej Koronnej w Krakowie w 1788 roku wspomnieć trzeba o dotąd nie wydanej drukiem, spoczywającej w rękopisie w Bibliotece Jagiellońskiej rozprawie *O wymiarze sprawiedliwości kryminalnej*.

Prześlągnięty duchem oświeceniowego humanizmu Czochron jako bodaj pierwszy Polak pisze o „prawach człowieka” jako prawach człowiekowi przyrodzonych, a nie przez kogoś nadanych: „Wolność, własność i bezpieczeństwo nie są to przywileje, ale trzy każdemu właściwe i żadnej preskrypcji niepodległe prawa. Praw tych obrona jest obowiązkiem rządu”. Rozważa też granice wolności, którą uważa za wielką wartość, do której człowiek ma przyrodzone prawo. Przestrzega, że wolność ma jednak granice, za „którymi zaczyna się przemoc, niewola i uciemżenie ludzkości”. Idąc za myślą Beccarii, Czochron pisze: „chłostać występki nie jest wielką sztuką; ale im zapobiegać, to jest umiejętność głęboka i nieskończenie pożyteczna w każdym kraju”. Aby zapobiegać przestępstwom, trzeba wcześniej znać ich przyczyny.

Przyczyny przestępczości bada od ponad 100 lat nauka zwana kryminologią. Dziś o tych przyczynach wiemy już bardzo dużo, nieporównanie więcej niż wiedziano 100, a tym bardziej 200 lat temu. Dlatego też dziś łatwiej prowadzić skuteczną profilaktykę. Pamiętać jednak należy, że przestępczość towarzyszyła ludzkości zawsze, jest więc czymś naturalnym. Ta ostatnia konstatacja przypisywana jest dwóm autorom XIX-wiecznym: Adolfowi Queteletowi i Emilowi Durkheimowi. Warto ją zapamiętać. Wynika z niej bowiem to, że przestępczości nie da się nigdy wytepić, można co najwyżej nieco ją moderować: pilnować, by nadmiernie nie wzrosła, starać się ją choć trochę ograniczać. Nie dysponując dzisiejszym dorobkiem kryminologii w tym względzie, Czochron mógł do swych wniosków dochodzić jedynie, wykorzystując racjonalne myślenie, doświadczenie życiowe (doświadczenie uczonego, a przy tym chyba nie bez znaczenia doświadczenie księdza i spowiednika) oraz intuicję. I trzeba powiedzieć, że te drogi dochodzenia do prawdy w zasadzie go nie zawiodły. Brak pracy i niski poziom oświaty uważał za istotne przyczyny przestępstw. Zapobiegać przestępstwom trzeba przez poprawę edukacji i wykorzenienie próżniactwa, czyli danie ludziom pracy; „poprawić edukację i wykorzenić próżniactwo jest w rzeczy samej czynić największą Narodowi przysługę”. I dziś podniesienie poziomu wykształcenia społeczeństwa, zmniejszenie bezrobocia znacznie bardziej ograniczy przestępczość niż najsurowsze kary.

Czochron zwraca też uwagę, że nadmierna surowość kar wbrew oczekiwaniom jest nie tylko nieskuteczna, ale demoralizująca. Surowa kara bowiem „tym jest słabszym hamulcem do powściągnięcia innych od zbrodni, im jest częstsza. Surowość kar zmniejsza i niszczy powagę praw, płodzić zwykłą rozwiązłość i rozpacz”. Dostrzega też to, co opisie dopiero w końcu XX wieku kryminologiczna teoria stygmatyzacji (zwana też teorią naznaczania lub etykietowania), że kara, zwłaszcza surowa, może zamiast przestępcę poprawić, zmusić go do tego, żeby do końca życia był przestępcą. Wyrok sądowy może przypisać człowiekowi „cechę niesławy; ludzie kochający wstyd, honor i poczciwość stronić od niego będą. Cóż się dzieje? Oto nieszczęśliwy ten człowiek, znajdując wszędzie dla siebie wzgardę i obelgę, nie mogąc dostać roboty, przytułku, pożywienia ani dobrego słowa, widzi się być niczym w społeczności, czuje tylko zjatrzoną miłość własną, rzuca się w rozpacz i szuka egzystencji w nowych zbrodniach”. Co zatem robić? Przede wszystkim ostrożnie szafować karą, zwłaszcza gdy chodzi o przestępcę jeszcze nie zdemoralizowanego, młodocianego, takiego, który popełnił przestępstwo z przypadku lub w takim splocie zdarzeń i okoliczności, których powtórzenie jest mało prawdopodobne.



Aby taka polityka karania była możliwa, konieczne jest kilka rzeczy. Po pierwsze, nie jest potrzebny drakoński kodeks, po drugie, konieczne jest danie sądowi możliwości elastycznego operowania sankcją karną w myśl zasady indywidualizacji kary. Ta ostatnia zakłada, że zabójstwo zabójstwu nierówne, zabójca nierówny zabójcy, kradzież kradzieży, złodziej złodziejowi. Dlatego sąd każdy przypadek musi dokładnie zbadać i ocenić, dobierając stosowną karę. Kodeks musi sądowi dawać możliwość wyboru, przewidując za poszczególne przestępstwa sankcje o możliwie dużej rozpiętości.

Ostatnie nowelizacje kodeksu i te zapowiadane na przyszłość zdają się iść dokładnie w przeciwnym kierunku.

Jeśli przyszła polityka polska ma być „polityką historyczną”, to historyczna polityka karna może sięgać do tradycji polskiego humanitaryzmu w prawie karnym, niekoniecznie do tradycji wbijania na pal. Dlatego warto przypomnieć myśli księdza profesora Czochrona. Mamy i taką tradycję. Na szczęście.

[„Kraków” 2005, nr 12]

Wieszanie za ziobro

Ostatnio sejm „poprawił” prawo karne. Zaostrzył kary za przestępstwa seksualne i wydłużył okresy przedawnienia. Za zabójstwo seksualne grozić teraz będzie kara 25 lat pozbawienia wolności lub dożywocie.

Zaostrzono też kary za gwałty. Na pedofilów skazywanych za przestępstwa seksualne na nieletnich sąd będzie mógł nakładać nawet dożywotni zakaz wykonywania zawodów, których istota sprowadza się do opieki nad dziećmi lub polega na stałych kontaktach z nimi. Będzie mógł obok kary orzec dodatkowo zakaz kontaktu z dziećmi, przebywania w miejscach, gdzie dzieci się gromadzą (np. na placach zabaw, w pobliżu szkół). Złamanie takiego zakazu będzie samoistnym przestępstwem zagrożonym karą do 3 lat pozbawienia wolności. Wszystko to dokonało się niemal jednomyślnie. Posłanka Katarzyna Piekarska (SLD) cieszyła się, że udało się „porozumieć ponad podziałami”, co w tym przypadku znaczyło, że posłów SLD, LPR, PiS i PO coś wreszcie połączyło. Niestety, połączył ich populizm i absolutna pogarda dla nauki, a nawet dla zdrowego rozsądku.

Dokonane zmiany kodeksu karnego uchwalone zostały przy pełnym zlekceważeniu postulatów środowisk naukowych, które przekonywały, że dalsze zaostrzanie i tak dość represyjnego polskiego prawa karnego do niczego nie prowadzi, w szczególności nie ograniczy przestępczości.

Nowoczesne kodeksy karne słusznie wychodzą z założenia, że zabójstwo zabójstwu nierówne, gwałt nierówny gwałtowi i pod tym samym formalnie kodeksowym opisem przestępstwa mogą się kryć zgoła różne zachowania przez różnych sprawców dokonane w różnych okolicznościach. Dlatego też nowoczesne kodeksy dają sądowi możliwość wybrania adekwatnej, sprawiedliwej dla danego przypadku kary.

Polski kodeks karny z 1932 roku, uchodzący przed wojną za jeden z najnowocześniejszych i najlepszych w Europie, przewidywał za zabójstwo umyślne

karę od 5 do 15 lat więzienia albo dożywocie, albo karę śmierci. Sąd, oceniając konkretny przypadek zabójstwa, mógł wymierzyć za nie teoretycznie karę 5 lat więzienia albo karę śmierci. Uwzględniał przy tym okoliczności przestępstwa, sposób jego dokonania, stopień okrucieństwa zabójcy, jego motywację, stopień winy, zachowanie ofiary i całą masę rozmaitych okoliczności obciążających i łagodzących. Ustawa dawała więc sądowi dużą władzę, zmuszając równocześnie do wnikliwej oceny każdego przypadku.

W dawnej Galicji kodeks karny z 1932 roku zastąpił staroświecki kodeks karny austriacki, który za morderstwo przewidywał tylko karę śmierci. Kodeks karny z 1969 roku podniósł dolną granicę kary za zabójstwo umyślne. Za przestępstwo takie nie można już było wymierzyć kary niższej niż 8 lat pozbawienia wolności. Pozostała kara śmierci, zniesiono za to karę dożywotniego więzienia, wprowadzając w to miejsce karę 25 lat pozbawienia wolności.

Kodeks karny z 1997 (ten rzekomo nadmiernie liberalny) nie zna kary śmierci (nie znają jej kodeksy karne wszystkich państw należących do Rady Europy!); za zabójstwo przewiduje kary od 8 do 15 lat pozbawienia wolności, karę 25 lat pozbawienia wolności oraz karę dożywotniego pozbawienia wolności. Jednak za szczególnie okrutne zabójstwa, a także m.in. połączone ze zgwałceniem czy dokonane z użyciem broni palnej, jako minimalną przewiduje karę 12 lat pozbawienia wolności. Teraz, po ostatniej nowelizacji, za zabójstwo seksualne pozostają sądowi do wyboru tylko dwie kary: dożywocie lub 25 lat pozbawienia wolności. Zaczynamy się zbliżać do ideału starego austriackiego kodeksu karnego, który już przed z górą 70 laty uznany został w Polsce za archaiczny.

To, co zrobiono, to nic innego jak krępowanie sądowi rąk, zmuszanie go do orzekania wedle jednego strychulca. W dodatku to wiązanie rąk dotyczy orzekania w sprawach tak trudnych, tak skomplikowanych z psychopatologicznego punktu widzenia, jakim są przestępstwa seksualne. Przypadków, gdzie tak trudna bywa ocena stopnia poczytalności, a w konsekwencji ocena winy!

Jeśli ta nieszczęsna nowelizacja wejdzie w życie – mam jednak nadzieję, że prezydent ją zawetuje lub skieruje do Trybunału Konstytucyjnego – to najpierw nastąpi dalsze zaostrzenie polityki karania, a później sędziowie, w swej masie przecieź racjonalni, będą w sprawach o przestępstwa seksualne orzekać ostrożniej, częściej niż obecnie uznając niepoczytalność lub ograniczoną poczytalność ich sprawców. W tym ostatnim wypadku sięgać będą do instytucji nadzwyczajnego złagodzenia kary i wymierzać za takie przestępstwa kary zbliżone do obecnych. Jakiegokolwiek kary przewidywałby kodeks dla pedofilów, jakkolwiek gorliwie kodeks ten realizowany byłby przez sądy, liczba pedofilów od tego nie zmaleje. Ich procent w populacji pozostanie taki sam. Chyba że przywrócono by dla nich karę śmierci i w ten sposób eliminowano ze społeczeństwa na zawsze. Ale

nawet gdyby pedofilów traktować, jak niegdyś stary austriacki kodeks traktował zbójników (w tym Janosika) i wieszać ich na haku „za ziobro”, w prewencję generalną nawet tak okrutnej kary nie wierzę. Widok wiszącego na haku „za ziobro” pedofila nie wyleczy innych pedofilów z ich przypadłości. Chyba żeby powiesić ich wszystkich... Na razie to nieaktualne, ale być może „do tego się wróci po wyborach”, jak mówi *nomen omen* poseł Ziobro.



Posłowie zdecydowali na razie, że pedofilów będzie się na mocy orzeczenia sądu przymusowo leczyć. Nie zechcieli jednak wcześniej dowiedzieć się, czy są w Polsce zakłady leczące tę przypadłość ani nawet czy pedofilia w ogóle jest uleczalna. Jeśli nawet nie jest, to „po wyborach” uchwali się, że jest, a głoszenie przeciwnego poglądu może być uznane za przestępstwo i zagrożone karą pozbawienia wolności do lat 3, albo lepiej do lat 5.

Na szczęście przypadły idiotyczne pomysły PiS-u (do których „trzeba będzie powrócić po wyborach”) o podawaniu każdego wyroku w sprawie pedofilów do publicznej wiadomości i tworzeniu publicznych list osób skazanych za przestępstwa seksualne oraz o „niezacieralności” skazania za takie przestępstwa. Doszłoby bowiem do sytuacji, kiedy zatarciu uległoby skazanie za zabójstwo, nie uległo zatarciu skazanie za czyn pedofilski.

Jedyne, co w tej nowelizacji można zaakceptować, to orzekanie o zakazie wykonywania przez pedofilów określonych zawodów i to nawet dożywotnio. Nawiasem mówiąc, można to było od biedy orzec również na podstawie obecnie obowiązujących przepisów. Natomiast zakaz zbliżania się pedofilów do miejsc zabaw dzieci po prostu nie będzie możliwy do wyegzekwowania i jako taki przyczyni się jedynie do dalszej inflacji prawa.

Kolejnym kuriozum, w dodatku szalenie niebezpiecznym, jest ten fragment nowelizacji, który media już zdążyły nazwać „*lex FOZZ*”. Wydłużenie okresu przedawnienia przestępstw tylko po to, by nie uległy przedawnieniu niektóre przestępstwa objęte aferą FOZZ, jest bardzo znamienym i niebezpiecznym precedensem.

Po pierwsze, jest to przykład manipulowania prawem dla załatwienia konkretnego przypadku, a to zaprzecza zasadzie stabilności prawa. Rodzi niebezpieczeństwo, że dla załatwienia każdej konkretnej, politycznie uzasadnionej sprawy można dowolnie zmienić prawo. Takie podejście manifestuje prymat polityki nad prawem. Tymczasem zasady państwa prawa wymagają czegoś akurat przeciwnego: prymatu prawa nad polityką.

Po drugie, jest to próba przełamania zasady *lex retro non agit* (prawo nie działa wstecz), która jest kardynalną zasadą cywilizowanego prawa karnego od czasów oświecenia.

Źle to świadczy o autorach tych pomysłów, źle świadczy o posłach, o ich stosunku do konstytucyjnej zasady państwa prawa. Daje to przedsmak tego, co – jak uprzedza poseł Ziobro – będzie po wyborach, jeżeli autorzy takich pomysłów dorwą się do władzy.

Pijani kierowcy i my

Powszechnie wiadomo, jakie niebezpieczeństwo na polskich drogach stanowią pijani kierowcy. Jak ograniczyć ich liczbę? Prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym było dawniej wykroczeniem, spowodowanie po pijanemu wypadku traktowano jako okoliczność obciążającą. Sprawca wypadku, jeśli był nietrzeźwy, ponosił surowszą odpowiedzialność od trzeźwego sprawcy wypadku o identycznych skutkach. Nie pomogło. Liczba pijanych kierowców wciąż rosła. Zaostrzono przepisy. Już samo prowadzenie pojazdu po pijanemu jest przestępstwem. Można za nie trafić do kryminału nawet na dwa lata. Nie pomogło! Liczba zatrzymywanych przez policję pijanych kierowców ciągle rośnie. Ci, którzy wierzą w odstraszającą moc prawa karnego, obmyślają dalsze zaostrzenie odpowiedzialności, zastanawiają się: może by pozbawić takiego dożywotnio prawa jazdy? A może konfiskować samochód? Dożywotnie pozbawienie prawa jazdy nie byłoby zgodne z polskim (i europejskim!) systemem prawa. Nawet ukaranie za zbrodnię zabójstwa ulega po pewnym czasie zatarciu, tu skutek jazdy po pijanemu miałby sięgać kresu życia sprawcy. Konfiskowanie samochodu też rodziłoby poważne problemy prawne. A co, jeśli pijany kierowca jechał nie swoim samochodem? Skonfiskować samochód, a od pijaka niech później dochodzi swych roszczeń właściciel pojazdu? No dobrze, a jeśli kierowca jest niewypłacalny i właściciel nie będzie miał szansy skutecznie wyprocedować swojej straty, to co? Czy ma być ukarana całkowicie tu niewinna osoba trzecia, np. właściciel firmy transportowej?

A może za jazdę po pijanemu karać długoletnim więzieniem? Ale jak to się będzie miało do kar przewidzianych za rozbój, pobicie czy choćby kradzież z włamaniem? Przecież kary za rozmaite przestępstwa muszą pozostawać do siebie w jakiejś rozsądnej proporcji. Można by się jednak nad tym zastanowić. Może jazda po pijanemu jest rzeczywiście groźniejsza niż rozbój z użyciem noża i trzeba za nią karać surowiej? A może warto przebudować cały system

sankcji za przestępstwa, tak aby za jazdę po pijanemu karać surowiej niż dotąd i proporcjonalnie zaostrzyć kary za inne przestępstwa, w tym za wymieniony przed chwilą rozbój?

Zwolennicy surowego karania, a tych w kręgach politycznych i w społeczeństwie nie brak (jest ich zdecydowanie więcej niż zwolenników myślenia), zapewne byliby zachwyceni takim rozwiązaniem. Zaostrzono by i tak jedno z najsurowszych, najbardziej represyjnych praw karnych w Europie, jakim jest prawo polskie. Ale może warto? No właśnie, czy warto? Czy za pomocą kar uda się ograniczyć liczbę pijanych za kierownicą i poprawić bezpieczeństwo na polskich drogach? Mam zasadnicze wątpliwości.

Dopóki będzie społeczne przyzwolenie na jazdę „po kielichu” ani policyjne akcje na drogach, ani w ich konsekwencji surowe wyroki sądowe tej plagi nie ukróć. Niestety polega na tym, że przyzwolenie na jazdę po pijanemu w Polsce jest! Znaczny procent pijanych kierowców zatrzymywanych jest, gdy jadą z żoną i dziećmi po rodzinnej imprezie. Nie wiedziała mamuska, że tatuścio łyknał? A mimo to wsiadła z pociechami do samochodu? Ale zapytana o to przy innej okazji będzie się na pijanych kierowców oburzać, będzie żądać dla nich surowych kar, a jakże...

A czyż nie jest powszechne, że na rozmaitych przyjęciach gościnny gospodarz namawia zmotoryzowanego gościa: „jednego wypij, to nie zaszkodzi”, albo: „tego nie wykryje alkomat”? Grzeczny gość nie chce urazić gospodarza i „tego jednego” wypije, później drugiego, na prośbę gospodyni, a później już mu wszystko jedno, wypije i trzeciego, i czwartego też... Może się uda. Może nie złapią? Chyba nie złapią, no to piątego. Łyk!



A czy nie zdarza się nawet ludziom, wydawałoby się świątym, opowiadać z rozbawieniem anegdoty o pijackich przygodach znajomych, którzy z trudem trafiali w bramę garażu, jechali zygzakiem lub pod prąd? A nie zdarza się sędziom sięść za kierownicą po wypiciu „jednego” nawet w sądzie, za zdrowie kolegi sędziego w dniu jego imienin czy urodzin, boć przecież „jeden nie szkodzi”, a przed alkomatem skutecznie chroni immunitet?

O pijanych uzbrojonych w immunitet parlamentarny „wybrańcach narodu” za kierownicą można od czasu do czasu poczytać w gazetach. Nie słyszałem, aby za to spotkał ich później w macierzystym klubie, albo tym bardziej w sejmie, jakiś szczególny ostracyzm. Najwyżej Urban się ponabija w „Nie” albo opublikują zdjęcie w jakimś „Super Expressie”. I tyle.

Nie o każdym pijanym kierowcy może dowiedzieć się policja, a tylko tacy mogą teoretycznie stanąć przed sądem i zostać ukarani. O każdym pijanym kierowcy wiedzą jego najbliżsi: koledzy, rodzina, znajomi. Wszak mało kto pije w samotności, a później siada za kierownicę!

Dla ograniczenia plagi pijanych kierowców nieporównanie bardziej skuteczna jest więc reakcja tych najbliższych. Ich zdecydowany sprzeciw jest ważniejszy niż postawa wszystkich policjantów drogowych razem wziętych. Rodzina czy znajomi wiedzą o każdym przypadku, policjanci o co setnym lub jeszcze mniej. Czyż można sobie wyobrazić przy obecnym natężeniu ruchu, aby kontroli policyjnej poddawać każdy samochód i każdego kierowcę? Sankcje społeczne bywają nieraz bardziej dotkliwe niż sankcje karne. Zwłaszcza że ukaranemu zaraz wszyscy współczują: biedaczysko, miał pecha. To współczucie najbliższych wydatnie łagodzi orzeczoną karę i zmniejsza jej skuteczność.

Trzeba zatem zmienić społeczną postawę wobec tego zjawiska. Kto to ma zrobić? Nie policjant, sędzia czy ustawodawca. To zadanie dla wychowawców, publicystów, księży, ale także nas wszystkich. Zbyt często chcemy, żeby wyręczył nas policjant lub sędzia.

Czy bestia zachowuje godność ludzką?

Okrutny gwałcieciel i morderca Adrian W., nazwany przez matkę ofiary „zwierzęciem, które trzeba zabić”, zaskarżył ją o naruszenie dóbr osobistych. Zrozpaczona matka zamordowanej dziewczyny miała prawo dać się ponieść emocjom i taka jej wypowiedź nie może nikogo dziwić.

Dziwić musi bezczelność mordercy. Jakby nie zrozumiał ogromu zła, które wyrządził, jakby nie rozumiał uczuć cierpiącej po stracie córki matki, jakby nie zrozumiał, że wypowiedziane pod swoim adresem słowa po tysiącokroć sam sprowokował. Jestem przekonany, że sąd oddali jego powództwo, uznając wypowiedź matki ofiary za usprawiedliwioną, wypowiedzianą w zrozumiałej w jej sytuacji emocji. Matce ofiary tak powiedzieć było wolno. Tymczasem głos zabrał doradca Rzecznika Praw Obywatelskich pan Krzysztof Orszagh: „Nie może być tak, żeby takie indywiduum występowało o ochronę godności. On jej nie ma. Można o nim mówić tylko tak, jak się mówi o fekaliach, co musi być usunięte. On jest jak gangrena. Nie naruszono jego dóbr osobistych, bo on takowych nie ma. Takim osobom nie wolno o nie występować” – grzmiał doradca RPO.

Przede wszystkim panu Orszaghowi nie wolno nikogo porównywać do fekalii czy gangreny, choćby chodziło – jak w tym przypadku – o bandytę. Za jego zbrodnię sąd wymierzył temu bandycie karę dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności. Sąd wyższej instancji sprawdzi zapewne, czy jest to kara sprawiedliwa i wystarczająca. Doradca Rzecznika Praw Obywatelskich powinien też wiedzieć, że każdy, największy nawet i odrażający bandyta jest jednak człowiekiem i – co może wydać się komuś dziwne – zachowuje godność ludzką i przysługują mu prawa człowieka, wreszcie ta godność i te prawa podlegają prawnej ochronie.

Nie są to jakieś liberalne nowinki. Juliusz Makarewicz, konserwatywny w swych poglądach wybitny polski karnista okresu międzywojennego, którego nikt przy

zdrowych zmysłach o liberalizm nie posądzi, twórca kodeksu karnego z 1932 roku na początku lat 20. XX wieku pisał, że przestępca jest podmiotem, a nie przedmiotem, który można traktować instrumentalnie, gdyż nie pozwala na to przysługująca mu godność ludzka. „Przestępca nie przestał być człowiekiem i obywatelem”, a „humanitaryzm każe nam widzieć w przestępcy zawsze jeszcze człowieka, który wymaga poszanowania ludzkiej godności”. Powołałem się na Makarewicza, choć równie dobrze mógłbym powołać się na Katechizm Kościoła katolickiego. Chrześcijaństwo nie ma wątpliwości, że nawet największy zbrodniarz nie przestaje być osobą ludzką, która jako dziecko Boże ma swoją ludzką godność i przyrodzone prawa.



Rzecznik Praw Obywatelskich jest także rzecznikiem praw przestępców. Ma obowiązek stać na straży im również przysługujących praw człowieka, w tym prawa do ludzkiej godności. Taka wypowiedź doradcy rzecznika zupełnie tegoż doradcę dyskredytuje. Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich jest ostatnim miejscem, z którego mogłyby paść takie słowa. Pan Orszagh doradzał przez niespełna tydzień, zrezygnował z funkcji po tym, gdy rzecznik dr Janusz Kochanowski oświadczył dobitnie, że takie opinie i wypowiedzi uważa za niedopuszczalne. W swej praktyce zawodowej początkowo jako biegły sądowy, później jako adwokat miałem do czynienia z wieloma przestępcami. Spotkałem wielu zabójców. Były wśród nich prawdziwe bestie i osoby godne najwyższego współczucia. Ale nawet u najokrutniejszych wielokrotnych zabójców zawsze były jakieś isierki dobra: a to szczerza troska o los własnych dzieci, a to gorąca miłość do żony czy matki.

Oni naprawdę są ludźmi! A gdyby zapoznać się z historiami ich życia, często nieszczęśliwego, znaczonego różnymi dramatycznymi, nie zawsze przez nich zawinionymi zdarzeniami, niechęć do nich nieraz zastąpiona zostanie współczuciem. To nie znaczy, że nie mają ponieść kary. Choćby najsurowszej. Ale nikt nie ma prawa nazywać ich „fekaliami” czy twierdzić, że są pozbawieni ludzkiej godności.

[„Kraków” 2006, nr 3]

Dlaczego przestępczość maleje?

Z badań Instytutu Maksa Plancka we Freiburgu wynika, że w drugiej połowie lat 90. XX wieku przestępczość zmalała zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i Europie Zachodniej. W tym czasie w USA prowadzono surową politykę karną: orzekano surowe kary z karą śmierci włącznie, w Europie Zachodniej – przeciwnie, polityka karna była liberalna, nie ma kary pozbawienia życia, orzekane kary więzienia były nieporównanie łagodniejsze, również warunki jej odbywania mniej surowe niż w Stanach. Podsumowując wyniki badań, napisano między innymi, że potwierdziły one znaną od dawna prawdę, iż polityka karna ma tylko niewielki wpływ na poziom przestępczości.

Dodać wypada, że w czasie, gdy w Nowym Jorku liczba przestępstw spadła o około 20 procent, co powszechnie przypisywane jest ówczesnemu (1.01.1994–31.12.2001) burmistrzowi Rudolphowi Giulianiemu i jego twardemu programowi „zero tolerancji”, w innych miastach amerykańskich przestępczość zmalała identycznie, choć burmistrzem nie był Giuliani i nie realizowano tam programu „zero tolerancji”. Co więcej, w tych innych miastach mniej ludzi niewinnych i przypadkowych ucierpiało wskutek gorliwych działań policji, mniej było skarg na nią, mniej spraw przeciw policji i stróżom porządku niż w Nowym Jorku. Wypada dodać, że w tym czasie, gdy przestępczość w Ameryce tak znacznie malała, prezydenckie orędzie do narodu o stanie państwa zaczynało się od słów: „Stan państwa jest doskonały” i była to prawda. Znakomita koniunktura i spadek przestępczości pozostają ze sobą w ścisłym związku. Jest na ten temat cała literatura, niestety nie wszyscy zdaje się ją czytać, choć niektórzy powinni.

Prowadziliśmy w międzynarodowym zespole badania nad przestępczością w krajach Europy Środkowej i Wschodniej w okresie transformacji. W krajach tych, od Słowenii po Estonię, różne były polityki karne, kodeksy o różnym stopniu surowości, różne warunki wykonywania kary, różnie skuteczny wymiar

sprawiedliwości i bardzo różne policje – od organizowanych od nowa po stare, które wraz ze swą kadrą, strukturą i przyzwyczajeniami weszły w nowy ustrój. Zróznicowane były też reformy wymiaru sprawiedliwości. Przestępczość mimo to wszędzie zachowała się tak samo: najpierw w 1990 roku kilkudziesięcioprocentowy wzrost liczby przestępstw ujawnionych, później ciągły, choć już nie tak gwałtowny wzrost, wreszcie stabilizacja na znacznie wyższym niż przed transformacją poziomie, a teraz nawet, tak jak w Polsce, niewielki spadek liczby przestępstw.

Wnioski? Podobne jak z badań niemieckich. W Polsce wciąż jednak mamy nowych kandydatów na polskiego Giulianiego, którzy chcą zmniejszyć przestępczość za pomocą surowych kar i zdecydowanych działań policji. To straszenie karami i policją już rzekomo odnosi skutek, o czym publicznie zapewniał minister Dorn. Działania rządu Kazimierza Marcinkiewicza (właściwie ich zapowiedzi) już przyniosły skutek: przestępczość zaczęła spadać!



No proszę, jeszcze nie zdążono zaostrzyć kar, a przestępczość już spadła! I będzie spadać dalej. To może nie trzeba zaostrić kar, boć przecież zaostrić nie było motywowane tym, że przestępczość rośnie? Lektura statystyk kryminalnych (kto je czyta?) pokazuje, że przestępczość nieznacznie bo nieznacznie, ale maleje, nie od czasu, kiedy do jej zwalczania wziął się rząd Marcinkiewicza, ani nawet od chwili, gdy do rządu moralnej odnowy wszedł Andrzej Lepper, ale od roku 2003. Wszystko wskazuje, że jest to tendencja stała.

Nie jest to też zasługą rządów Millera ani Belki. Przestępczość to taki fenomen, któremu obojętne jest, jak się nazywa premier, i nie reaguje na to, co mówi minister sprawiedliwości na swych licznych konferencjach prasowych. Nie boi się też groźnych min ministra od specsłużb, tym bardziej gdy tropi on jedynie urojone, czy mówiąc delikatniej – wirtualne „układy”, ani ministra spraw wewnętrznych, który uważa się za najlepszego szefa resortu od czasów co najmniej Sławoja-Składkowskiego.

I tu nowa zagadka logiczna. Jak to jest, że prokuratura, na której czele stoi sam minister Ziobro (wspiera go z ław opozycji nawet sam Jan Maria Rokita),

policja nadzorowana przez najlepszego ministra spraw wewnętrznych Dorna, wreszcie Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego „koordynowana” przez ministra Wassermanna, najbardziej przenikliwego tropiciela spisków i układów, które – jak sam to obwieścił – tropi z narażeniem życia, nie są w stanie skutecznie zwalczać korupcji i trzeba tworzyć nowy urząd z kolejnym jakobinem na czele? Mówiąc inaczej i wprost: dlaczego prokuratura, policja i ABW nie potrafią wykonywać swych konstytucyjnych obowiązków?

Wróćmy jednak do kwestii, dlaczego, w Polsce przestępczość spada. Składa się na to wiele czynników. Jednym z nich jest niż demograficzny, który sprawia, że maleje liczebność roczników najczęściej popełniających przestępstwa. Jak bowiem wiadomo, zdecydowaną większość przestępstw popełniają młodzi mężczyźni w wieku 17–40 lat. Ta grupa relatywnie maleje. Nie jest to czynnik jedyny, ale bodaj najważniejszy.

Są też inne. Stopniowa poprawa koniunktury gospodarczej, stabilizacja systemu norm rozchwianych w okresie transformacji, wreszcie pojawienie się przed młodymi perspektyw znalezienia pracy jeśli nie w kraju, to w innych państwach Unii Europejskiej. Nastrój beznadziei, brak perspektyw życiowej stabilizacji i zaspokojenia aspiracji na drodze legalnej jest jedną z istotnych przyczyn przestępczości, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Możliwość, chociażby teoretyczna, zarobkowania w bogatszych państwach Unii, już sama świadomość tej możliwości to ważny wentyl rozładowujący frustrację wynikającą z braku perspektyw. Nie bez znaczenia jest i to, że część ludzi w wieku najbardziej „kryminalnym” fizycznie przebywa poza Polską, a pochłonięta tam pracą nie popełnia przestępstw albo je popełnia, obciążając jednak statystyki kryminalne innych państw.

O polityce, przemocy i karze śmierci

Śmierć zamordowanego bestialsko maturzysty stała się przyczyną (a dla niektórych pretekstem) wznowienia dyskusji o karze śmierci. Doszło do tego, że poważne osobistości życia publicznego w Polsce zaczęły głośno rozważać, czy aby nie należy przywrócić tej kary, dopiero co zniesionej przez nowy kodeks karny, który nie zdążył jeszcze nawet wejść w życie.

CZEGO JAŚ NIE WIE

W dyskusji na temat samej kary śmierci wypowiedziano w ostatnim stuleciu absolutnie wszystkie argumenty zarówno za, jak przeciw. Kolejne dyskusje są już tylko powtórzeniem poprzednich. Zajęcie stanowiska w tym sporze jest konsekwencją wyboru jednej z możliwych filozofii prawa karnego i teorii kary. Dokonanie tego wyboru jest dopuszczalne także z moralnego punktu widzenia.

Ale nawet uznanie moralnej dopuszczalności kary głównej, nie musi oznaczać, że kara ta musi być przewidziana przez kodeks karny, wymierzana i wykonywana. Uznając bowiem nawet, że są czyny, które na taką karę zasługują (np. akt terroru, w którym ginie wiele oczywiście niewinnych osób, w tym dzieci, czy szczególnie okrutne morderstwo zadane z premedytacją i szczególnym udręceniem ofiary), możemy zgodnie ze świadomym wyborem z niej zrezygnować. W najnowszym Katechizmie Kościoła katolickiego czytamy: „tradycyjne nauczanie Kościoła uznało za uzasadnione prawo i obowiązek prawowitej władzy publicznej do wymierzania kar odpowiednich do ciężaru przestępstwa, nie wykluczając kary śmierci w przypadkach najwyższej wagi [...]”. Jeśli jednak „środki bezkrwawe wystarczają [...] do ochrony porządku publicznego i bezpieczeństwa osób, władza powinna stosować te środki, gdyż są bardziej zgodne z konkretnymi uwarunkowaniami dobra wspólnego i bardziej odpowiadają godności osoby ludzkiej” (KKK, 2266–2267). Jak widać, nie ma absolutnego

religijnego zakazu stosowania kary śmierci, którego istnienie chcą wykazać niektórzy autorzy, ale tym bardziej nie ma żadnego nakazu jej stosowania. Ostatnio Polska, idąc za przykładem państw Unii Europejskiej, zniósła karę śmierci. Decyzja ta jest zrozumiała i uzasadniona z uwagi na nasze aspiracje do członkostwa w UE. I na tym właściwie dyskusję można by zakończyć.



Aby zrozumieć, dlaczego niektórzy politycy właśnie teraz dyskusję tę rozpoczynają od nowa, trzeba wiedzieć, że wedle badań opinii publicznej (przeprowadzonych przez CBOS w kwietniu 1997) 74% Polaków mniej lub bardziej zdecydowanie opowiada się za utrzymaniem kary śmierci, przeciwnego zdania jest 21% Polaków, ale tylko 7% zdecydowanie opowiada się za zniesieniem tej kary. Przeciętny Polak (ostatnio zwany „Jasiem Kowalskim”) ma prawo sądzić, że surowe kary (w tym kara śmierci) powstrzymają wzrost przestępczości.

Jednak prawnicy i kryminolodzy doskonale wiedzą, że sprawy te pozostają bez związku z sobą. Jeszcze w XVIII wieku Włoch Cesare Beccaria sformułował twierdzenie (po wielokroć później potwierdzone przez naukę), że „nie surowość kar, ale ich nieuchronność oddziałuje na przestępcę powstrzymująco”. Wspomniany Jaś Kowalski ma prawo tego nie wiedzieć. Ale czy to możliwe, że nie wie tego otoczony gronem doradców minister spraw wewnętrznych i administracji Leszek Miller? Jestem przekonany, że minister wie o tym doskonale, tak samo jak doskonale wie, iż 74% potencjalnych wyborców chce kary śmierci. Zgłoszone przez ministra żądanie przywrócenia kary śmierci to kokietowanie tych ludzi przed wyborami.

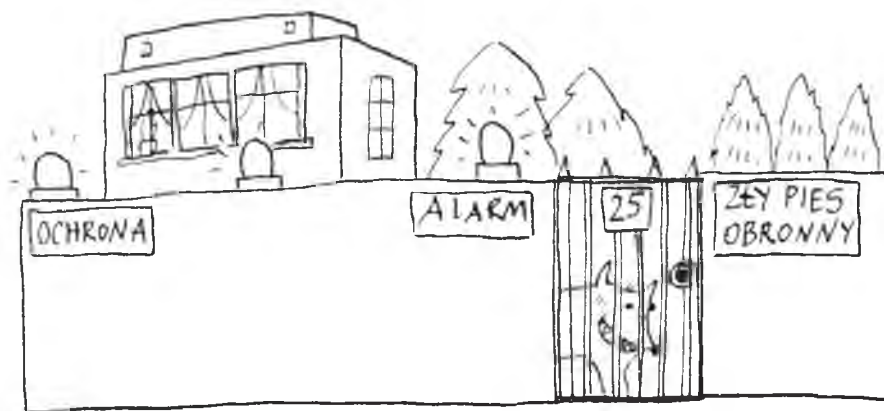
ŹRÓDŁO STRACHU

Rodzi się pytanie: dlaczego Polacy żądają surowych kar za przestępstwa i dlaczego skutecznie można zabiegać o ich względy, domagając się kary śmierci? Mimo że Polska jest krajem względnie bezpiecznym (mamy niższy niż średni w tej części Europy i o wiele niższy niż przeciętny w Europie Zachodniej współczynnik przestępstw, znacznie mniejszą liczbę zabójstw, kradzieży samochodów itd.), społeczne poczucie zagrożenia jest u nas bardzo wysokie, jedno z najwyższych w Europie. Polacy nie czują się bezpieczni w swoim państwie. I to jest fakt. Skąd się to wzięło? Ten strach przed przestępstwem nie jest w Polsce konsekwencją realnego poziomu zagrożenia, ale efektem

gwałtownego wzrostu liczby przestępstw w krótkim czasie, pojawienia się nowych, dotąd nieznanych form przestępczości (np. przestępczości zorganizowanej w powiązaniach międzynarodowych) przy równoczesnym, skądinąd normalnym i zrozumiałym, intensywnym zainteresowaniu mediów kazuistyką przestępczości. To zainteresowanie mediów jest dla odbiorców (telewizjów, słuchaczy, czytelników) czymś nowym, zaskakującym, czymś, do czego dopiero trzeba się przyzwyczaić.

Wedle badań opinii publicznej, blisko 75% Polaków uważa swój kraj za bardzo niebezpieczny, przy czym twierdzenia swe opiera na informacjach z TV (73%), prasy (15%), radia (7%). Tylko znikomy procent przekonanie swe opiera na doświadczeniach osobistych i doświadczeniach osób najbliższych. Równocześnie ok. 70% Polaków z przekonaniem twierdzi, że ich najbliższa okolica jest bezpieczna. Tu podstawą tego przekonania są właśnie doświadczenia własne, rodziny, sąsiadów.

Najnowsze badania wykazują, że rosnące od początku lat 90. poczucie zagrożenia zaczyna się powoli stabilizować. Świadczy to o tym, że społeczeństwo przyzwyczaja się do informacji o zbrodniach podawanych w mediach i informacje te nie robią już takiego wrażenia jak kiedyś. Jeśli informacje takie nie będą dla odbiorców interesujące, media zaczną o nich mówić i pisać mniej, co dodatkowo wzmocni proces obniżania poczucia zagrożenia.



Wysoki poziom społecznego poczucia zagrożenia rodzi określone sytuacje społeczne i polityczne, a także, choć pośrednio, gospodarcze. Ludzie, bojąc się przestępstwa, nie wychodzą wieczorami z domów, unikają pewnych miejsc, które ich zdaniem są szczególnie zagrożone, zakładają dodatkowe zamki, kupują duże obronne psy, ubiegają się o zezwolenia na broń. W polityce gotowi są zaakceptować władzę autorytarną, która zapowiada wprowadzenie porządku i rozprawienie się z przestępczością. Bojąc się, postawiony przed alternatywą „wolność

albo bezpieczeństwo”, gotowy jest wybrać bezpieczeństwo. Wysokie poczucie zagrożenia powoduje, że ludzie domagają się surowych kar dla przestępców, z karą śmierci włącznie.

Politycy, zwłaszcza przed wyborami, gotowi są wykorzystać stan nastrojów społecznych do własnych celów. Też domagają się surowych kar, głośno opowiadają się za karą śmierci, deklarują powszechną dostępność do broni palnej itd.

SZUKANIE WINNEGO

Jeśli chcemy powstrzymać wzrost przestępczości, to musimy myśleć nie o zastrzaniu kar, ale o tym, jak uczynić, aby były one bardziej „nieuchronne”. Co to znaczy praktycznie? Ano znaczy, że trzeba poprawić niską wykrywalność przestępstw, że trzeba skrócić czas oczekiwania na rozprawę, na wyrok... Trzeba zatem poprawić pracę policji, prokuratur i sądów. Tymczasem reforma policji po pierwszym etapie z początku lat 90., utknęła w miejscu, o reformie sądów czy prokuratury nikt zdaje się nie myśli.

Nieudolność organów ścigania działa niewątpliwie zachęcająco na świat przestępczy. Ale nie jest to ani jedyna, ani nawet żadna z liczby głównych przyczyn przestępczości i jej wzrostu. Najsprawniejsza, najlepiej wyposażona policja, najbardziej fachowo i najszybciej działający sąd nie zastąpi dobrego wychowania w rodzinie, szkole, w zakładzie pracy. Żadna policyjna kontrola nie zastąpi kontroli społecznej. Żadna policyjna siła nie zastąpi społecznej energii w pracy z młodzieżą zagrożoną i zdemoralizowaną. Nie zastąpi naturalnych więzi społecznych, których istnienie najskuteczniej powstrzymuje przed przestępstwem. Istnienie tych więzi nie tylko powoduje to, że sąsiad czuwa nad mieniem sąsiada, ale także nad zachowaniem jego dzieci. Dlatego tak ważne są te wszystkie, ciągle mało u nas popularne programy społeczne (takie jak np. „Bezpieczne Miasto”), przełamujące sprzyjające przestępczości zatomizowanie społeczeństwa i uczynienie człowieka samotnym anonimowym. Jeśli chcemy naprawdę ograniczyć przestępczość i wyeliminować przemoc, musimy umocnić rodzinę, stworzyć jej takie warunki materialne, które dadzą matkom szansę wychowywania dzieci. Musimy zreformować szkołę tak, aby uczyła i wychowywała... To musi zrobić państwo. Tego od państwa mamy prawo wymagać. Ale to za mało. Społeczeństwo musi sobie uświadomić, że przestępczość rodzi się w nim.

Marsze i protesty przeciw przemocy, obok formułowania słusznych skądinąd żądań pod adresem policji czy w ogóle państwa, powinny skłaniać także do rachunku sumienia i refleksji osobistych. Rodzice niech przemyślą, czy dostatecznie dużo czasu poświęcają swym dzieciom, czy nie jest im w gruncie rzeczy wygodniej, gdy wyręczają ich w wychowaniu dzieci ulica, telewizja,

wypożyczalnia kaset wideo? Czy nauczyli dzieci odróżniać dobro od zła? Czy osobistym przykładem wpoili w dzieci dwa podstawowe sentymenty moralne: uczucie litości i uczciwości?



Redaktorzy i właściciele mediów niech przemyślą, czy aby nie są odpowiedzialni za skutki upowszechniania kultury przemocy? Nauczyciele, wychowawcy, pracownicy wyższych uczelni, czy nie mają sobie nic do zarzucenia w tym względzie? A politycy, tak zręcznie zacierający nieraz różnicę między dobrem a złem?

Źródła przestępczości tkwią w społeczeństwie. To znaczy tkwią one w nas! Nie szukajmy zatem przyczyn przestępstwa gdzieś daleko. Nie pocieszajmy się, że za przestępczość odpowiada ktoś inny: może policja, może sądy, może masoni i postmoderniści. Nie szukajmy też cudownych, magicznych rozwiązań. Takich jak pomysł uzbrojenia wszystkich w broń palną albo przywrócenie kary śmierci. I nie dajmy się ogłupić politykom.

[„Tygodnik Powszechny”, 13.07.1997, nr 28]



**policja, sądy
i tajne służby**

Dyskretny urok tajnych służb

Stan naszych służb specjalnych, a szczególnie Urzędu Ochrony Państwa, jest fatalny. Przez ostatnie lata UOP i jego poszczególni funkcjonariusze brali udział w grach i prowokacjach politycznych, prasa zarzuca im nadużycia finansowe, prowadzenie półlegalnej czy całkiem nielegalnej działalności gospodarczej. Gazety wszystkich orientacji zasilane były tajemnicami wyciekającymi czy wręcz wynoszonymi z UOP przez konkurujące ze sobą frakcje oficerów. To wyciekanie stało się nawet przysłowiowe: „Ten okręt już się nie zanurza, on cieknie jak UOP” – informował o stanie okrętu podwodnego oficer marynarki wojennej. Jedne akta w UOP poginęły, inne zaś podobno sfabrykowano. O sukcesach nie słyhać. W Warszawie mówi się, że ze sprawozdania UOP wynika, że przez ostatni rok wywiad nie zwerbował ani jednego agenta. Wierzę, że minister Pałubicki słusznie dokonał doraźnych zmian kadrowych w UOP. Chcę jednak też wierzyć, że zmiany w Urzędzie nie ograniczą się do takich posunięć. Wyrzucanie jednych oficerów na podstawie donosów innych oficerów do uzdrowienia UOP nie wystarczy. Rząd powinien pilnie opracować program naprawczy tego urzędu.

NIE ŚCIGAĆ SIĘ Z POLICJĄ

Zacząć trzeba od jasnego określenia kompetencji i zadań UOP. Jego zadaniem jest ochrona bezpieczeństwa państwa i ochrona porządku konstytucyjnego. Inaczej mówiąc, do jego zadań należy cywilny wywiad, kontrwywiad i policja polityczna.

Tymczasem, sądząc po relacjach prasowych, w przerwach między jedną a drugą aferą polityczną UOP konkuruje z policją w ściganiu przestępczości gospodarczej, z policją i Strażą Graniczną – w zwalczaniu przemytu narkotyków, z policją, Nadwiślańskimi Jednostkami Wojskowymi i Strażą Graniczną – w walce z terroryzmem (którego na szczęście jeszcze nie ma).

Zwalczanie przestępczości gospodarczej i zorganizowanej, narkotyków i terroryzmu trzeba zostawić policji, która ma liczniejsze specjalistyczne służby, należy do Interpolu i ma możliwości międzynarodowego współdziałania w tym zakresie.

Trzeba zająć się wywiadem. Aby nie wyznaczał sobie – jak dotąd – zadań sam i nie rozliczał się z ich wykonania jedynie przed samym sobą. Konkretnie zadania musi zlecać wywiadowi rząd i to rząd musi oceniać, czy na swoje pytania uzyskuje zadowalające odpowiedzi.

Trzeba też zmienić styl działania za granicą. Wysyłanie tam udających dyplomatów oficerów wywiadu zaczyna już, zdaje się, nieco niecierpliwić naszych

nowych sojuszników, tym bardziej że całkiem często zdarza im się oglądać twarze oficerów, których „namierzili” jeszcze przed 1989 rokiem. Jeśli prawdą jest, a obawiam się, że tak, iż głównym źródłem informacji wywiadu są depeche ambasadorów, które oficer-rezydent czyta i komentuje przed wysłaniem do kraju, to rozwiązaniem tańszym i bardziej bezpiecznym byłoby usytuowanie tego komentatora w kraju. Natomiast inwigilowanie personelu placówki i zbieranie plotek z życia ambasady też nie dostarcza wiedzy i tych informacji, na które czeka rząd.

Zakładanie przez wywiad różnych firm, zapewne celowe, wymaga zdecydowanie większej niż dotąd kontroli (także finansowej!) kierownictwa Urzędu, a cała działalność „gospodarcza” dokładniejszej

kontroli tak ze strony premiera, jak i komisji sejmowej.

Polska jest dziś jednym z nielicznych krajów, w których wywiad działa bez ustawowej podstawy. Ustawa o UOP może regulować najwyżej działalność kontrwywiadu czy policji politycznej, na podstawie działań wywiadu po prostu się nie nadaje. Nie mówi ona, co funkcjonariuszom wywiadu wolno w kraju, co za granicą, a czego im robić w ogóle nie wolno. Nie mówi ani od kogo, ani jakimi metodami mogą oni zbierać informacje, kogo i w jaki sposób mogą werbować, nie wyznacza granic dla działań dezinformacyjnych czy dezintegracyjnych, a te ostatnie z natury rzeczy muszą być w konflikcie z prawem karnym i, co gorsza, muszą być stosowane.

Dopóki te sprawy – i wiele podobnych – nie zostaną prawnie uregulowane, wywiad będzie działał poza prawem, na podstawie różnych tajnych instrukcji wewnętrznych, które jeśli nie mają umocowania ustawowego, z prawnego punktu widzenia są nielegalne. W takiej sytuacji nigdy nie będzie jasne, co jest



jeszcze dozwolone, a co już nie. Nie będzie jasne, kiedy funkcjonariusz wywiadu popełnił przestępstwo, a kiedy działał w ramach „szczególnych uprawnień i zezwoleń”.

Obowiązująca ustawa o UOP wymaga również daleko idącej nowelizacji, chociażby ograniczenia możliwości stosowania metod pracy operacyjnej. Ustawa ta długo nie zabraniała np. werbowania osób zajmujących najwyższe stanowiska w państwie. Dopiero w 1997 roku korektę wprowadziła tu – nie wykonywana zresztą – ustawa lustracyjna. Owa korekta nie zabrania jednak tego Wojskowym Służbom Informacyjnym, które nadal nie mają żadnych formalnych przeszkód w werbowaniu na konfidentów ministrów, posłów czy senatorów.

Ustawa nie zabrania podsłuchiwania spowiedzi czy rozmów podejrzanego z adwokatem. Nie ma też dziś formalnych przeszkód, aby oficer na tzw. etacie niejawnym był ministrem, sędzią, adwokatem czy duchownym. Możemy więc któregoś dnia obudzić się w Mroźkowym państwie, w którym np. minister koordynator służb specjalnych będzie tajnym współpracownikiem ministra spraw zagranicznych, który faktycznie jest majorem na niejawnym etacie i podlega podpułkownikowi, którego przełożony jest podwładnym tajnego współpracownika, czyli ministra koordynatora, który dał się zwerbować z litości nad wywiadem, bo temu nie udało się zwerbować nikogo więcej.

W świetle obowiązującej ustawy o UOP jest to możliwe i byłoby w pełni legalne.



PODNIECAJĄCE ARCHIWUM

Nawet w najbardziej demokratycznym państwie działa policja polityczna. Zwykle nazywa się ona subtelniej – „służba ochrony porządku konstytucyjnego”. Jest różnie usytuowana, czasem w policji (tak jest we Francji czy w Wielkiej Brytanii), czasem jest odrębnym urzędem (tak jest w Niemczech). Jednak trzy zadania ma wszędzie takie same: koordynację ochrony tajemnicy państwowej, monitorowanie życia społecznego i politycznego pod kątem zagrożeń dla porządku konstytucyjnego oraz badanie kadr do służby na wysokich stanowiskach państwowych.

Zadania służby ochrony porządku konstytucyjnego i metody ich realizacji też wymagają ustawowego określenia. Np. jakimi metodami mogą być zbierane informacje o życiu społecznym i politycznym? Czy mogą to być tylko informacje czerpane z jawnych źródeł, czy też można je zbierać konfidentcjonalnie?

Czy wolno w tym celu werbować np. szefa partii lub umieszczać w niej „agenta wpływu”? To musi określić ustawa.

W centrali UOP jest Zarząd Śledczy, w delegaturach – Wydziały Śledcze. Założenie było takie: gdy kontrwywiad operacyjnie „namierzy” szpiega, to czynności procesowe (pod nadzorem prokuratora) prowadzić będzie pion śledczy. Od 1990 roku, o ile dobrze pamiętam, prowadzono postępowania karne przeciw trzem szpiegom i jedno ogólnie znane postępowanie „w sprawie”, które prokurator wojskowy umorzył. Czy do tego trzeba utrzymywać cały pion śledczy? Może wystarczyłaby nieduża komórka w Centrali? Obawiam się, że z braku procesów szpiegowskich ten pion UOP, uzasadniając potrzebę swego istnienia, albo pozoruje pracę, albo angażuje się w sprawy przestępczości gospodarczej, bez żadnej uzasadnionej potrzeby wchodząc na podwórko policji.

Ważną i szczególnie podniecającą polityków częścią UOP jest archiwum. Wobec coraz powszechniejszych postulatów udostępniania obywatelom ich akt wytworzonych w czasach PRL, archiwum będzie musiało przejść gruntowną reorganizację. Materiał bieżący (operacyjny) musi zostać oddzielony od archiwalnego. Technicznie będzie to bardzo trudne, te dwa rodzaje materiałów są bowiem ze sobą organicznie powiązane.

Ustawa o dostępie do akt musi się liczyć z rzeczywistością. Jej wykonanie, jeśli nie ma być tylko propagandową fikcją, wymagać będzie nakładów finansowych. Trzeba zacząć od budowy czy adaptacji specjalnego budynku. Trzeba przygotować nowych archiwistów, którzy selekcjonować będą materiał archiwalny „tajny spec. znaczenia”, a później obsługiwać Archiwum Obywatelskie, czy jak się ono będzie nazywało. Trzeba przy tym uważać, aby reorganizacja archiwum nie zablokowała lustracji. Wymaga to zabezpieczenia odpowiednich sum w budżecie i wielu przedsięwzięć organizacyjnych. Czy powstał już jakiś harmonogram takich przedsięwzięć?

Dotychczasowe ustawowe gwarancje apolityczności UOP okazały się dalece niedostateczne. Został on upolityczniony, a nawet rozpolitykowany. Jego oficerowie uczestniczą nie tylko we wspomnianych już politycznych grach, lubią też występować w telewizji, udzielać wywiadów. Trzeba mieć pomysł na wzmocnienie niedostatecznych jak dotąd gwarancji apolityczności.

Trzeba też szefowi UOP dać niezbędne uprawnienia dyscyplinarne, łącznie z możliwością zwalniania „dla dobra służby” bez konieczności dowodzenia winy i bez konieczności sądowej kontroli takiej decyzji. Tego instrumentu niedawno szef UOP został pozbawiony, w nadmiernej trosce o prawa pracownika.

CZARODZIEJE Z URZĘDU

Nigdy nie byłem za tzw. opcją zerową w UOP. Choćby dlatego, że uważam, iż nie jest ona do zrealizowania. Obawiam się jednak, że jeśli w krótkim czasie nie zostaną podjęte zdecydowane działania zmierzające do naprawy tego Urzędu, „opcja zerowa” zrealizuje się sama: UOP przestanie być zdolny do realizowania swych ustawowych zadań.

Jeśli gruntowna reforma UOP nie zacznie się zaraz, to nie zacznie się nigdy. Wierzę w szlachetne intencje ministra Pałubickiego. Obawiam się jednak, że w miarę upływu czasu będzie ulegał czarowi służb specjalnych, których funkcjonariusze mają wyjątkowy talent do czarowania, szczególnie silną motywację do tego typu działań, niemałe w nich doświadczenie i, co tu dużo mówić, spore sukcesy na tym polu.

„Czarowanie” polega zwykle na przyniesieniu kilku informacji poufnych na temat przeciwników szefa, pokazaniu kilku supertajnych (przynajmniej formalnie) dokumentów, od których nowemu szefowi włos się jeży, przez ciało przechodzi dreszcz i rodzi się w nim świadomość wstąpienia w krąg wtajemniczenia. Przy okazji „czarodzieje” mają okazję zdobyć zaufanie szefa, a on sam zaczyna się identyfikować ze służbami, które ma nadzorować, zaczyna patrzeć na świat przez ich okulary, ba, nawet mówić ich slangiem.

Wciąż mam nadzieję, że minister Pałubicki się temu oprze, choć pierwsze niepokojące sygnały zauroczenia służbami już napłynęły. W pierwszych dniach urzędowania minister oświadczył z przejęciem: „Dostałem informację, że służby mogą być wykorzystane do celów politycznych”, a to tak bardzo nim wstrząsnęło, że natychmiast przystąpił do gruntownych zmian personalnych w Urzędzie.

To zaś wstrząsnęło jego poprzednikiem, ministrem Siemiątkowskim, który jeszcze niedawno, podpuszczony przez inną zdaje się frakcję oficerów UOP, podzielił się ze społeczeństwem kolejną rewelacją: że wywiad rosyjski interesuje się sytuacją w Polsce.



Tuż przed wyborami z kolei wywiad UOP podzielił się z premierem Cimoszewiczem poufnym ustaleniem, że politycy zachodni jak jeden mąż trzymają w czasie wyborów kciuki za SLD...

Tymczasem, by móc przeprowadzić skuteczne reformy, konieczne jest zachowanie dystansu w stosunku do ich przedmiotu. Dlatego im szybciej minister Pałubicki te reformy rozpocznie, tym większe będą one miały szanse na sukces.

[„Gazeta Wyborcza”, 03.12.1997, nr 281]

Jakiej policji Polacy potrzebują

Jak wynika z badań opinii publicznej, społeczeństwo polskie czuje się coraz bardziej zagrożone przestępczością. W 1996 roku według CBOS za główne źródło zagrożenia Polacy uważali „brak poczucia osobistego bezpieczeństwa mierzony zagrożeniem przemocą, napadami, kradzieżą”. Warto pamiętać, że w 1994 roku respondenci umieszczali to zagrożenie dopiero na szóstym miejscu, w 1995 roku już na czwartym. Nic więc dziwnego, że w kampanii wyborczej różne partie i politycy deklarowali poprawę bezpieczeństwa i zapowiadali zdecydowaną walkę z przestępczością.

Gdy jednak przeczytać uważnie obietnice nowych posłów i senatorów, to okaże się, że recepty na poprawę bezpieczeństwa są dwie. Pierwsza: zaostrzyć represje karne, włącznie z przywróceniem świeżo zniesionej kary śmierci. Druga: zreformować policję. Niestety, obie recepty są niewłaściwe.

To, że surowość kar nie ma w zasadzie wpływu na poziom przestępczości, prawnicy i kryminolodzy wiedzą od XVIII wieku. Wtedy to Włoch Cesare Beccaria – w książce, której polski przekład ukazał się już w 1772 roku – sformułował tezę, że nie surowość kar, ale raczej ich nieuchronność powstrzymuje przed przestępstwem. Teza ta została później wielokrotnie potwierdzona i uszczegółowiona w toku niezliczonych badań. Jeśli więc ktoś twierdzi, że zaostrzając kary, ograniczy przestępczość, to albo kłamie, albo daje dowód ignorancji z górą dwustuletniego dorobku kryminologii i nauk prawnych.

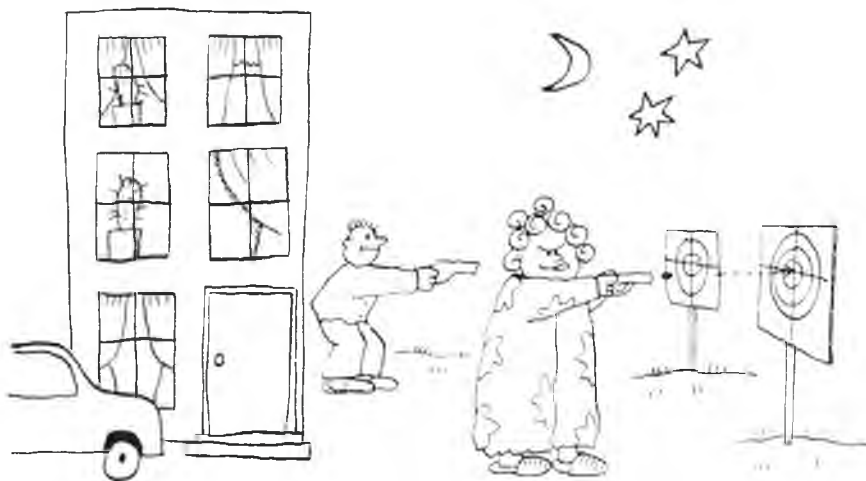
W każdym razie obietnicy nie zrealizuje, bezpieczeństwa nie poprawi.

Jeśli zaś chodzi o reformę policji, trzeba z góry ostrzec, że nie ma prostej zależności między stopniem zorganizowania i sprawnością policji a poziomem przestępczości. Niemiecka policja może służyć za wzór perfekcyjnej wręcz organizacji, a mimo to w Niemczech mamy co najmniej o połowę więcej zabójstw niż w Polsce (w przeliczeniu na liczbę mieszkańców), dwa razy więcej kradzieży samochodów itd.

Trzeba też jasno powiedzieć, że reforma samej policji, bez jednoczesnej reformy sądów i prokuratury, nie zda się na nic, bo te trzy instytucje muszą z sobą współdziałać jako jeden system czy mechanizm. Sądy, w których oczekiwanie na rozprawę trwa miesiącami, a procesy ślimaczą się bez końca, wymagają reformy nie mniej niż policja, a bezradność prokuratury jest wprost porażająca. Tymczasem o potrzebie reformy sądów i prokuratury mówi się niewiele, natomiast policję chcą reformować wszyscy.

RZĄDOWA CZY SAMORZĄDOWA?

Nie znaczy to oczywiście, że nasza policja nie wymaga reformy. Bez wątpienia jest zbyt scentralizowana i zbiurokratyzowana, a w konsekwencji nieruchawa, nieudolna i nade wszystko kosztowna. Bez głębokiej reformy każde zwiększenie budżetu policji i zwiększenie stanu zatrudnienia – o co zabiegają kolejni komendanci główni i ministrowie spraw wewnętrznych – będzie zwyczajnym marnotrawieniem podatków obywateli. Dzisiejsza nieruchawa machina policji pożre każdą liczbę etatów i każdą sumę pieniędzy, a jej skuteczność nie poprawi się wcale. Jest też nasza policja, jak na europejskie standardy, pod zbyt słabą kontrolą społeczną.



Jednak po wyborach o poprawie bezpieczeństwa mówi się niewiele, temat reformy policji jakby przestał być aktualny. W publikowanym przez „Gazetę Wyborczą” (z 7 listopada) omówieniu umowy koalicyjnej AWS-UW temat ten zredukowano do jednego, dość enigmatycznego zdania: „zmniejszenie zatrudnienia policjantów w administracji”. Dzięki Bogu w *exposé* premier Buzek powiedział więcej: „Rząd podejmie szybkie działania obejmujące m.in. zmniej-

szczenie zatrudnienia policjantów w administracji, dzięki czemu zwiększy się liczba patroli na ulicach miast. Stworzymy system kontaktów policji ze społecznościami lokalnymi i ich przedstawicielami, tak aby mobilizować obywateli do samoorganizacji i wspólnych działań profilaktycznych oraz wspierać pomoc sąsiedzka”.

Od czego zacząć zmiany? W dyskusjach toczonych dziś w środowiskach naukowych, samorządowych czy nawet policyjnych, z różną ostrością stawiane jest pytanie o zakres zadań policji. Czy ma ona ponosić samodzielną odpowiedzialność za bezpieczeństwo i porządek publiczny – i w tym zakresie sama sobie powinna wyznaczać zadania? Czy też powinna – wzorem przedwojennej Policji Państwowej – być tylko „ramieniem” administracji ogólnej (województw) i organów sądowniczych?

Jeśli przyjmiemy rozwiązanie wzorowane na przedwojennym i policja stanie się jedynie „organem wykonawczym” administracji, to w urzędach wojewódzkich (powiatowych) trzeba będzie utworzyć wydziały bezpieczeństwa, które analizowałyby informacje dostarczane przez policję, wyznaczały jej zadania i oceniały ich wykonanie. Rozbudowie ulegnie zatem nie część „liniowa”, lecz biurokratyczna.

W wariantie pierwszym (obecnie obowiązującym) komendant główny policji zachowuje daleko idącą autonomię i niezależność od politycznego z istoty rzeczy ministra spraw wewnętrznych. Jest – by przypomnieć art. 5 Ustawy o policji – „centralnym organem administracji właściwym w sprawach ochrony bezpieczeństwa ludzi oraz utrzymania bezpieczeństwa i porządku publicznego”. Przy przyjęciu wariantu drugiego komendant straci dotychczasową autonomię – odtąd będzie jedynie podległym ministrowi funkcjonariuszem odpowiedzialnym za organizację, administrację, szkolenie i zaopatrzenie policji. Ale też odpowiedzialność polityczną za decyzje wezmą na siebie minister i wojewodowie. Jest rzeczą do dyskusji, który z tych wariantów lepiej gwarantuje apolityczność policji.

W każdym razie ten problem trzeba rozstrzygnąć w pierwszej kolejności, zanim zaczniemy dyskutować o etatach. Dzisiejsze rozważania, czy w Komendzie Głównej Policji powinno być zatrudnionych 1 tys. 700 funkcjonariuszy czy może tylko 700 – bez określenia funkcji, jakie ma pełnić ta Komenda – są rozważaniami zupełnie abstrakcyjnymi.

Sklaniałbym się do wariantu pośredniego, do czego przekonuje mnie zarówno struktura policji w państwach Unii Europejskiej, jak i nasze polskie doświadczenia. Nie ulega wątpliwości, że w przyszłości uprawnienia wojewody w stosunku do policji muszą być większe niż obecnie. Minister administracji i spraw wewnętrznych winien scedować część swoich uprawnień na wojewodów. Jasno też musi być określona odpowiedzialność wojewody za decyzje i polecenia

wydane policji. Komenda Główna Policji mogłaby przekazać znaczną część swoich zadań – i środków na ich realizację – komendom wojewódzkim.

Plany te jednak będzie można zrealizować, jeśli komend wojewódzkich będzie nie 49, jak dotychczas, lecz co najwyżej kilkanaście. Wówczas dopiero byłoby możliwe przesunięcie wielu policjantów-urzędników do służby liniowej: do patrolowania, pracy operacyjnej i dochodzeniowo-śledczej. Struktura komendy wojewódzkiej wymusza bowiem z natury rzeczy mnóstwo etatów „nielinio-owych”: komendanci, ich zastępcy, naczelnicy, dyżurni, administracja itp. Jest zatem oczywiste, że reforma policji zależy od dokończenia reformy samorządowej i w zasadzie winna być przeprowadzona równocześnie ze zmianą podziału terytorialnego kraju.

Podsumowując: zasadnicza i prawdziwa reforma policji jest możliwa tylko jako fragment reformy całej administracji publicznej, ma zaś sens przy równoległej reformie prokuratury i sądów.

Nadto musimy się uporać z dwoma problemami. Po pierwsze, trzeba coś zrobić z Nadwiślańskimi Jednostkami Wojskowymi, podległymi ministrowi administracji i spraw wewnętrznych. Albo je zlikwidować, albo przekształcić na wzór francuskiej Żandarmerii Narodowej czy włoskich karabinierów (w formację pełniącą funkcje policyjne, ale podległą ministrowi obrony), albo wcielić do policji i połączyć z oddziałami prewencji. Po drugie, niezbędne jest wyraźne rozdzielenie zadań policji i UOP. Dziś obie te instytucje ścigają przestępczość gospodarczą, terroryzm, przestępstwa związane z handlem narkotykami itp.

POMYSŁY NA JUTRO

Bez zarysowanego wyżej programu wszelkie zmiany dokonane wewnątrz policji będą miały charakter jedynie kosmetyczny. Jednak i kosmetyka jest potrzebna. Czego powinna dotyczyć w pierwszym rzędzie?

Wiele zadań i środków powinno być kierowanych w dół – z komend wojewódzkich do rejonowych, z rejonowych do komisariatów.

Znaczna liczba stanowisk powinna zostać „ucywilniona”. Cała obsługa administracyjna i gospodarcza w komendach winna być prowadzona przez osoby cywilne, a nie przez funkcjonariuszy. Doprawdy, nie ma powodu, by sekretarka komendanta wojewódzkiego nabywała – jako funkcjonariuszka – uprawnienia emerytalne już po 15 latach służby, a wykonująca tę samą pracę sekretarka wojewody mogła przejść na emeryturę dopiero po ukończeniu 60 lat.

Wydaje się, że na etatach cywilnych można by zatrudniać w pierwszej kolejności emerytów policyjnych, którzy – jako względnie młodzi i zdolni do pracy – i tak na ogół szukają zatrudnienia, tyle że poza policją.

Nie jest możliwa reforma bez stworzenia nowoczesnego, spójnego systemu szkolenia i jasnych mechanizmów awansu dla młodych, wyróżniających się policjantów. Trzeba wyraźnie sprecyzować kwalifikacje wymagane na poszczególnych stanowiskach, wprowadzić klarowne procedury ocen i awansów. Umożliwiłoby to korzystną zmianę pokoleniową na stanowiskach kierowniczych w policji.



Wreszcie konieczne jest stworzenie w policji komórki legislacyjno-prawnej, przygotowującej projekty wewnętrznych aktów prawnych i rozporządzeń ministra spraw wewnętrznych, a także projektów ustaw, które powstają w resorcie. Jest to szczególnie istotne, bowiem uprawnienia policjantów – dotyczące np. stosowania środków przymusu czy użycia broni palnej – muszą być dostosowane do standardów europejskich, a dziś obowiązujące przepisy są niejasne zarówno dla policjantów, jak i dla obywateli. Taka komórka winna być szeroko otwarta także dla ekspertów spoza policji.

Trzeba wzmocnić ustawowe gwarancje apolityczności policji. Dotychczasowe zabezpieczenia okazały się niewystarczające, choć i tak policji udało się zachować apolityczność nieporównanie lepiej niż UOP. Pamiętamy jednak komiczny

Komitet Wyborczy NSZZ Policjantów, zgłaszający własnych kandydatów do Sejmu, czy oficerów policji kandydujących z list BBWR czy SLD. Również każda zmiana komendanta głównego miała w praktyce charakter polityczny, niekiedy połączony z politycznymi przetargami. Były też próby sytuowania w komendach policji – na stanowiskach oficerskich – cywilnych polityków szczebla lokalnego.

Niezbędne jest stworzenie odrębnego pionu policji ds. kontaktów ze społecznościami lokalnymi i samorządami. Funkcjonariusze tego pionu winni mieć, obok przygotowania policyjnego, także socjologiczno-pedagogiczne. Stale przebywając w rewirze, pełniliby funkcję łączników między policją a społecznościami lokalnymi, aktywizowali mieszkańców do działań na rzecz profilaktyki, walki z przestępczością i zjawiskami patologii społecznej, do pracy z młodzieżą zagrożoną i zdemoralizowaną. Na tym polu policja musi współdziałać ze społecznościami lokalnymi, organizacjami społecznymi, samorządami i szkołami. Do zadań policjantów należałoby też instruowanie obywateli w zakresie profilaktyki przeciwprzestępczej: jak zabezpieczyć mieszkanie czy sklep przed włamaniem, samochód przed kradzieżą, dzieci przed molestowaniem seksualnym itp.

Takie piony policji istnieją dziś w wielu krajach, m.in. w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Japonii. Potrafią być mocną tarczą przeciwko osiedlowym chuliganom czy sprzedawcom narkotyków, a także – co równie ważne – wzmacniają poczucie bezpieczeństwa wśród obywateli, podnoszą poziom zaufania do policji, budują jej image.

W naszym kraju jest zresztą coraz więcej lokalnych inicjatyw dla przeciwstawienia się przemocy czy kradzieżom. Nie wolno zmarnować tej aktywności. Jak pokazują doświadczenia USA czy krajów Europy Zachodniej, inicjatywy obywatelskie, jeśli tylko zostaną należycie wsparte przez policję, przynoszą doskonałe efekty. Równie zachęcające są wyniki naszych prób na tym polu – np. realizowany przez policję wspólnie ze społeczeństwem, m.in. w Kaliszu i Kielcach, program „Bezpieczne Miasto”. Wydaje się celowe, by na szczeblu gminy czy dzielnicy policyjny pion ds. kontaktów ze społecznościami lokalnymi był silnie powiązany z samorządem terytorialnym, podlegał jego ocenie i kontroli, był choćby częściowo finansowany przez samorząd.

Trzeba opracować kryteria obiektywnej, wielostronnej oceny pracy jednostek policji i zrezygnować z oceniania ich głównie na podstawie współczynnika wykrywalności przestępstw. Uczynienie fetysza z tego współczynnika prowadzi nie tylko do fałszowania statystyk, lecz przede wszystkim do sytuacji, w której policjanci bronią się przed przyjęciem zgłoszenia o przestępstwie, jeśli wykrycie sprawcy wydaje się mało prawdopodobne. Jest to jedno z poważniejszych źródeł demoralizacji policji.

I rzecz najważniejsza. Reforma policji podporządkowana być musi jednej, spójnej polityce bezpieczeństwa. Uchwalone w ostatnim okresie przez Sejm ustawy dotyczące bezpieczeństwa są niespójne – nie tylko nie tworzą systemu, ale wzajemnie sobie przeczą.

Dwa przykłady. Ustawa o ochronie osób i mienia daje pracownikom prywatnych agencji detektywistycznych uprawnienia funkcjonariuszy policji: pozwala im używać broni palnej i środków przymusu bezpośredniego. W Sejmie czeka też projekt ustawy o broni i amunicji. Jeśli zostanie przyjęty, broń palna stanie się w praktyce powszechnie dostępna. Jest absurdalne, że z jednej strony mówi się o konieczności zwiększenia uprawnień policji w walce z bandytyzmem, a z drugiej – tworzy przepisy, które dadzą pistolet do ręki każdemu, kto będzie miał na to ochotę.

W ostatnich latach różne akty prawne tworzone pod wpływem doraźnych impulsów (nawet takich, jak strzelanina pomiędzy dwiema grupami ochroniarzy w Terespolu) i nikt nie zadał sobie trudu, by połączyć te akty w jeden system.

[„Gazeta Wyborcza”, 13.11.1997, nr 264]

Mądry Polak po Słupsku?

W Słupsku zdarzyło się nieszczęście. Zginął trzynastoletni chłopiec. Każda niepotrzebna śmierć jest tragedią, a coś dopiero, gdy jest to śmierć dziecka? Okoliczności śmierci Przemka Czai wyjaśnić muszą prokuratura i sąd. Śledztwo, całe postępowanie karne odpowiedzieć musi na pytanie, czy przyczyną śmierci chłopca było użycie policyjnej pałki, a jeśli tak, to czy policjant zasadnie pałki tej użył, czy użył jej zgodnie z instrukcją. To już truizm, ale trzeba go raz jeszcze powtórzyć: na ileś tysięcy przypadków zasadnego i najbardziej zgodnego z regulaminem użycia pałki, jedno uderzenie będzie śmiertelne. Im policja rzadziej będzie pałek używać, tym prawdopodobieństwo takiego wypadku będzie mniejsze. Jak było w konkretnym przypadku w Słupsku, musi ustalić śledztwo i ostatecznie orzec niezawisły sąd. Tymczasem „szalikowcy”, młodzież, a w końcu nie tylko młodzież ze Słupska nie chciała czekać na ustalenia śledztwa, nie wierzyła sądowi ani prokuraturze. Wyszła na ulice, by po swojemu wymierzyć sprawiedliwość i ukarać policję. Zapłonęły więc radiowozy, pod gradem kamieni rozprysnęły się szyby policyjnych aut, odnieśli obrażenia policjanci.

Słupska ulica zrealizowała dokładnie filozofię, której wykład dali niedawno w mediach prominentni politycy: sądy są niesprawiedliwe („sąd pod sąd!”, „sędziowie mają niskie morale”), profesorowie prawa to oderwane od życia i zarozumiałe pyszałki, aby ferować wyroki, nie trzeba czekać na ustalenia śledztwa, lud sam wie najlepiej, co jest sprawiedliwe.

Nie wiem, czy śmierć trzynastolatka w Słupsku była wynikiem brutalności policjanta. Wierzę, że ustali to śledztwo i sąd. Jeśli okaże się, że tak, policjant poniesie odpowiedzialność karną i nie na wiele zda mu się zapewnienie polityka, że „dzisiaj policjant, nawet brutalnie działający, może liczyć na wsparcie 90% opinii publicznej”.

W „sprawie słupskiej” media mają pretensje do policji. Politycy mają pretensje do mediów. Zapewne policja popełniła w Słupsku błędy, które trzeba będzie

spokojnie i bez emocji analizować. Z całą pewnością media w relacjonowaniu i komentowaniu wydarzeń nie zawsze były odpowiedzialne i rzetelne. Wierzę, że rozpocznie się debata o odpowiedzialności dziennikarskiej. Czy politycy zechcą być bardziej odpowiedzialni? W to jakoś najtrudniej mi uwierzyć. W kilka dni po tragedii ślupskiej, w katowickim „Spodku” w czasie halowego turnieju piłki nożnej dochodzi do kolejnej gigantycznej awantury: blisko sto osób jest rannych, zdemolowana została hala. Policja tym razem z całą pewnością nic nie sprowokowała, bo przy wybuchu burdy w ogóle jej w „Spodku” nie było.



Najwyższy czas przestać się łudzić, że wyzwajające się pokłady agresji i frustracji młodzieży może powstrzymać policyjna pała, byle biła zgodnie z regulaminem, że problem rozwiążą godzina policyjna, akcja „Małolat” czy jej podobne. Problem jest znacznie poważniejszy. Diagnozę muszą postawić socjologowie i kryminolodzy i oni zaproponować muszą terapię. Politycy, jeśli naprawdę zależy im na stanie bezpieczeństwa, muszą tę terapię przeprowadzić. Już dziś

można powiedzieć z grubsza, na czym powinna ona polegać: trzeba zmniejszyć bezrobocie, zmniejszyć poczucie zagrożenia brakiem pracy i brakiem perspektyw życiowych, wzmocnić autorytet szkoły (w tym poprawić materialny status nauczyciela), przekonać, że pełny dostęp do dobrobytu jest możliwy dla każdego, a droga do niego wiedzie przez szkołę i pracę. W dodatku nie można dawać ludziom obietnic bez pokrycia, bo one tylko wzmagają frustrację i wywołują agresję.

Trudne to do zrealizowania? Bardzo trudne. Ale kto powiedział, że rządzenie jest łatwe? Przede wszystkim jednak nie można zachęcać policji do brutalnych działań, ani też społeczeństwa, by kierując się swoim poczuciem sprawiedliwości, nie oglądało się na sądy. Za kulturę prawną społeczeństwa, za społeczny spokój, za porządek i bezpieczeństwo odpowiadają wspólnie, choć w różny sposób: autorytety moralne, politycy, wychowawcy, stróże porządku, dziennikarze i profesorowie prawa. Niech każdy z nich uczciwie, rozumnie i odpowiedzialnie wypełnia swoje obowiązki. Niech każdy, gdy trzeba, uderzy się we własne piersi i pomyśli, co mógł zrobić, a nie zrobił, co jeszcze zrobić może. Szukanie winnych dookoła na nic się nie zda. A próba politycznego dyskontowania słupskiej tragedii to już po prostu niegodziwość.

[„Tygodnik Powszechny”, 01.02.1998, nr 5]

Pistolet dla Jasia Kowalskiego?

Jeśli Sejm przyjmie rządowy projekt ustawy o broni, pistolety staną się powszechnie dostępne, a szansa, że bandyta cię zastrzeli, będzie dwadzieścia razy większa niż to, że potrafisz się obronić.

Ustawa o broni i amunicji, której projekt rząd skierował ostatnio do Sejmu, upowszechni dostęp obywateli do broni palnej. Każdy, kto ukończył 21 lat i nie jest chory psychicznie, niedorozwinięty umysłowo, nie jest nałogowym alkoholiczkiem bądź narkomanem ani nie popełnił jeszcze przestępstwa z użyciem przemocy lub groźby bezprawnej, będzie musiał otrzymać zezwolenie na broń, jeśli o nie wystąpi.

CZTERY MITY

Projekt tej ustawy opiera się na kilku mitach. Mit pierwszy głosi, że w państwach totalitarnych dostęp obywateli do broni palnej jest ograniczony, a powszechny dostęp do pistoletów charakteryzuje kraje demokratyczne. Innymi słowy, stopień dostępności broni jest swoistą miarą stopnia demokratyzacji życia w państwie.

Prawda jest zupełnie inna. Dostępność broni palnej jest różnie uregulowana w różnych demokracjach. Istnieją kraje liberalne i troszczące się o prawa człowieka, w których posiadanie broni jest całkowicie zabronione (np. Japonia). Są takie, gdzie broń podlega dość ścisłej reglamentacji (np. Wielka Brytania), wreszcie takie, gdzie jest ona powszechnie dostępna (Stany Zjednoczone).

Mit drugi głosi, że nasze społeczeństwo domaga się dostępu do broni palnej, gdyż czuje się zagrożone, chce się bronić samo przed przestępcami, utraciwszy zaufanie do policji. Dlatego w uzasadnieniu projektu napisano m.in., że uregulowanie prawne zwiększające dostęp do broni wychodzi naprzeciw postulatom społecznym.

Tymczasem, jak wynika z badań CBOS, aż 83% Polaków uważa, że należy ograniczyć posiadanie broni palnej, a 66% popiera także ograniczenie dostępu do broni gazowej. Albo więc autorzy uzasadnienia (Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji) nie znają wyników badań opinii publicznej, albo znają je, a mimo to próbują wprowadzić Sejm w błąd.

Mit trzeci: posiadanie broni palnej pozwoli szaremu człowiekowi obronić się przed napastnikiem. Ale i to także nie jest prawdą. Wedle ostatnich badań amerykańskich na każde 200 osób zastrzelonych w tym kraju aż 166 to samobójcy, 20 – ofiary morderstw, kilka następnych to ofiary nieostrożnego obchodzenia się z bronią, a tylko jedna osoba to napastnik poległy od kul w trakcie napadu (dodajmy, że chodzi tu także o przestępców zastrzelonych przez policję).

W świetle tych danych widać, że skuteczność samoobrony wydaje się dość iluzoryczna. Bez większej przesady można stwierdzić: jeśli broń palna stanie się powszechnie dostępna, to szansa, że ktoś nas zastrzeli, będzie dwudziestokrotnie większa od szansy, że sami zastrzelimy napastnika.



W 1976 roku, wskutek wydania zakazu posiadania pistoletów i rewolwerów na terenie Dystryktu Columbia (USA), liczba zabójstw i samobójstw spadła o jedną czwartą, podczas gdy w sąsiednich stanach Maryland i Wirginia, gdzie takiego zakazu nie było, oba te zjawiska utrzymały się na dotychczasowym poziomie.

W Japonii, gdzie osoba prywatna nie ma możliwości uzyskania zezwolenia na posiadanie broni krótkiej (a broń myśliwska i nawet biała podlega bardzo silnej reglamentacji), w roku 1993 popełniono tylko 233 przestępstwa z użyciem broni palnej, w tym 30 zabójstw. W następnym

roku popełniono 249 takich przestępstw, w tym 38 zabójstw.

Dla porównania: w Polsce, której ludność jest trzykrotnie mniejsza, w 1994 roku popełniono blisko 400 przestępstw z użyciem broni palnej, w tym 58 zabójstw. Rok później liczba napadów z bronią w rękę wzrosła do ponad 900 (w tym 104 zabójstwa).

Mit czwarty polega na twierdzeniu, że przestępcy nie mają żadnego kłopotu z nielegalnym zdobyciem broni, ale „porządny obywatel” nie dostanie legalnego zezwolenia i pozostanie bezbronny.

Tymczasem, jak uczy doświadczenie, a potwierdzają wyniki różnych badań, liczba broni posiadanej nielegalnie pozostaje w stałej proporcji do liczby broni

posiadanej legalnie. Zwiększenie tej drugiej liczby automatycznie zwiększa pierwszą. Tak więc paradoks polega na tym, że im więcej broni posiadać będą „porządni obywatele”, tym więcej mieć jej będą przestępcy.

Niczyje bezpieczeństwo nie wzrośnie, wzrośnie natomiast zagrożenie. Do prawdopodobieństwa stania się ofiarą napadu dojdzie jeszcze zwiększone prawdopodobieństwo stania się ofiarą nieszczęśliwego wypadku bądź samobójstwa (zarówno posiadacza broni, jak i jego najbliższych).

ŻYĆ POD LUFA REWOLWERU

Jeśli ustawa o broni w kształcie projektowanym przez MSWiA zostanie przyjęta, należy oczekiwać trzech skutków. Po pierwsze, wzrośnie liczba przestępstw, zmaleje zatem realne bezpieczeństwo obywateli. Po drugie, po krótkotrwałym wzroście poczucia bezpieczeństwa u posiadaczy broni poczucie bezpieczeństwa obywateli (wszystkich! – łącznie z posiadaczami broni) gwałtownie się obniży, co pociągnie za sobą dające się przewidzieć skutki społeczne i polityczne. Czyżby to o te skutki chodziło twórcom ustawy?

Po trzecie, nastąpi brutalizacja działań policji. Przy każdej interwencji bowiem policjant będzie działał ze świadomością, że osoba legitymowana, zatrzymywana, ścigana w pościgu może być uzbrojona. Natychmiast też podniosą się głosy, by rozszerzyć uprawnienia policji do użycia broni.

I jeszcze kilka uwag na zakończenie. Trudno jednoznacznie ocenić, czy projekt omawianej ustawy jest wynikiem ignorancji i niekompetencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, czy też wynikiem jakiejś celowej działalności. Czyżby chodziło o przerzucenie na obywateli obowiązku obrony przed przestępstwem i odpowiedzialności za własne bezpieczeństwo?

Ośmielam się przypomnieć, że zapewnienie obywatelom powszechnego bezpieczeństwa (zarówno realnego, jak i poczucia bezpieczeństwa) należy do podstawowych obowiązków państwa. Prawda jest taka, że z tego obowiązku rząd się nie wywiązuje. Na dobrą sprawę jest obojętne, czy nie wywiązuje się, bo nie chce, czy dlatego, że nie potrafi. Skutek jest dokładnie taki sam.

Podsumowując: być może ministrowi Leszkowi Millerowi potrzebny był pistolet. Proszę tylko, by nie traktował go jako zabawki, zdarzają się bowiem nieszczęśliwe wypadki z bronią! Jasiowi Kowalskiemu pistolet na pewno nie jest potrzebny.

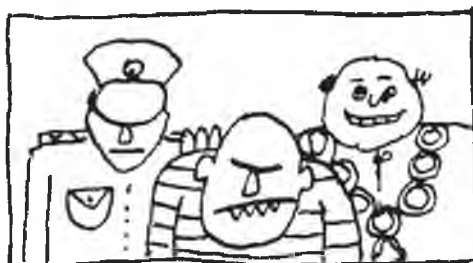
[„Gazeta Wyborcza”, 06.05.1997, nr 104]

Nie tylko policjant i sędzia

Kolejne wyroki uniewinniające w głośnych procesach kryminalnych bulwersują opinię publiczną. Trwa dyskusja nad metodami walki z przestępczością. Przeważa pogląd, że najlepszym sposobem zapewnienia obywatelom bezpieczeństwa są sprawna policja i surowe sądy, realizujące represyjne prawo. Tymczasem przestępczość ma wiele przyczyn. Dlatego też nie ma jednej prostej i cudownej metody jej ograniczania. Ten prosty fakt powinny uwzględniać wszelkie programy poprawy bezpieczeństwa Polaków.

Kryminologia dawno ustaliła, że skala przestępczości zależy przede wszystkim od czynników cywilizacyjnych: od poziomu zamożności obywateli, od możliwości awansu społecznego poprzez edukację i pracę oraz szans osiągnięcia preferowanego w danym społeczeństwie stylu życia na drodze legalnej, od poszanowania prawa i wreszcie od siły więzi kulturowych, które są niezbędne do funkcjonowania mechanizmów kontroli społecznej. Dopiero w dalszej kolejności wpływ na przestępczość i na bezpieczeństwo ma egzekwowanie prawa przez wymiar sprawiedliwości.

W Polsce jednak wciąż popularne jest przekonanie – także wśród elit – że najlepszy sposób na osiągnięcie porządku i bezpieczeństwa to sprawna policja i surowe sądy, realizujące represyjne prawo karne. Pogląd ten pojawia się w większości dyskusji politycznych i jest często prezentowany



w mediach. Widać go także w ogłoszonym niedawno, a zakrojonym na najbliższe dwa lata, rządowym programie walki z przestępczością.

Tymczasem poprawa bezpieczeństwa obywateli jest zadaniem nie tylko ministerstw spraw wewnętrznych oraz sprawiedliwości, ale całego rządu. Środkiem

zaś jest projektowanie mądrej polityki społecznej i gospodarczej, która służy podniesieniu poziomu życia, ograniczeniu bezrobocia oraz stworzeniu rzeniu młodzieży szans awansu. Państwo musi też zadbać o autorytet prawa. Czyli: uchwalane prawo musi być mądre, zrozumiałe i cieszące się poparciem większości obywateli oraz szanowane przez klasę polityczną. To są pierwszorzędne czynniki, wpływające na rzeczywiste ograniczenie przestępczości. Naturalnie realizacja programu społeczno-gospodarczego, który realnie zmniejszyłby przestępczość, musi być rozłożona na lata.

CO MOŻNA ZROBIĆ JUŻ DZIŚ?

Na początku lat 90. wszystkie państwa Europy Środkowej i Wschodniej odnotowały gwałtowny wzrost liczby przestępstw. Potem w tych krajach, które – jak Polska, Czechy czy Węgry – przeprowadziły reformy gospodarcze i względnie ustabilizowały sytuację społeczną, poziom przestępczości również się ustabilizował, wykazując niewielki trend wzrostowy. Natomiast w krajach, które na głęboką reformę się nie zdecydowały (Rosja, Ukraina), przestępczość wciąż silnie wzrasta. Zatem jeśli chce się zmniejszyć przestępczość, trzeba przeprowadzić reformy i podnieść poziom życia ludności.

Nie jest jednak tak, że dla poprawy bezpieczeństwa nie da się nic zrobić w krótkiej perspektywie. Przede wszystkim należy zbudować narodowy program poprawy bezpieczeństwa. Powinien on opierać się na założeniu, że walka z przestępczością, obejmująca represję (ściganie przestępstw popełnionych) i profilaktykę, nie może być skutecznie prowadzona przez państwo – policję,



prokuraturę i sądy – przy bierności społeczeństwa. Z założenia tego wynika, z jednej strony „prywatyzacja” bezpieczeństwa, a z drugiej konieczność aktywizacji na tym polu samorządów i społeczności lokalnych. Konsekwencją musi być też zmiana „filozofii” policji, która z organu „samowystarczalnego” i nastawionego głównie na represję, musi stać się bardziej otwarta na społeczeństwo i razem z nim realizować funkcje profilaktyczne.

NOWA ROLA POLICJI

„Otwarcie” policji na społeczeństwo winno być realizowane w dwóch płaszczyznach. Pierwsza to informowanie społeczeństwa przez policję o niej samej. Druga – współdziałanie z samorządami i społecznościami lokalnymi przy realizacji zadań prewencyjnych. Współdziałanie to powinno polegać na inspirowaniu obywateli do samoorganizacji, niezbędnej dla prowadzenia skutecznej profilaktyki.

Realizacja takich zadań wymaga stworzenia sieci powiązań (formalnych i faktycznych) między policją a samorządami i społecznościami lokalnymi. Ustawa o policji powierza to dzielnicowym i kierownikom rewirów dzielnicowych.



Urzeczywistnienie tego modelu napotyka jednak liczne przeszkody. Wiele policjantów jest nastawionych tradycyjnie na realizację zadań represyjnych, w szczególności na ściganie „poważnej” przestępczości zorganizowanej. Tutaj najłatwiej o spektakularny sukces do pokazania w mediach. Stąd tęsknoty do

„polskiego FBI”. Brzmi to dobrze, choć nie ma większego sensu. FBI jest policją federalną, ponadstanową; Polska nie ma policji stanowych; FBI to policja kryminalna, ale także polityczna i kontrwywiad, u nas dwa ostatnie zadania należą do UOP itd.

Z drugiej strony społeczeństwo okresu postkomunistycznego przywykło do takiej właśnie – tradycyjnej i represyjnej – roli policji. Samo zaś jest zatอมizowane, o osłabionych więziach społecznych, które dopiero odbudowuje. Ponieważ podział na „my” (społeczeństwo), „oni” (władza) jest żywy, a państwo mimo 10 lat niepodległości wciąż jest traktowane przez wielu obywateli jako coś obcego, zatem bezpieczeństwo jest „ich” problemem: „my” żądamy od „nich” zapewnienia „nam” bezpieczeństwa. Znaczna część społeczeństwa widzi się w roli „konsumenta” bezpieczeństwa, nie czuje się za nie współodpowiedzialna.

Co prawda, to samo społeczeństwo przy różnych okazjach demonstruje swój sprzeciw wobec przestępczości – odbywa się to głównie w formie marszów przeciwko przemocy. Energia ta jest jednak słabo wykorzystywana. W efekcie marsze takie stają się manifestacją bezsilności i dodatkowo pogłębiają społeczną frustrację.

PRYWATYZACJA BEZPIECZEŃSTWA

Na szczęście zdarzają się wyjątki. Optymizmem napawa choćby spontaniczne powstawanie w różnych miejscach Polski rozmaitych programów zwalczania przestępczości typu „Bezpieczne Miasto”. Takich programów, lepszych czy gorszych, jest dziś realizowanych ponad tysiąc. Powstają w społecznościach dynamicznych, gdzie działają liderzy entuzjaści. Również w policji tworzenie i wspieranie takich programów jest raczej dziełem pojedynczych zapaleńców. Zjawiskiem nowym, ale powszechnym także w skali światowej, jest „prywatyzacja” ochrony bezpieczeństwa. Opiera się ona na zaskakującym, choć oczywistym fakcie, że państwo może obywatelom gwarantować tylko pewne minimum bezpieczeństwa. Granice tego minimum wyznaczają aktualne możliwości państwa: budżetowe, organizacyjne, kadrowe. Wszystko, co wykracza poza to minimum, staje się specyficznym „towarem”, za który trzeba zapłacić.

Państwo (policja) nie jest w stanie zagwarantować każdemu obywatelowi, że nie zostanie pobity, że jego sklep czy mieszkanie nie zostaną okradzione.

Sprawną policja może jedynie niebezpieczeństwo to zmniejszyć. Zmniejszyć mogą je także działania profilaktyczne oraz informowanie ludzi, jak swoim zachowaniem mogą poprawić własne bezpieczeństwo. Chodzi o nauczanie dzieci, jak mają się zachować, gdy zaczepia je ktoś obcy; a dorosłych, jak zabezpieczyć mieszkanie przed włamaniem, samochód przed kradzieżą itp. Jeśli mimo to do przestępstwa dojdzie, policja może zagwarantować, że będzie próbowała ścigać sprawcę. Problem w tym, że wykrywalność nie jest zadowalająca – na przykład w przypadku włamań sięga ledwie 20%. Oznacza to, że tylko od co piątego włamywacza ofiara będzie miała szansę dochodzenia naprawienia szkody.



Nie dając obywatelowi absolutnej gwarancji, że nie padnie ofiarą przestępstwa, ani że ewentualny sprawca zostanie ujęty, państwo powinno pozwalać mu zabezpieczać się w inny sposób. Obywatel może więc ubezpieczyć się, zainstalować alarm, podłączyć się do sieci monitoringu, wynająć firmę ochroniarską do pilnowania swego przedsiębiorstwa czy sklepu itp. Państwo powinno zatem stworzyć warunki do powstania i rozwoju rynku takich usług.

Z kolei obywatel, płacąc za monitoring czy prywatną ochronę, „kupuje” sobie bezpieczeństwo, nie obciążając – co istotne – innych obywateli, z których

podatków państwo zapewnia wspomniane minimum bezpieczeństwa. Więcej: przysparza budżetowi dochodów (bo agencje ochrony płacą podatki) i stwarza miejsca pracy.

Firmy ochroniarskie, zwane „prywatnymi policjami”, odgrywają w nowoczesnym państwie ważną rolę. W Polsce pojawiły się po 1989 roku, a ich działalność od niedawna regulowana jest odrębną ustawą. Agencje te zatrudniają ok. 200 tys. osób, z czego – wbrew pojawiającym się obawom – uzbrojonych w broń palną jest ledwie kilka tysięcy. Zajmują istotne miejsce w systemie ochrony porządku: pilnują firm, banków, lokali gastronomicznych, zabezpieczają imprezy masowe, obsługują monitoring (który obejmuje tysiące obiektów: mieszkań, biur itd.), strzegą konwojów pieniędzy.

Do ich obecności w Polsce dawno przekonał się prywatny biznes, natomiast nieufnie traktuje je policja i MSWiA. Również sejmowa komisja administracji i spraw wewnętrznych jako główny problem tego sektora traktuje konieczność „wyeliminowania negatywnego wpływu, jaki na jakość pracy firm ochroniarskich mogą wywierać byli funkcjonariusze SB” – jak sformułowano w stanowisku komisji, na marginesie rządowego raportu o stanie bezpieczeństwa i porządku.

Media często nagłaśniają też przypadki przestępstw popełnianych przez ochroniarzy – choć faktycznie jest to margines; wśród tych 200 tys. ludzi przestępstwa popełnia znikomy promil. Zaś przekonanie, że firmy ochroniarskie to enklawa dawnych esbeków, bastion lewicy i zagrożenie dla demokratycznego państwa, spotkać można nawet w wypowiedziach poważnych polityków. Tymczasem brak analiz socjologicznych tego środowiska: nie jest znana choćby struktura wiekowa ochroniarzy (z których większość stanowią chyba jednak ludzie młodzi).

Nie ma też rzetelnych statystyk, ile miejsc jest ochraniających przez te firmy (czyli ile „stref bezpieczeństwa” one tworzą), ilu przestępców ujęli ich pracownicy, ilu przestępstwom zapobiegli, ile razy przywrócili porządek, a nawet w ilu sprawach pomogli policji lub ją wyręczyli.

Pewne jest jednak, że błędem byłoby bagatelizowanie roli firm ochroniarskich przy tworzeniu systemu ochrony porządku i bezpieczeństwa. Współpraca policji państwowej z „policjami prywatnymi” może tylko poprawić jej skuteczność. Podobnie konieczna jest współpraca z nimi samorządów i społeczności lokalnych. Oczywiście: specyficzny rodzaj działalności tych firm, przyznanie ich pracownikom ustawowo niektórych uprawnień publiczno-prawnych (jak prawo do stosowania środków przymusu, a nawet broni palnej) wymaga, by agencje ochrony były pod ścisłym nadzorem policji i organu wydającego koncesje.

SAMOOBRONA OSIEDLA I GMINY

W ochronie porządku i bezpieczeństwa ważną rolę odgrywać muszą samorządy. Mogą choćby tworzyć straże miejskie lub gminne – odpowiedniki policji municypalnych, istniejących w niektórych państwach zachodnich. Straże te w wielu miastach skutecznie odciążają policję. Możliwość finansowania przez samorządy etatów w policji być może gdzieś doprowadzi do likwidacji straży, ale nie będzie to zjawisko powszechne.

Problem w tym, że wśród radnych nikła jest świadomość znaczenia samorządów w systemie ochrony porządku oraz możliwości, jakimi dysponują. Zbyt częste jest natomiast przekonanie, że samorząd może zwalczać przestępczość poprzez kierowanie policją represyjną i że należy oddać ją w ręce samorządu. Kończy się to zwykle na mieszanii się samorządów i ich organów w sprawy policyjne, głównie kadrowe. Sprzyja temu ostatnia nowelizacja ustawy o policji. Efektem jest upolitycznienie policji przez wiązanie jej w terenie z aktualnie mającą przewagę opcją polityczną.



Tymczasem samorządy mają inne możliwości zwalczania przestępczości niż policja. Posiadając instrumenty kształtowania warunków społecznych, mogą one zapobiegać patologii społecznej, eliminując takie ich przyczyny jak bezrobocie czy brak opieki nad małoletnimi – albo utrudniając życie przestępcom przez oświetlanie ulic czy rozsądną politykę wydawania koncesji na alkohol itd.

Samorząd może wreszcie – co najważniejsze – organizować społeczności lokalne, propagując zakładanie grup „sąsiedzkiej czujności” itp. Takie inicjatywy ujawniają się w społecznościach lokalnych. W wielu miastach czy osiedlach wokół liderów entuzjastów skupili się ludzie, którzy chcą je realizować. I chyba policja coraz bardziej przekonuje się do korzyści, jakie wynikają ze współdziałania z nimi.

Poprawa bezpieczeństwa obywateli deklarowana była przez wszystkie rządy III RP. Wypracowanie polityki bezpieczeństwa zapowiadały *expose* kolejnych premierów, mówili o niej kolejni ministrowie i komendanci policji. Jak dotąd nikt tej obietnicy nie zrealizował.

Chodzi tymczasem o stworzenie programu ochrony porządku i bezpieczeństwa – wyznaczenie celów i rozdzielenie zadań służących ich realizacji między organy rządowe (w tym policję), samorządy, inicjatywy społeczne i prywatne firmy ochroniarskie.

Program ten powinien stworzyć mechanizmy współdziałania tych podmiotów oraz ich współpracy z obywatelami. Powinien zagospodarowywać energię społeczną, dotąd zwykle marnowaną, i inicjatywy środowiskowe. Pomyślność programu zależeć też będzie od tego, czy społeczeństwo uzna, że gwarantowanie bezpieczeństwa nie jest tylko sprawą policji czy sądów, ale też każdego z nas.

W społeczeństwie obywatelskim siła policji jest konsekwencją społecznego poparcia. A poparcia tego nie będzie, gdy policja będzie postrzegana jako organ jednej orientacji politycznej. Policja musi być apolityczna, bo bez społecznego poparcia – choćby wyposażać ją w najlepszy sprzęt – pozostanie bezsilna.

[„Tygodnik Powszechny”, 07.11.1999, nr 45]

Adwokat – pomocnik mordercy

Adwokaci nie mają najlepszej prasy. Wprawdzie w rankingach społecznego prestiżu biją na głowę posłów, ale to żadna pociecha. Klasa polityczna w Polsce ma ostatnio jak najgorsze notowania.

Dla części społeczeństwa, z reguły tej słabiej wykształconej (ale wyjątki są wcale liczne), adwokat to figura podejrzana. Najemny krętacz, pomocnik przestępcy, człowiek, który różnymi kruczkami prawnymi utrudnia funkcjonowanie sądu i wydanie sprawiedliwego (czytaj: surowego) wyroku. Co więcej, człowiek, który za te wszystkie niegodziwości i kręactwa bierze jeszcze pieniądze! A już najgorsze jest to, że prawo mu na to wszystko pozwala (trzeba szybko zmienić prawo!) i jeszcze mówi się, o ironio, że adwokat to zawód zaufania publicznego! Zdarza się, że nawet ludzie wykształceni, bez żadnych złych intencji zadają mi (wykonuję także zawód adwokata) nieraz pytanie: jak możesz bronić takiego mordercy? Jak mogłeś się podjąć obrony ubeka? Czy ci nie wstyd bronić pedofila?

Zanim odpowiem, zacznę od sprawy najbardziej ogólnej, ale zarazem podstawowej. Słowo „adwokat” pochodzi od łacińskiego *advocatus*, co znaczy „wezwany na pomoc”. Wezwany na pomoc przez człowieka, który choć może popełnił przestępstwo, ale teraz stanął samotnie, a często bezradnie wobec potęgi organów państwa, wobec zawiłości prawa, bo oto teraz decydują się jego losy, a może także losy jego rodziny. Udział adwokata w procesie jest w naszej cywilizacji czymś oczywistym.

W dawnym prawie polskim adwokat, zwany wtedy patronem, znany jest od czasów statutu Kazimierza Wielkiego. Patron cieszył się szacunkiem. Za Jagiellonów przed sądem grodzkim lub ziemskim patron musiał być szlachcicem, na Litwie musiał to być nawet szlachcic posesjonat.

W Polsce odrodzonej adwokaci zajmowali najwyższe stanowiska w państwie. Bywali ministrami sprawiedliwości (jak Józef Higersberger, Leon Supiński,

prof. Wacław Makowski), dyplomatami (np. Stanisław Patek, minister spraw zagranicznych i ambasador). Zajmowali też najwyższe stanowiska na uchodźstwie (m.in. Władysław Raczkiewicz, prezydent RP w latach 1939–1945), ważne stanowiska w polskim państwie podziemnym, jak Stefan Korboński (Delegat Rządu na Kraj), Zbigniew Stypułkowski, Antoni Pajdak czy Adam Bień.

Zadaniem adwokata jest udzielanie pomocy prawnej osobie, która o taką pomoc prosi. Taką osobą jest często przestępca, czasem osoba niewinnie podejrzana lub oskarżona, przy czym przynależność do którejś z tych kategorii na początku sprawy może nie być wcale oczywista. W każdym jednak przypadku jest to człowiek. Człowiek, który bez względu na to co zrobił, nie przestał być człowiekiem. Który ma swoje ludzkie, przyrodzone prawa, w tym prawo do sprawiedliwego traktowania, sprawiedliwego procesu i sprawiedliwego wyroku na koniec. Nawet jeśli jest to okrutny przestępca, swoich ludzkich praw nie traci.



Adwokat jest przywoływany po to, by mu w realizacji jego praw pomagać, by nie zostawić go samego i bezradnego przed prokuratorem czy sądem. Co więcej, nawet najokrutniejszy przestępca ma zwykle osoby bliskie, które kocha i one jego Kochają, a które teraz razem z nim, choć zwykle przez niego, cierpią.

Pamiętam obrazek z korytarza sądowego. Z sali rozpraw policjanci wyprowadzają skutego oskarżonego. Nie wiem, za co był sądzony, ale to naprawdę obojętne. Do skutego podbiega dziesięcio-, może dwunastoletni chłopak, zapewne jego syn. Chce go pocałować, policjant odpycha chłopaka, ten

wybuch płaczem i ucieka w kąt sądowego korytarza...

Pamiętam czułe, pełne troski o dzieci listy wysyłane do żony z aresztu przez wielokrotnego zabójcę, który wie, że zostanie skazany na karę śmierci. Nawet w takiej bestii mieszczą się resztki normalnych ludzkich uczuć. Pamiętam też listy dzieci do skazanego za zabójstwo ojca: „Tatusiu, Kochamy Ciebie”... Obowiązkiem adwokata, człowieka przywołanego na pomoc, jest obrona człowieka. Człowieka, który może popełnił straszne przestępstwo, może kogoś okrutnie skrzywdził, ale przecież nie przestał być człowiekiem! Człowieka, który popełnił zabójstwo, dokonał czynu lubieżnego, ukradł czy oszukał. Za swoje przestępstwa – jeśli je popełnił – powinien zostać ukarany. Ukarany sprawiedliwie, czyli w granicach wyznaczonych przez kodeks, co więcej: tak, „aby dolegliwości kary nie przekroczyły stopnia winy”.

Pierwszym zatem zadaniem obrony jest pilnowanie, aby postępowanie dowodowe prowadzone było fachowo i uczciwie, by nie skazano człowieka niewinnego, a niepoczytalny, żeby zamiast do szpitala nie trafił do kryminału. Kiedy jednak prawidłowo – i pod kontrolą obrońcy – przeprowadzone postępowanie dowodowe wykaże winę, zadaniem obrońcy jest zabieganie o to, aby wymierzona kara była sprawiedliwa, by nie była zbyt surowa w stosunku do winy, aby przy jej wymiarze wzięte były pod uwagę wszystkie okoliczności łagodzące.

Oczywiście, adwokat broni przede wszystkim przestępców, znacznie rzadziej jest mu dane bronić osoby niewinnie oskarżone. Trzeba jednak pamiętać, że linia demarkacyjna między tymi dwoma grupami bywa czasem trudna do rozpoznania. Prawdziwą porażką adwokata jest, gdy nie uda mu się zapobiec skazaniu osoby, co do której jest przekonany, że jest niewinna. Na marginesie trzeba dodać, że przy dzisiejszej polityce karnej i zawodowym przygotowaniu sądów, ta ostatnia kategoria wcale nie jest tylko teoretyczna czy abstrakcyjna. Adwokat ma pomagać podejrzanemu czy oskarżonemu. Przyjęcie obrony zabójcy nie znaczy jednak, że adwokat nie ma nic przeciw zabójstwu, podobnie jak przyjęcie obrony pedofila nie oznacza akceptacji dla takiej formy zaspokajania popędu. Tym bardziej dla przyjęcia obrony obojętny jest zawód klienta, jego poglądy polityczne, preferencje seksualne czy gusty estetyczne.

Jeśli nie ma to bezpośredniego związku ze sprawą, nawet pytać o to nie wypada. Zarzut (jakże często ostatnio mi stawiany!), że podjąłem się kiedyś obrony byłego SB-eka jest w moim przekonaniu zupełnie niedorzeczny. Bo czy adwokat może odmówić przyjęcia obrony? Może, ale musi mieć poważne powody. Nie może się podjąć obrony, gdy np. osobiście znał ofiarę, gdy zna osobiście głównego świadka oskarżenia... Może zatem odmówić, gdy w konkretnej sytuacji ma jakiś osobisty stosunek do sprawcy, gdy z którąś ze stron łączy go szczególnie osobisty stosunek. Tak osobisty, że będzie on nieobecny w odniesieniu do innego adwokata.

Nie można natomiast odmówić obrony na zasadzie: „nie bronię byłych ubeków”, kolejarzy czy kelnerów. Nie można odmówić obrony mówiąc „nie bronię gwałci-cieli” (w domyśle: jestem zbyt moralny i zbyt wrażliwy), niech pan idzie do mojego kolegi (w domyśle: on jest mniej moralny i mniej wrażliwy ode mnie). Zadaniem adwokata w sprawie karnej jest obrona. Ale adwokat nie tylko broni! On przy okazji jest (powinien być!) pomocnikiem rodziny tymczasowo aresztowanego w kontaktach z sądem, prokuraturą czy policją. Często adwokat jest jedyną osobą, z którą tymczasowo aresztowany może porozmawiać. Staje się wtedy jego jedynym pomocnikiem. Pomocnikiem i powiernikiem w sprawach życiowych i sercowych („niech pan przekaże mojej żonie, że ją kocham!”). Jedynym jego kontaktem ze światem zewnętrznym, pomocnikiem w kontak-

tach z administracją więzienną. Czasem adwokat idzie do aresztu bez żadnej procesowej potrzeby. Idzie, by z oskarżonym porozmawiać, bo wie, że jemu taka rozmowa jest po prostu potrzebna. To też jest rola adwokata!

Oczywiście, można sobie wyobrazić proces bez udziału adwokata, jedynie z prokuratorem w roli głównej. Procesy trwałyby wtedy zapewne krócej. No, może przy okazji trochę więcej ludzi niewinnych zostałoby skazanych.

Myślę, że proces bez udziału adwokata niektórym by się spodobał. Podobałby się jednak tylko do czasu: dopóki nieszczyćcie lub zbieg okoliczności nie wrzuciłyby ich lub kogoś z najbliższych w tryby wymiaru sprawiedliwości. Wtedy odczuliby szybko, jak bardzo potrzebny jest adwokat, na czym polega jego rola, a czym jest jego brak.

Każdy zawód ma swoją patologię. Oczywiście, że są nieuczciwi adwokaci – tak jak nieuczciwi lekarze, politycy czy biznesmeni. Dlaczego nie miałyby ich być? Zdarzają się pono adwokaci *de facto* uczestnicy gangów, pomagający im w obchodzeniu prawa i unikaniu odpowiedzialności karnej. To nie tylko jest moralnie naganne. To także przestępstwo!

Zdarzają się na pewno i tacy, którzy mimo zainkasowania honorarium bronią poniżej swych możliwości albo nie bronią faktycznie wcale. Są oczywiście i tacy. Ale jest to zaledwie margines. Prosiłbym, by przez ich pryzmat nie oceniać całej palestry.

Jak usprawnić sprawiedliwość

Ponieważ zawód sędziego wymaga szczególnych kwalifikacji fachowych i moralnych, winien on być ukoronowaniem kariery prawnika. Dlatego stanowiska sędziowskie powinny być obsadzane wyłącznie w drodze konkursu. Społeczeństwo od dawna krytykuje niewydolność sądów w Polsce. Ostatnio media nagłośniły afery dotyczące wprowadzenia co najwyżej paru promili ogólnej liczby sędziów, ale rzucające cień na całe środowisko. Środowiska profesjonalne mogłyby uzupełnić tę listę grzechów naszego sądownictwa: obniżenie standardu oceny dowodów, uleganie przy wyrokowaniu presji opinii publicznej i mediów, brak należytej kontroli nad postępowaniem przygotowawczym, fatalna organizacja pracy. Nie ulega wątpliwości, że polski wymiar sprawiedliwości wymaga naprawy.

Słuchając jednak wypowiedzi polityków, obawiam się, że nie tylko nie mają oni żadnego pomysłu na naprawę sądów, ale, co gorsza, ogólne niezadowolenie z ich pracy chcą wykorzystać do zwasalizowania trzeciej władzy, ograniczenia niezawisłości sędziów, ścisłego podporządkowania prokuratury własnym celom politycznym. Jeszcze gorsze, a dla demokratycznego państwa prawa wręcz zabójcze, są pomysły tworzenia alternatywnego systemu wymiaru sprawiedliwości poprzez zastępowanie sądów i prokuratur różnymi speckomisjami i superprokuratorami.

Temu wszystkiemu trzeba się zdecydowanie przeciwstawić. Trzeba usprawniać pracę sądów, ale nie kosztem niezawisłości sędziowskiej. Trzeba poprawić skuteczność prokuratury, ale nie za cenę pełnego uzależnienia jej od polityków i bieżącej polityki. Prymat prawa nad polityką, niezależność trzeciej władzy



i niezawisłość sądów są fundamentem państwa prawa. Są wartością, której należy bronić.

Dopiero gdy te wartości uznamy za niezbywalne, można spokojnie podjąć dyskusję o naprawie wymiaru sprawiedliwości w Polsce. W przeciwnym razie wrócimy do standardów PRL – z tą tylko różnicą, że rolę PZPR przejmie partia, która dorwie się do władzy.

FIRMA ZWANA SĄDEM

Wiadomo, co w polskim wymiarze sprawiedliwości należy zmienić. Problem polega tylko na tym, jak to zrobić.

Bez wątpienia należy usprawnić pracę sądów, by postępowania nie wlokły się latami. By jednak zrealizować ten cel, trzeba na sąd spojrzeć jak na firmę. Firmę specyficzną, ale przecież firmę, której sprawne funkcjonowanie zależy w dużej mierze od prawidłowego zarządzania. Trzeba więc skorzystać z dorobku nauki o zarządzaniu i doświadczeń zarządzania w różnych dziedzinach.



Funkcjonowanie współczesnego sądu w Polsce nie różni się od jego funkcjonowania w XIX wieku. Również z XIX wieku pochodzi metodyka pracy sędziego, który wszystkie czynności związane z przygotowaniem do rozprawy wykonuje sam, ślęcząc nad tomami akt w sądzie lub – co jest praktyką powszechną – zabierając akta do domu. Przy takiej metodyce pracy nasze sądy – a warto pamiętać, że w przeliczeniu na liczbę mieszkańców czy liczbę spraw mamy dużo więcej sędziów niż USA czy Japonia – nie są w stanie zapewnić

szybszego załatwiania spraw. Dalsze zwiększanie liczby sędziów bez zmiany metodyki pracy niczego tu zasadniczo nie poprawi.

To, co w Polsce sędzia robi sam, częściowo chałupniczo, powinno być wykonywane przez cały sztab ludzi pracujących pod jego kierunkiem. To właśnie do tych fachowych pomocników sędziego należeć winna analiza akt, sporządzanie do nich skorowidzów, zestawianie faktów z zeznań świadków, wyłapywanie różnic i sprzeczności, wstępna analiza materiału dowodowego z postępowania przygotowawczego, analiza orzecznictwa itp. Sędzia powinien te prace nadzorować, koordynować, oceniać efekty i podejmować decyzje procesowe.

Niedawne utworzenie stanowisk asystentów sędziego jest krokiem w dobrym kierunku. Nie dało jednak, bo też dać nie mogło, zauważalnej zmiany w pracy sądów. Po pierwsze, asystentów jest stanowczo za mało. Tymczasem każdy sędzia powinien mieć asystenta, a w sądach wyższych instancji nawet po dwóch, trzech asystentów. Po drugie, asystenci powinni mieć znacznie wyższe

kwalifikacje – nie tylko ukończone studia prawnicze, lecz także odbytą aplikację. Po trzecie, sędziowie nie bardzo umieją korzystać z pomocy asystentów.

DLACZEGO SĘDZIA KRZYCZY?

Wykonywanie zawodu sędziego wymaga najwyższych kwalifikacji nie tylko zawodowych, lecz także intelektualnych i moralnych. Wymaga doświadczenia życiowego oraz odpowiednich cech charakteru i osobowości. Przypomnę, że oceniając dowody, na których opiera się wyrok, sąd (w praktyce sędzia) kierować się winien wskazaniem wiedzy i doświadczenia życiowego.

Tymczasem wielu sędziów w sądach rejonowych, gdzie rozpoznaje się większość spraw, to ludzie młodzi, których doświadczenie życiowe nie może być duże. Co więcej, nie bardzo mogli to doświadczenie zdobyć, zważywszy na to, że normalna dziś droga do zawodu sędziego prowadzi bezpośrednio ze studiów do sądu. Gdyby przeanalizować zasób wiedzy nabytej w toku kształcenia, może się okazać, że wielu sędziów nigdy nie wysłuchało wykładu z żadnej z nauk sądowych – medycyny sądowej, psychiatrii sądowej, psychologii sądowej – ani z kryminalistyki. Nie ma też pojęcia o metodologii nauk empirycznych, którą posługują się (a przynajmniej powinni) biegli z różnych dziedzin.

Jeśli do tego dodać, że kandydat do zawodu sędziowskiego nie przechodzi żadnych badań psychologicznych, nie mówiąc już o psychiatrycznych – jakie przejść musi kandydat do służby w policji czy choćby osoba ubiegająca się o pozwolenie na broń – to nic dziwnego, że braki doświadczenia życiowego i wiedzy czasem bywają nadrabiane na sali sądowej arogancją wobec stron, pokrzykiwaniem na świadków, ciągłym akcentowaniem, że „sąd wie lepiej”.

Brakowi dystansu do własnych umiejętności sprzyja system rekrutacji sędziów. Młody absolwent prawa po trzech latach obijania się na aplikacji zostaje asesorem i zaczyna orzekać. Nagle czuje się szczególnie namaszczonego – na sali sądowej jest wyrocznią we wszystkich sprawach, jest nieomylny. Może drwić ze świadków albo krzyczeć na nich. Może zwracać uwagę dwa razy starszemu od siebie adwokatowi czy prokuratorowi. Nie jest to dobra szkoła charakteru. Sprzyja zanikowi krytycyzmu wobec samego siebie, osłabia motywację do nauki i podnoszenia kwalifikacji.

Jedną z niekwestionowanych zdobyczy III RP jest niezawisłość sądów. Nikt już, jak w czasach PRL, nie dzwoni z komitetu partii do sędziego z poleceniem w konkretnej sprawie. Sędzia nie musi się tłumaczyć ze swego wyroku przed władzą polityczną czy choćby przed prezesem sądu. Jednak część sędziów,



formalnie niezawisłych, do tej niezawisłości po prostu nie dorosła, a nawet ze względów osobowościowych nigdy nie dorośnie. Dla nich rolę dawnego komitetu partii przejęły media i opinia publiczna. Tymczasem trzeba mieć charakter i odwagę cywilną, by orzec zgodnie z prawem, własnym sumieniem i stanem faktycznym, a wbrew opinii publicznej i mediom, narażając się na arogancką krytykę polityków, na insynuacje o korupcji, na okrzyki „sąd pod sąd”.

Z tym większym szacunkiem trzeba spojrzeć na sędziów, którzy w takich sprawach, w których publika wydała wyrok, zanim jeszcze akt oskarżenia wpłynął do sądu, mają odwagę orzekać wbrew oczekiwaniom opinii publicznej, polityków i mediów. Do tego potrzebna jest odwaga cywilna i charakter. Te zaś się ma albo nie. Nie sposób się ich nauczyć ani je zadekretować.

TYLKO Z KONKURSU

Oczywiście, nie ma cudownego leku, który by rozwiązał problemy stanu sędziowskiego. Wiele jednak można poprawić. Przede wszystkim należy zmienić sposób rekrutacji do zawodu sędziowskiego. Aplikacja sądowa powinna przygotowywać nie sędziów, ale ich asystentów. Oprócz wiedzy prawniczej aplikacja powinna dostarczać wiedzy menedżerskiej, uczyć umiejętności dokumentacyjnych i analitycznych, dawać podstawy wiedzy z nauk sądowych.



Stanowiska sędziowskie powinny być obsadzane wyłącznie w drodze konkursu. Wychodząc z założenia, że zawód sędziego wymaga szczególnych kwalifikacji fachowych i moralnych, winien on być ukoronowaniem kariery prawnika. Do udziału w konkursie mogliby stawać adwokaci, prokuratorzy, radcowie prawni, notariusze i asystenci sędziów legitymujący się co najmniej dziesięcioletnim stażem w swoim zawodzie. Nadto pracownicy naukowi wydziałów prawa oraz pracownicy administracji państwowej mający co najmniej dziesięcioletni staż pracy i co najmniej stopień doktora

nauk prawnych. Wszyscy powinni mieć nienaganną postawę moralną, a także przejść badania psychologiczne i psychiatryczne eliminujące osoby nie zrównoważone (psychopatów, neurotyków), uzależnione od alkoholu lub środków farmakologicznych.

Gdyby w parze z wymaganiami szło wynagrodzenie, to – mając na względzie stabilizację zawodową i wysoki prestiż sędziego w społeczeństwie – z pewnością nie zabrakłoby kandydatów na stanowiska sędziów. Tym sposobem w ciągu kilkunastu lat – bez żadnej weryfikacji czy rewolucji – nastąpiłaby wymiana większości kadry sędziowskiej. Już po kilku latach wyczuwalna by była jakościowa poprawa pracy sądów.

Jeśli tym zmianom kadrowym towarzyszyłyby zmiany organizacyjne polegające na rozbudowie profesjonalnego aparatu obsługi sędziów i lepszym zarządzaniu sądami, po jakimś czasie okazałoby się, że nawet przy mniejszej liczbie sędziów wymiar sprawiedliwości może działać lepiej i skuteczniej, a zatem lepiej wymierzać sprawiedliwość.

Na poprawę funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości potrzeba lat i jednej konsekwentnie realizowanej koncepcji. Jeśli ktoś twierdzi, że potrafi naprawić go natychmiast, to albo nie wie, o czym mówi, albo cynicznie oszukuje opinię publiczną.

[„Gazeta Wyborcza”, 03.06.2005, nr 127]

W obronie sądów

Taka uroda spraw sądowych, że gdy jedna strona wygrywa, druga siłą rzeczy musi przegrać. W konsekwencji w Polsce każdego roku ponad milion ludzi przegrywa swe sprawy cywilne, gospodarcze, rodzinne.

Każdego roku tysiące pokrzywdzonych w sprawach karnych uważa, że sprawca ich nieszczęścia dostał zbyt łagodny wyrok, a dziesiątki tysięcy skazanych w sprawach karnych sądzi, że dostało wyroki niesprawiedliwie zbyt surowe. Każdego roku ponad milion ludzi jest niezadowolonych z wyroku, a w konsekwencji z wymiaru sprawiedliwości. Jeśli do tego dodać setki tysięcy ludzi, którzy musieli stanąć przed sądami w charakterze świadka, a któż oprócz garstki niedowartościowanych pieniaczy to lubi, to liczba osób nie lubiących wymiaru sprawiedliwości jest wcale pokaźna.

Tak jest w Polsce, tak jest na całym świecie. Sądu nikt nie lubi, sądu nie trzeba jednak lubić, sąd trzeba szanować.

W specyfice polskiej (i zdaje się w ogóle środkowoeuropejskiej) niezadowolenie z wyroku łączy się na ogół z podejrzeniem o łapówkę. Ja przegrałem sprawę – aha, przeciwnik na pewno dał łapówkę i załatwił sobie ten wyrok! Jakże często słyszymy taki komentarz do przegranej sprawy. Rzeczywiście zdarzają się przypadki, że sędziowie biorą łapówki. Ostatnio media informowały o takich przypadkach, ale jestem najgłębiej przekonany, że jest to naprawdę niewielki margines. Tak niewielki, że trudno by uznać, iż rzuca on cień na całe środowisko sędziowskie.

Zdarzają się skorumpowani politycy, zdarzają skorumpowani nauczyciele, lekarze, urzędnicy. Nic więc dziwnego, że zdarzają się też skorumpowani sędziowie. Od blisko 40 lat jestem czynny w różnych sferach życia zawodowego i publicznego. Jestem więc, jak sądzę, człowiekiem doświadczonym życiowo. Spotkałem w swoim życiu wielu skorumpowanych urzędników, policjantów, nauczycieli. W ostatnich latach połowę życia spędzam w sądzie. Nie spotkałem przypadku skorumpowanego sędziego! Może miałem szczęście.

W sposób naturalny każdego roku przybywa legion osób obrażonych na sąd, choćby najuczciwszy i najbardziej sprawiedliwy. I ten legion ludzi gotowy jest podejrzewać sąd i sędziów o najgorsze. Liczbę tych niezadowolonych można przeliczyć na liczbę głosów w wyborach. To potężny elektorat! Niezadowolenie można wykorzystać, zagospodarować. Jednak żadna odpowiedzialna siła polityczna tego nie robi.

Nie robi, bo wie, że to normalne, iż jeśli ktoś w sądzie wygrywa, to naturalną kolejną rzeczą ktoś musiał przegrać, a ten co przegrał, jest niezadowolony. Nie robi tego, bo ma poczucie odpowiedzialności za państwo, bo wie, że „trzecia władza”, nawet jeśli jest nieudolna, a zwłaszcza nierychliwa, niezawisła od pozostałych władz być musi, a do utrzymania niezawisłości konieczny jej jest autorytet. Bo wie, że wymiar sprawiedliwości trzeba ulepszać powoli, a każda rewolucja więcej zepsuje, niż naprawi. Wie też, że autorytet wymiaru sprawiedliwości jest ważny dla państwa i jego obywateli, trzeba go więc wzmacniać wszelkimi sposobami, także podnosząc kulturę prawną społeczeństwa.



To wie polityk odpowiedzialny. Ale populistą? Dla niego niezadowoleni z przegranej w sądzie to naturalny sojusznik, który chciwie słucha wszelkich oszczerstw na temat wymiaru sprawiedliwości i sędziów ten wymiar sprawujących. Sojusznik popierający każdy gest, każde pociągnięcie prawne lub polityczne, które „przywala” sądom i sędziom. Sojusznik, który promienieje szczęściem, gdy minister sprawiedliwości także w jego imieniu drwi sobie publicznie z wymiaru sprawiedliwości i sędziów. Sojusznik, który gotów jest poprzeć każdą akcję wymierzoną w sądy i ich niezawisłość.

Ten, kto zmobilizuje gawieź przeciw sądom i wymiarowi sprawiedliwości, kto gniew gawieży wykorzysta, zdobędzie zapewne już z tego tytułu sporo głosów w najbliższych wyborach. Zapłaci jednak w przyszłości sporą cenę. W pierwszej kolejności zapłaci ją jednak państwo, zapłaci polska demokracja. Nie ma bowiem państwa prawa tam, gdzie sądy nie są niezależne od pozostałych władz, gdzie sędziowie boją się korzystać ze swej niezawisłości – nawet jeśli jeszcze formalnie mają ją zagwarantowaną. Gdzie autorytet wymiaru sprawiedliwości jest niski, a byle lump wypowiada o sędzie „bonmoty” zasłyszane u ministra sprawiedliwości.

Przypomnijmy, podstawą funkcjonowania demokratycznego państwa jest trójpodział władz. Władza ustawodawcza (parlament) uchwala prawo. Władza wykonawcza (rząd, administracja) to prawo stosuje. Władza sądownicza pilnuje, by prawo nie było łamane, by polityka nie miała nad prawem prymatu, by prawo nie było instrumentalnie zmieniane.

Pozbawiona autorytetu, a w ślad za tym niezależności władza sądownicza zadania tego nie będzie w stanie wykonać. Demokracja przestanie funkcjonować.

O prawie, które może być okrutne

Właściwie można by tytuł uzupełnić słowami: „i o prawnikach, których głupota do okrucieństwa tego prowadzić może”.

Państwo M. są młodym małżeństwem. Nabyli mieszkanie w centrum Krakowa. „Nabyli” to za dużo powiedziane: mieszkanie nabył pan – dajmy mu na imię Adam. To on mieszkanie wyszukał, zakupił, postanowił wyremontować. Oczywiście żonie – dajmy jej na imię Ewa – lokalizacja bardzo się spodobała i zaakceptowała wybór męża. Wspólnie zdecydowali (od tego momentu działali już „wspólnie i w porozumieniu”), że mieszkanie wymaga remontu i pewnych przeróbek. Poprzedni właściciel jakieś drzwi замуrował, jakąś ściankę działową przestawił, a podłoga i płytki w łazience znacznie się zużyły. Pan Adam, człek zamożny i nowoczesny, żadnego remontu przy pomocy jakichś tanich partaczy prowadzić nie chciał i wynajął najpierw panią inżynier architekt, aby projekt przebudowy mieszkania przygotowała. Jakoż projekt ten powstał, państwo Adam i Ewa projekt zaakceptowali, nie wiedząc, że brną w przestępstwo, nadal „wspólnie i w porozumieniu”. Pani architekt poleciła ekipę remontową, pan Adam ekipę zaakceptował (sam, pani Ewa do tego się nie mieszała – nic jej to nie pomoże!) i rozpoczął się remont. Ekipa zaczęła odkuwać замуrowane drzwi. Już po pierwszych uderzeniach młota w dłuto (po krakowsku – majzel), gdy zaledwie udało się wybić otwór o wymiarach 20 na 20 cm sąsiad z góry, skądinąd spokojny człowiek, ale nieco jakby zbyt wrażliwy i nerwowy, wpadł w panikę: „Dom się zawali!”. Wezwał więc Nadzór Budowlany, służby mundurowe i tajne. „Katastrofa budowlana” – krzyczał w słuchawkę telefonu.

Przedstawiciele Nadzoru Budowlanego pojawili się dość szybko. Roboty polecili wstrzymać. Sąsiad histerię nieco uspokoił. Przywołany znacznie później ekspert ocenił, że żadna katastrofa budowlana nie grozi. Robota jednak była wstrzymana powagą urzędu Nadzoru Budowlanego. Pan Adam – chcąc dzia-

łać zgodnie z prawem – rozpoczął systematyczne pielgrzymki do Nadzoru Budowlanego, kając się i prosząc o decyzję pozwalającą na kontynuowanie prac. Jednak urząd, jak to urząd, swój rytm prac ma, urzędnicy nie lubią, gdy ich ktoś popędza. Niech czeka! Pan Adam czekał. A niech sobie zezwolenie na prace budowlane załatwi! A trzeba? Oczywiście, że trzeba. No to załatwił. Pozwolenie ma, a że było potrzebne wcześniej, podobnie jak zapewne 95% Polaków nie wiedział. No to czekał dalej z tym pozwoleniem od architektury na decyzję uchylającą decyzję o wstrzymaniu remontu. Ale gdy to czekanie się przeciągało, zaczął urząd nachodzić i coraz natarczywiej domagać się wydania decyzji na kontynuację robót. Taki niecierpliwy! Powagi urzędu nie szanuje! W dodatku coraz bardziej kłótlivy. No to dobrze, niech ma decyzję. Ale za karę, że taki upierdliwy, ostatnio to i bezczelny się nawet zrobił, urząd powiadomił prokuraturę. Małżeństwo Adam i Ewa byli inwestorami robót budowlanych bez wymaganego pozwolenia! A to przestępstwo z prawa budowlanego.

Prokuratura gdy tylko zawiadomienie dostała, zaraz wszczęła postępowanie przeciwko małżonkom. Zarzut im postawiła. Zleciła policji przesłuchanie. Policja po przesłuchaniu chciała pana Adama sfotografować i zdaktyloskopować, ten jednak pouczony przez adwokata kategorycznie odmówił. No to uznano go za wariata. Jaki bowiem normalny na umyśle obywatel nie chce, aby jego zdjęcie zdobyło policyjne zbiory, a jego karty daktyloskopijne leżały obok kart najślynniejszych przestępców? No chyba wariat. Jeśli są wątpliwości co do poczytalności podejrzanego – a tu przecież musiały się one zrodzić – kieruje się go na badania psychiatryczne. Wydano więc postanowienie nakazujące panu Adamowi stawić się na badania psychiatryczne do dwojga psychiatrów. Pech chciał, że lekarka, która na mocy postanowienia miała badać pana Adama, nie żyła już od dwóch lat. Widać wykaz biegłych nie co roku jest aktualizowany. Mało tego, w postanowieniu pomyłono kwalifikację prawną czynu pana Adama i wpisano art. 178a kk (czyli prowadzenie w stanie nietrzeźwym pojazdu innego niż mechaniczny, np. furmanki, roweru, rikszy *etc.*). Wreszcie udało się skompletować skład biegłych z osób żywych, co jest pewnym sukcesem organów ścigania, i przebadać pana Adama. Okazało się, że jest normalny! Uwierzyć? A sfotografować ani zdaktyloskopować nie chciał się dać!

No to panu Adamowi można już pisać akt oskarżenia! Gorzej z jego żoną. Na złość organom prokuratury była w ciąży, lekarze pisali, że w zagrożonej, denerwować się jej nie wolno, leżeć musi. Czy musi? To trzeba sprawdzić. Wyślano ją na badania do Zakładu Medycyny Sądowej. Trzech biegłych uznało, że *primo*, jest rzeczywiście w ciąży, *secundo*, że leżeć naprawdę musi, *tertio*: na przesłuchania do prokuratury czy policji nie jest wskazane jej w tym stanie się włożyć.

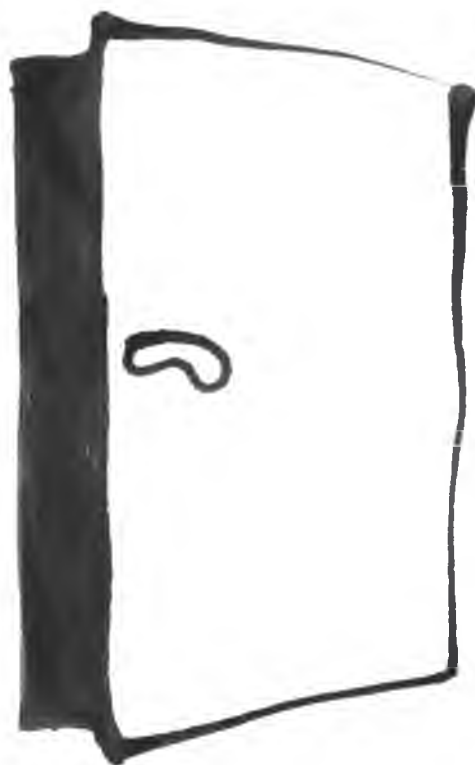
Prawo na szczęście mamy elastyczne, a prawników inteligentnych. Sprawę pani Ewy wyłączono do odrębnego rozpoznania. Pan Adam stanął już przed sądem. Sąd nie chciał uznać wniosku obrońcy, że sprawę należy umorzyć z uwagi na brak w zachowaniu pana Adama cech przestępstwa, lub że co najmniej społeczna szkodliwość jego czynu jest znikoma, zatem przestępstwa nie było. Sąd postanowił z uwagą pochylić się nad tą sprawą i będzie ją rozpoznawał rzetelnie, z uwagą na kilku lub kilkunastu rozprawach. Pan Adam więc na razie cieszy się statusem oskarżonego. Jego żona Ewa urodziła właśnie dziecko, niebawem rozpocznie się jej odrębna sprawa przed sądem. Na razie ma status podejrzanej. Poczęty w grzechu bezprawia remont został legalnie zakończony.

Identyczna byłaby kwalifikacja prawna czynu i taka sama kara groziłaby małżonkom Adamowi i Ewie, gdyby bez zezwolenia nie rozpoczynali remontu mieszkania, ale na przykład wybudowali supermarket na Błoniach.

Opisana historia jest prawdziwa. Śmieszna? Dla pana Adama ani dla pani Ewy wcale nie jest śmieszna. Ile przeżyli upokorzeń, ile nerwów, ile czasu stracili? W dodatku to wszystko za twoje, podatniku, pieniądze. I nie bądź taki pewny, że jutro ciebie coś podobnego nie spotka! Bo prawo to taki delikatny, ale zarazem niebezpieczny instrument. Stosowane głupio może wyrządzić wiele szkody. Stosowane ze złą wolą może służyć do zniszczenia człowieka, każdego człowieka. Także niewinnego.

Miej się więc, Czytelniku, na baczności!

[„Kraków” 2006, nr 5]



**lustracja i inne
rozliczenia**

Nowe ślubowanie jako początek wielkiej reformy

To, że nasz wymiar sprawiedliwości wymaga zasadniczej reformy, jest już truizmem. To, że prokuratura wymaga reorganizacji, bo więcej prokuratorów nadzoruje innych prokuratorów niż prowadzi śledztwa, też wiedzą wszyscy. Administracja rządowa i samorządowa, jaka jest – każdy widzi.

Reforma wydaje się konieczna. Rodzi się jednak obawa, że przy okazji i pod pretekstem naprawy trzecia władza (sądownicza mianowicie) zostanie całkowicie podporządkowana dwóm pierwszym (ustawodawczej i wykonawczej), a prokuratura na nowo upolityczniona, a może nawet upartyjniona.

Jak się dowiadujemy, jednym z pierwszych przedsięwzięć reformatorskich mają być działania magiczne. Otóż sędziowie (prokuratorzy, urzędnicy) składać mają nowe ślubowania. Przy okazji tych ślubowań mimochodem zapowiedziana jest mała weryfikacja kadr. Po tym nowym ślubowaniu wszystko już będzie działać sprawnie. Sądy wydawać będą wyroki w rozsądnych terminach, w dodatku wyroki wyłącznie bardzo sprawiedliwe. Odnowieni ślubowaniem prokuratorzy prowadzić będą śledztwa sprawnie i pisać poematy aktów oskarżenia. Urzędnicy staną się kompetentni, przestaną brać łapówki, a nawet podobno polubią petentów. Wszyscy oczywiście nabiorą nadzwyczajnej ochoty do pracy. Bo to, czego naprawdę wszystkim najbardziej brakowało, to właśnie nowego ślubowania!

W sądach (i prokuraturze) ślubowaniu ma towarzyszyć weryfikacja. Trzeba się pozbyć postkomunistycznych sędziów i prokuratorów. Co prawda w ostatnich szesnastu latach 16 roczników przeszło już na emeryturę, a ci, którzy w 1989 roku rozpoczęli pracę zawodową, dziś są w wieku co najmniej średnim. Jeśli idzie o sądy, to – jak myślę – w sądach rejonowych jedynie znikomy procent sędziów ma staż pracy dłuższy niż 15 lat. W sądach okręgowych procent ten będzie zapewne większy, ale też mały. Polowanie z nagonką największe szanse na sukces ma w sądach apelacyjnych i Sądzie Najwyższym. Wprawdzie w sądach tych zasiadają sędziowie o największym autorytecie i nie słyszałem, aby

ktoś poważny zgłaszał zastrzeżenia do poziomu orzecznictwa tych właśnie sądów, ale postraszyć sędziów weryfikacją nie zaszkodzi.

Powtarzając ślubowania składane w PRL, trzeba jednak iść konsekwentnie dalej. W Polsce Ludowej każdy student tekst ślubowania wpisany miał do indeksu i musiał go razem z całym indeksem podpisać. W rocie tego ślubowania (nikt chyba nie brał go serio) było coś o socjalizmie czy też socjalistycznej ojczyźnie, którym student ślubował być wierny. Teraz problem: czy były student z ery PRL powinien złożyć nowe ślubowanie z mocą wsteczną, czy wystarczy, że stare ślubowanie odszczeka? Przed kim miałby składać to nowe, ewentualnie odszczekiwać stare? Czy może tego dokonać przed rektorem (po jego lustracji oczywiście), czy też konieczne jest powołanie stosownego organu specjalnie do tego celu? A jeśli nie odszczeka i nowego z mocą wsteczną nie złoży, to czy należy odebrać mu dyplom, czy do tytułu magistra wystarczy dopisać „z PRL”? A może zrodzi to domniemanie, że taki „mgr z PRL” przez całe szesnaście lat III RP nadal wierny był „socjalistycznej ojczyźnie” i wykonywał jakąś krecią robotę? Kto to zbada? Może więc celowe byłoby powołanie kolejnego specjalnego urzędu?



Pomysł nowego ślubowania – oczywiście jak najbardziej słuszny, a co najważniejsze, pożyteczny – rodzi jednak kilka dalszych problemów teoretycznych. Po pierwsze, czy domniemuje się, że do czasu złożenia nowego ślubowania sędzia (prokurator, urzędnik) był związany ślubowaniem poprzednim (na wierność socjalizmowi, PRL *etc.*), a dopiero składając ślubowanie kolejne, zostaje automatycznie zwolniony ze ślubowania poprzedniego, czy też może obowiązują go obydwa ślubowania równocześnie? Czy to dobrze, gdy ktoś w III RP nie pozostawał wierny ślubowaniu z czasów PRL, czy niedobrze? Czy ktoś, kto sprzeniewierza się ślubowaniu poprzedniemu (choćby niesłusznemu),

daje rękojmnię, że nie sprzeniewierzy się ślubowaniu nowemu (jak najbardziej słusznemu)?

A może ślubowanie złożone w PRL nie jest ważne z mocy samego prawa? Idąc tym tokiem rozumowania, nie możemy poprzestać na samych ślubowaniach! Problem jest poważniejszy. Ślubowania to dopiero wierzchołek góry lodowej! A jak jest z nominacjami sędziowskimi? Czy sędzia nominowany przez Radę Państwa PRL nie wymaga zatem powtórnej nominacji tym razem z rąk Prezydenta RP? A co ze stopniami wojskowymi bądź harcerskimi? Co z tytułami profesorskimi? Mało tego: co z prawem z czasów PRL? Czy ustawy uchwalone przez peerelowski Sejm mogą obowiązywać w suwerennej Polsce? Weźmy na przykład kodeks cywilny z czasów, o zgrozo, Gomułki!

Przed reformatorami piętrzą się ogromne zadania. Dobrze, że zabierają się do spraw najważniejszych, takich jak ślubowania. Ludzie jednak do ślubowań zdają się przywiązywać nieco mniejszą wagę, niż czynią to reformatorzy. Tak zawsze było. Po likwidacji Rzeczypospolitej Krakowskiej profesorowie uniwersytetu złożyć musieli nową przysięgę, tym razem na wierność monarchii austriackiej. Znany z inteligencji i ciętego języka profesor medycyny sądowej Fryderyk Hechell, odnotowując tę uroczystość w swoim pamiętniku, zapisał taką refleksję: „Cóż stało się z tylu innymi przysięgami, którem dla Napoleona w Wilnie składał, dla Aleksandra tamże, dla Konstantego jako cesarza w Berlinie u pośła rosyjskiego, nareszcie dla Rządu Rzeczypospolitej Krakowskiej w tejże samej sali przed 12 laty składał? W każdej z nich niezmierną wierność równie jak dziś poprzysięgałem, a od żadnej uwolnionym nie zostałem, ażeby wszystkie razem wartości mieć nie mogą i owszem nawzajem się znoszą, a zatem istotnie żadna z nich i z tej przyczyny nie jest obowiązującą”.

Tacy są ludzie. Mogą więc wielkiego wysiłku reformatorów nie docenić. I co wtedy?

[„Kraków” 2005, nr 10]

Bezpieka po podwójnym szoku

Telekonferencja odbyła się 17 sierpnia 1989 roku. Był to czas, kiedy generał Kiszczak po nieudanej próbie rzekł się misji tworzenia rządu, a kluby poselskie ZSL i SD zgłosiły gotowość stworzenia gabinetu wspólnie z OKP.

Dla kierownictwa MSW stało się jasne, że PZPR, wbrew dotychczasowym założeniom, rząd nie stworzy, że powstanie pierwszy w powojennej Polsce rząd niekomunistyczny. Był to dla aparatu bezpieczeństwa kolejny szok. Pierwszym był niewątpliwie okrągły stół, którego filozofia nie mieściła się w dotychczasowych standardach bezpieczeniackiego myślenia. Najwyżsi przedstawiciele partii i państwa, w tym sam szef MSW, zasiadali do stołu i negocjowali z ludźmi, traktowanymi dotąd jako wrogowie państwa i socjalizmu, którego to – jak niedawno jeszcze zapowiadano – miano bronić jak niepodległości. Sam fakt, że z opozycją zaczęto rozmawiać, a nie ją zamykać, znaczna część aparatu uznawała za coś zupełnie niepojętego. Jedni sądzili, że to oznaka słabości, inni, zdaje się mniej liczni, wierzyli jednak w przebiegłość swych szefów i sądzili, że to sprytna gra kierownictwa, która, oczywiście, zakończy się zwycięstwem. Część nic z tego wszystkiego nie rozumiała.

Drugim szokiem były wyniki wyborów w czerwcu 1989 roku. Tu już nie było wątpliwości, że to nie żadna gra, tylko smutna rzeczywistość. Nadzieje dawało jeszcze to, że premierem zostanie generał Kiszczak i pod jego przywództwem wszystko pomału wróci do dawnego. Tymczasem Kiszczakowi nie udało się stworzyć rządu. Teraz już zdaje się nikt w MSW nie miał wątpliwości. Stare nie wróci. Nadzieja została zredukowana: wiceminister Dankowski pociesza kadrę kierowniczą MSW: „Niektóre resorty, w tym z pewnością nasz oraz obrony narodowej będą obsadzone przez członków PZPR. Oczekiwać należy również, że jednym z wicepremierów będzie również członek PZPR”. Tracąc ostatecznie nadzieję, sądzono, że przynajmniej uda się zatrzeć ślady dotychczasowej działalności i zgrabnie przystosować się do nowej sytuacji.

Tyle powinien zapewnić „swój minister”. Sądono, że wystarczy zniszczyć część materiałów operacyjnych. Na wszelki wypadek, bo chyba jeszcze jakaś iskierka nadziei się tliła, projektowano też reorganizację MSW, tak by reorganizację zrobić wedle własnych pomysłów i własnymi rękami.

O ile polecenie niszczenia akt operacyjnych można było wydać od razu i natychmiast przystąpić do realizacji tego dzieła, to sprawa zmiany struktury była trudniejsza, i na dobrą sprawę, z prawnego punktu widzenia beznadziejna. Ustawa o MSW z 1983 roku mówiła, że strukturę resortu określa Rada Ministrów, nadając ministerstwu statut.

W chwili gdy generał Dankowski mówił, że „na bazie dotychczasowych departamentów” III i IV, powstanie Departament Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa z odpowiednimi wydziałami w Wojewódzkich Urzędach Spraw Wewnętrznych, a na „bazie” pionu V i VI Departament Ochrony Gospodarki – wiadomo już było, że nowa Rada Ministrów będzie działać pod przywództwem niekomunistycznego premiera, a więc nie będzie „swoja”. Funkcjonował jeszcze rząd w starym składzie, ale już bez premiera. Otóż wkrótce po omawianej telekonferencji, 22 sierpnia Rada Ministrów pod przewodnictwem Ireneusza Sekuły pełniącego obowiązki premiera, podjęła tajną uchwałę nr 128/89 zmieniającą uchwałę w sprawie nadania statutu organizacyjnego Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. W dotychczasowej, obowiązującej uchwale dodano punkt „1a”, upoważniający ministra spraw wewnętrznych, by w uzasadnionych wypadkach mógł „łączyć, likwidować lub przekształcać jednostki organizacyjne wymienione w statucie, zawiadamiając o tym Ministra Szefa Urzędu Rady Ministrów”.

Dwa dni później, 24 sierpnia 1989 roku, minister spraw wewnętrznych tajnym Zarządzeniem nr 075/89, na podstawie tego upoważnienia zarządził, że: „dotychczasowe Departamenty Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: III, IV, V i VI oraz Biuro Studiów SB i Główny Inspektorat Ochrony Przemysłu przekształca się w następujące jednostki organizacyjne MSW: 1) Departament Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa; 2) Departament Ochrony Gospodarki; 3) Departament Studiów i Analiz”. Przepisy tego Zarządzenia dotyczyły również odpowiednich komórek organizacyjnych w terenie, czyli w Wojewódzkich Urzędach Spraw Wewnętrznych, gdzie numery i nazwy wydziałów odpowiadały numerom i nazwom departamentów w centrali.

Zarządzenie weszło w życie z dniem podpisania, a więc 24 sierpnia 1989 roku. W tym dniu formalnie przestały istnieć m.in. osławione pionki III i IV. Jednak jeszcze 1 września 1989 roku generał Szczygieł rozesłał do wszystkich województw polecenie komisijnego zniszczenia dokumentacji prowadzonej dotąd przez Wydział IV i podpisał je jako „Dyrektor Departamentu IV”, a 5 września 1989 roku jego zastępca pułkownik Mirowski prowadził jeszcze tele-

konferencję z naczelnikiem wydziału IV na temat techniki wykonania tego polecenia. Wygląda na to, że „IV” działała jeszcze zza grobu, a jej szefowie wydawali polecenia formalnie nieistniejącym jednostkom.



Polecenie niszczenia archiwów generał Szczygieł uzasadnił tym, że wszystkie dotychczasowe zarządzenia dotyczące prowadzenia pracy operacyjnej, ewidencji i dokumentacji w pionie IV wydane na przestrzeni lat przez ministra spraw wewnętrznych i dyrektora Departamentu IV zostały anulowane na mocy obwieszczenia ministra spraw wewnętrznych z 17 lutego 1989. Konsekwencją tego „anulowania” było zdaniem generała Szczygła, „odstąpienie od zakładania i prowadzenia teczek, które powinny być protokolarnie zniszczone, łącznie z już złożonymi do archiwum”. Gdyby brać dosłownie to, co napisał generał szefom WUSW, znaczyłoby to, że od 17 lutego 1989 roku teczki były nielegalnie zakładane i prowadzone. Co więcej, cały departament IV działał już bez podstawy prawnej...

Tak jednak nie było i generał Szczygieł wiedział o tym doskonale. Dokument, na który się powołał, był jednym z typowych, ukazujących się co jakiś czas wewnętrznych obwieszczeń ministra zawierających wykaz obowiązujących w resorcie aktów prawnych. Liczba tych aktów – tzw. zarządzeń samoistnych ministra, zarządzeń dyrektorów poszczególnych departamentów, szefów służb – szła w setki. Dlatego co jakiś czas służby prawne Ministerstwa sporządzały

aktualny ich wykaz, który, jako załącznik do obwieszczenia ministra, publikowano w Dzienniku Urzędowym MSW.

Rzecz w tym, że, po pierwsze, załącznik do obwieszczenia obejmował wyłącznie obowiązujące resortowe akty prawne ogłoszone w Dzienniku Urzędowym MSW i w „Monitorze Polskim” – a więc jedynie jawne akty prawne. Zatem z założenia nie wymieniał aktów prawnych tajnych, a te, które dotyczyły „zakładania i prowadzenia teczek”, były nie tylko tajne, ale nawet „tajne spec. znaczenia”. Po drugie, obwieszczenie samo przez się nie anulowało żadnych aktów prawnych, informowało jedynie o ewentualnych faktach wcześniejszych anulowań. Dlaczego zatem generał Szczygieł powołał się na fikcję? Czyżby chciał przed własnymi pracownikami zachować pozory działań legalnych?

Działania kierownictwa resortu w okresie od czerwcowych wyborów do chwili powołania rządu Tadeusza Mazowieckiego były determinowane wieloma czynnikami. Chęć zatarcia śladów działań najbardziej kompromitujących resort i poszczególnych jego funkcjonariuszy próba zachowania pozorów spokoju i legalnego działania, postępujący rozkład struktur i upadek *esprit de corps* aparatu, stare przyzwyczajenia, coraz większy bałagan i panika ogarniająca resort, próby zachowania *status quo* i równocześnie przystosowanie się do zmieniających się warunków. Wszystko to w proporcjach, które kiedyś badać będą i dyskutować historycy.

Gdy w rządzie Tadeusza Mazowieckiego wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych został generał Kiszczak, Rakowiecka na chwilę chwyciła oddech. Chwila okazała się jednak bardzo krótka. Strona solidarnościowa musiała się przygotować do „wejścia na Rakowiecką”. Okres ten zasługuje jednak na odrębne omówienie.

W zapisie z telekonferencji warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden fragment: to, co o przestępczości pospolitej mówił komendant główny MO generał Trzciński. Dziś często twierdzi się, że gwałtowny wzrost przestępczości w Polsce nastąpił dopiero za rządów „solidarnościowych”. Panuje powszechne przekonanie że, w PRL było bezpiecznie. Niektórzy wywodzą stąd wniosek, że porządek i bezpieczeństwo można zapewnić poprzez surową represyjną politykę karną, bo tą metodą zapewniała ją PRL. Tymczasem ostatni komendant MO meldował towarzyszom: „od początku roku mamy do czynienia z nawałnicą przestępstw [...] skala wzrostu nie znajduje precedensu w obrazie przestępczości ostatnich lat. W porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego aż o 213% zwiększyła się ilość postępowań wszczętych o kradzieże z włamaniem do obiektów prywatnych [...] nie ma dnia bez kilku kradzieży z włamaniem. [...] Kradzieże i okradanie samochodów wrosły w dzień powszedni dużych aglomeracji”.

Zjawiskom tym towarzyszyła jego zdaniem „malejąca skuteczność wykrywania przestępstw”. Jak widać, proces gwałtownego wzrostu przestępczości i równo-

czesnego spadku wykrywalności zaczął się, nim odpowiedzialność za bezpieczeństwo i porządek przejęły solidarnościowe rządy. Zatem to nie nadmierny liberalizm prawa i rządów III Rzeczypospolitej zapoczątkował gwałtowny wzrost przestępczości i to nie rządy III RP osłabiły skuteczność policji. Proces zaczął się wcześniej.

[„Tygodnik Powszechny”, 20.08.2000, nr 34]

Casus Egona Krenza

Sąd w Berlinie skazał ostatniego przywódcę rządzącej w NRD partii komunistycznej Egona Krenza na sześć i pół roku więzienia. Jego dwaj towarzysze z Biura Politycznego otrzymali wyroki po trzy lata więzienia.

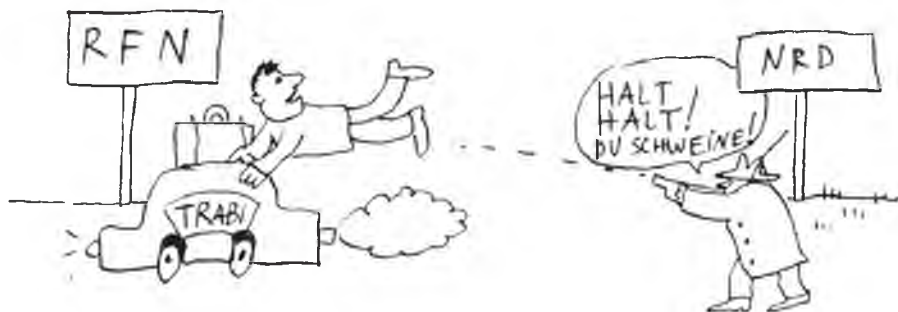
Krenz twierdzi, że wymierzono mu „sprawiedliwość zwycięzców”. Dokładnie tych samych słów użył w 1948 roku sądzony w tokijskim procesie skazany na śmierć japoński zbrodniarz wojenny, były premier i minister wojny Tojo Hideki. Gorbaczow broni Krenza, przypominając, że RFN zobowiązała się przed zjednoczeniem, iż nie będzie karać NRD-owskich polityków za to, że działali w ramach prawa swego suwerennego państwa. Problem w tym, że prawo suwerennej NRD, pozwalające strzelać do własnych obywateli, którzy nie mając legalnych możliwości emigracji, próbowali przekroczyć granicę nielegalnie, było zbrodnicze i niezgodne z konwencjami międzynarodowymi (do których NRD, jako suwerenne państwo, przystąpiła). Wschodnich Niemców pozbawiono prawa do swobodnego poruszania się i wyboru miejsca zamieszkania (Protokół czwarty, art. 2 Europejskiej Konwencji o Obronie Praw i Podstawowych Wolności), ale przede wszystkim prawa do życia (art. 2 tejże Konwencji). Konwencja nie dopuszcza bowiem możliwości pozbawienia życia osoby tylko dlatego, że ta nielegalnie przekracza granicę. Tak więc – przynajmniej w tym zakresie – prawo NRD było „nielegalne”. Można to nazwać inaczej. Można powiedzieć, że „nielegalne prawo” to prawo jaskrawo niezgodne z prawem naturalnym.

I nikt w cywilizowanym świecie nie ma wątpliwości, że takie prawo nie obowiązuje. Bez konieczności zapisywania tego w konstytucjach.

Hitlerowskich zbrodniarzy wojennych wciąż jeszcze karze się za czyny, które formalnie w III Rzeszy były legalne. Co więcej, w czasie ich popełniania nie obowiązywała wspomniana Europejska Konwencja. Jednak zbrodnie wojenne (podobnie jak zbrodnie „przy berlińskim murze”) dadzą się sprowadzić do

zwielokrotnionego zabójstwa, a to ostatnie jest ścigane przez cywilizowane prawo karne wszędzie. Akceptując tę zasadę, rozpoczął po wojnie swą działalność Trybunał Norymberski. Nie ma więc racji Gorbaczow. Ale też nie mają racji ci, którzy w wyroku na Krenza i towarzyszy widzą godny naśladowania precedens rozumiany jako początek prawnokarnego rozliczania się z komunistyczną przeszłością.

Sąd berliński skazał bowiem Krenza i jego towarzyszy z Biura Politycznego nie za kierowanie totalitarnym państwem i za niegodziwości komunistycznego systemu, ale udowodnił im osobistą odpowiedzialność za śmierć konkretnych ludzi, zastrzelonych przy próbie wydostania się z NRD.



Udowodnił im popełnienie konkretnego przestępstwa. Odpowiedzialność karna musi być bowiem co najmniej skonkretyzowana i zindywidualizowana. Można do niej pociągać konkretne osoby za konkretne, zawinione czyny. Prawo karne nie jest narzędziem rozliczenia z epoką komunizmu. Ale też odpowiedzialności ludzkiej nie da się sprowadzić do odpowiedzialności prawnokarnej. Tam, gdzie ta ostatnia nie może sięgać, z powodzeniem sięgać może odpowiedzialność polityczna czy moralna. Nasz polski problem polega na tym, że na dobrą sprawę nikt z byłego kierownictwa PZPR nie poniósł odpowiedzialności ani politycznej, ani moralnej za lata PRL i jej niegodziwości. Jest też w Polsce masa konkretnych zbrodni, choć zapewne nie na taką skalę jak w NRD, popełnionych przez funkcjonariuszy komunistycznego systemu, o które, bez uciekania się do odpowiedzialności zbiorowej, można oskarżyć konkretnych ludzi, a których albo nie ściga się wcale, albo ściga się nieudolnie, a ślimaczące się procesy kończą się często niczym.

Lustracja po polsku

O co chodzi ministrowi Siemiatkowskiemu i posłom SLD, postulującym zmiany w projekcie ustawy lustracyjnej? W istocie o to, by weryfikacją objąć środowiska dawnej opozycji demokratycznej, oszczędzając polityków postkomunistycznych.

Lustracji domaga się, jeśli wierzyć sondażom opinii publicznej, 80 proc. Polaków. Własne projekty ustawy lustracyjnej przygotowały kluby parlamentarne SLD, PSL, KPN, Unii Wolności pospołu z Unią Pracy i częścią PSL, wreszcie swój projekt przedstawił prezydent Aleksander Kwaśniewski. Lustracji domagają się także różne pozaparlamentarne ugrupowania i środowiska polityczne. Niektóre z nich – jak Ruch Odbudowy Polski, poprzez osobę Antoniego Macierewicza – nawet próbowały kiedyś lustrację robić. Akcja Wyborcza „S”, z braku prawnych i faktycznych możliwości w kraju, lustruje się sama, na razie w... niemieckim Urzędzie Gaucka.

BYŁEM PRZECIW, ALE...

Należę do mniejszości. Byłem i jestem przeciwnikiem lustracji. Uważam ją za szkodliwą i zbędną.

Fakt, że ktoś ubiegający się o mandat posła lub senatora przed dwudziestu laty pił wódkę z jakimś esbekiem i przekazywał mu różne plotki albo internowany w stanie wojennym okazał się nieodporny psychicznie i ulegając naciskom, podpisał zobowiązanie o współpracy, nie jest dla mnie najważniejszym faktem w życiorysie danego kandydata. Znacznie ważniejsze jest to, czy kandydat na posła nie prowadzi jakichś podejrzanych interesów, czy nie jest powiązany wątpliwymi układami ze światem przestępczym, czy płaci podatki, czy też z zimną krwią oszukuje państwo i naród, które zamierza reprezentować.

Gdyby lustracja była jednym z elementów procedury przeświadczenia kandydatów na najwyższe stanowiska państwowe – to co innego. Rzecz w tym, że nie jest. Sprowadza życiorysy ludzkie do karykatury. Nieważne, czy np. kandydat na senatora walczył w Powstaniu Warszawskim, został kawalerem *Virtuti Militari*, otarł się o Nagrodę Nobla. Najważniejsze w jego życiorysie jest to, że nie był funkcjonariuszem aparatu bezpieczeństwa ani jego tajnym współpracownikiem. I przeciwnie: w życiorysie jakiegoś łajdaka, który gwałcił i kradł (ale kary uległy już zatarciu), a teraz regularnie pija wódkę z szefem mafii, najważniejsze i najgorsze jest to, że w 1975 roku na przykład pracował jako palacz w SB (co nie ulega zatarciu) i co trzeba koniecznie zaznaczyć na obwieszczeniu wyborczym.



Wiele razy przedstawiałem publicznie swój pogląd na lustrację. Jak się wydaje, nikogo nie przekonałem i dziś jestem w swym stosunku do lustracji odosobniony. Nie ma więc sensu, bym powtarzał swe argumenty przeciw lustracji od początku. Jeżeli większość Polaków chce lustracji, jeśli chcą jej główne siły polityczne kraju, to lustracja widocznie być musi.

Ale jeśli już ma być, niech będzie uczciwa i sprawiedliwa – czyli taka, która rzeczywiście oddzieli byłych funkcjonariuszy i tajnych współpracowników od tych, którzy funkcjonariuszami ani kapusiami nie byli. Niech nie obciąża omyłkowo nikogo. Niech wreszcie obejmie równo wszystkich ubiegających się o najwyższe stanowiska w państwie. Niech opiera się na cywilizowanej procedurze i zagwarantuje lustrowanym prawo do obrony.

CO JEST W USTAWIE?

Projekt ustawy przygotowany przez nadzwyczajną komisję sejmową pod przewodnictwem posła Bogdana Pęka w moim przekonaniu taką lustrację zapewnia.

Zapewnia fachową, bo dokonaną przez doświadczonych sędziów, weryfikację materiałów archiwalnych dotyczących ewentualnej współpracy (w razie potrzeby z udziałem biegłych). Gwarantuje lustrowanym prawo do obrony, zapewniając im tzw. gwarancje procesowe – w tym wgląd w materiał obciążający, udział obrońcy, prawo zgłaszania wniosków dowodowych, domniemanie niewinności i obowiązek interpretacji wszelkich wątpliwości na korzyść lustrowanego. Wreszcie, postępowanie lustracyjne ma być dwuinstancyjne, a od prawomocnego orzeczenia przysługiwać jeszcze będzie kasacja do Sądu Najwyższego.

Treść oświadczeń złożonych przez kandydatów na określone stanowiska państwowe konfrontowana będzie z zawartością archiwów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, Urzędu Ochrony Państwa, Ministerstwa Obrony Narodowej. Ewentualne sprzeczności między treścią oświadczenia a danymi z archiwum wyjaśniane będą przez dwuinstancyjny Sąd Lustracyjny z udziałem zainteresowanego (lustrowanego) i jego obrońcy.

Tak więc to, co dla Macierewicza było finałem lustracji – ujawnienie zawartości archiwum – teraz będzie zaledwie punktem wyjścia. Jeśli osoba lustrowana zakwestionuje prawdziwość materiałów zgromadzonych w jej teczce, będzie miała prawo żądać ich zbadania przez biegłych w ramach ekspertyzy, zgłoszenia świadków itp. Będzie też miała prawo zebrany materiał komentować. Takich szans nie dał Macierewicz osobom, które wskazał jako tajnych współpracowników SB, nie wdając się w analizowanie ich rzeczywistej czy rzekomej współpracy.

Ustawa zawiera katalog stanowisk państwowych, na które kandydaci będą musieli poddać się lustracji. Zawiera też katalog instytucji i organów działających w Polsce w latach 1944–1990, które kwalifikuje jako „organy bezpieczeństwa państwa”. Jest to katalog długi, ale kompletny, obejmujący m.in. służby wojskowe – np. Informację Wojskową czy WSW – których istnienie Macierewicz przeoczył w 1992 roku.

Służba, praca lub tajna współpraca z tymi organami ma być ujawniona. Nie pociąga to za sobą żadnych dolegliwości dla osoby, która swoją służbę, pracę lub współpracę ujawniła. W szczególności ujawniona przeszłość sama przez się nie stanowi przeszkody w zajmowaniu jakichkolwiek stanowisk. Ma tylko być ujawniona – mają o niej wiedzieć osoby mianujące bądź wybierające na dane stanowisko.

Zatajenie służby, pracy bądź tajnej współpracy będzie natomiast karane w dwójnasób. Raz, pociągnie za sobą odpowiedzialność karną za fałszywe zeznania (osoby ubiegające się o stanowisko objęte lustracją będą musiały podpisać stosowne oświadczenie pod rygorem odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania). Ponadto, wedle ustawy, oświadczenie nieprawdy pociąga za sobą utratę kwalifikacji moralnych niezbędnych do zajmowania niektórych stanowisk. Kwalifikacje te wymieniają różne ustawy, określając je jako „nieskazitelność charakteru”, „nieposzlakowana opinia” itp.

Projekt ustawy zawiera też kilka przepisów, których intencją jest zakończenie tzw. dzikiej lustracji. Po pierwsze, lustracji mogą się poddać na własne życzenie osoby, które w przeszłości zajmowały stanowiska lub pełniły funkcje objęte lustracją, a które zostały publicznie pomówione o fakt służby bądź współpracy z organami bezpieczeństwa. Mogą na tej drodze oczyścić się z zarzutu współpracy np. osoby umieszczone na tzw. liście Macierewicza. Po drugie, ustawa ustanawia abolicję dla osób, które nieprawnie weszły w posiadanie różnych tajnych dokumentów organów bezpieczeństwa, pod warunkiem że w ciągu 60 dni od dnia wejścia w życie ustawy zwrócą je Sądowi Lustracyjnemu. Po tym terminie za posiadanie takich dokumentów, ich publikowanie czy szantażowanie za ich pomocą grożą drakońskie kary. Jeśli prokuratury i sądy będą w egzekwowaniu tego prawa naprawdę stanowcze, można mieć nadzieję, że „dzika lustracja” ustanie.

KOGO BRONI SIEMIĄTKOWSKI?

Ustawa powstawała w gorącej atmosferze ciągłych sporów w łonie komisji, w pośpiechu, pod wyraźną presją nadchodzących wyborów. W dyskusjach emocje brały górę nad rozsądkiem, a demagogia nieraz przeważała nad rzeczową argumentacją. W efekcie jest w tej ustawie wiele usterek, ale dotyczą one kwestii drugo- czy nawet trzeciorzędnych. Przy odrobinie dobrej woli usterki te można by usunąć w toku dalszych prac legislacyjnych. Wbrew temu, co powiedziała minister Danuta Waniek, ta ustawa to nie żaden „potworek prawny”.

W czasie całego procesu tworzenia projektu grupa posłów SLD (szczególnie aktywni byli Jerzy Jaskiernia, Kazimierz Pańtak i Jerzy Dziewulski) przy każdym zapisie zgłaszała mnóstwo wątpliwości, domagała się wciąż nowych opinii ekspertów, udawała, że nie rozumie podstawowych terminów prawniczych, by na koniec zapowiedzieć do niemal każdego artykułu wnioski mniejszości. Posłowie SLD zmieniali przy tym zdanie nieraz o 180 stopni. Rzecz ciekawa, nie popierali w komisji ani rozwiązań ze swojego projektu, ani projektu prezydenta, natomiast próbowali lansować dość absurdalne rozwiązania z projektu KPN, czym wprowadzili w osłupienie posłów Konfederacji. Byli

przeciwni idei Komisji Lustracyjnej, domagając się Sądu Lustracyjnego. Gdy komisja sejmowa zgodziła się wreszcie na Sąd Lustracyjny, zaczęli gwałtownie domagać się powrotu do koncepcji Komisji Lustracyjnej.

Do tego chóru na ostatnim posiedzeniu komisji sejmowej dołączyli ministrowie Danuta Waniek i Zbigniew Siemiątkowski. Pani Waniek osobiście pofatygowwała się na posiedzenie, pan Siemiątkowski przysłał list, w którym domagał się mnóstwa różnych rzeczy, a w szczególności:

- zastąpienia prawa Sądu Lustracyjnego do swobodnej oceny dowodów przez tzw. legalną ocenę dowodów. Nastąpiłoby to poprzez „precyzyjne określenie dokumentów, które stanowić mogą podstawę do orzekania w procesie lustracyjnym”;
- wyłączenia z lustracji funkcjonariuszy i współpracowników pionu I i II MSW, czyli wywiadu i kontrwywiadu. Siemiątkowski sugerował, że piony te nie były częścią SB;
- przyznania szefowi UOP prawa do odmowy udostępnienia Sądowi Lustracyjnemu dokumentów, które zawierają informacje istotne nie tylko dla bezpieczeństwa państwa, ale także dla „interesu operacyjnego UOP”.

Co faktycznie oznaczały propozycje ministra Siemiątkowskiego? Pierwsza, dotycząca wyspecjalizowania dokumentów, które mogą stanowić dowód w postępowaniu lustracyjnym, wspiera zgłoszoną wcześniej – i odrzuconą w głosowaniu przez komisję sejmową – propozycję grupy posłów SLD, powtórzoną ostatnio przez posła Aleksandra Bentkowskiego z PSL. Wedle tej propozycji Sąd Lustracyjny mógłby stwierdzić tajną współpracę tylko wówczas, gdy w teczkę delikwenta znajdzie: własnoręcznie podpisane zobowiązanie do współpracy, własnoręcznie napisane raporty konfidenta, własnoręczne pokwitowania wynagrodzenia.

Trzeba więc przypomnieć, że przepisy wewnętrzne MSW wcale nie nakazywały bezwzględnie ani pisania własnoręcznych zobowiązań, ani składania własnoręcznych raportów, ani kwitowania wynagrodzeń. Z całą pewnością nie czynili tego najbardziej wartościowi dla SB konfidenti. Z góry więc można przewidzieć, iż przy przyjęciu tej propozycji okaże się, że w PRL konfidentów SB w zasadzie nie było...

Drugą propozycję, dotyczącą wyłączenia z lustracji PRL-owskiego wywiadu i kontrwywiadu, można ocenić jedynie jako wyjątkową bezczelność. Zaczniemy od przypomnienia, że pion I i II (departamenty w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i odpowiadające im wydziały w komendach wojewódzkich MO, a po roku 1983 – w wojewódzkich urzędach spraw wewnętrznych) były ewidentnie częścią SB. W KW MO (a później WUSW) piony te podlegały zastępcy komendanta ds. SB. Kontrwywiad bodaj bardziej aktywnie ścigał opozycję i inwigilował dziennikarzy w kraju, niż łapał szpiegów. Wywiad

w dużej mierze wykonywał w stosunku do Polaków za granicą – zarówno starej Polonii, jak i emigracji solidarnościowej – te same zadania, które reszta bezpieki wykonywała w kraju.

To, że wywiad i kontrwywiad były częścią SB, nie ulegało wątpliwości nawet dla generała Czesława Kiszcza, który – wykonując w 1990 roku ustawowy nakaz rozwiązania SB – rozwiązał także wywiad i kontrwywiad, a ich funkcjonariuszy poddał weryfikacji na równi z innymi esbekami.

Dlaczego jednak minister Siemiątkowski i posłowie SLD chcą z lustracji wyłączyć te właśnie pionów bezpieki? Odpowiedź jest prosta: konfidentów werbuje się w tych środowiskach, które się rozpracowuje. Pion III MSW, zajmujący się inteligencją i środowiskami twórczymi, werbował konfidentów w tych właśnie środowiskach, pion IV – w środowiskach kościelnych, V – w robotniczych, a VI – w wiejskich. Do penetrowania tych środowisk z reguły nie werbowano aktywistów PZPR. Nawiasem mówiąc, osławiona instrukcja do zarządzenia 006/70 formalnie zakazywała werbowania na konfidentów członków partii – od czego były zresztą wcale liczne wyjątki.

Zakaz werbowania członków PZPR nie dotyczył natomiast wywiadu. Członkowie, a zwłaszcza aktywiści partii i organizacji młodzieżowych, werbowani byli licznie do współpracy z wywiadem i kontrwywiadem. Przyjęcie propozycji Siemiątkowskiego oznaczałoby więc zgodę na zlustrowanie środowisk opozycyjnych i wyłączenie z lustracji *a priori* środowisk postkomunistycznych.

Jakby tego było mało, Siemiątkowski chciałby, by do Sądu Lustracyjnego napływały tylko te dokumenty, które szef UOP zechce przekazać. Co oznacza, że szef UOP decydowałby, kogo i z jakim skutkiem weryfikował będzie Sąd Lustracyjny. Przy takim rozwiązaniu cała lustracja sądowa stanie się fikcją. Gorzej nawet, będzie terenem dowolnych manipulacji ze strony szefa UOP.

WYSTARCZY NIE KANDYDOWAĆ



Prezydent Kwaśniewski powiedział, że obecny projekt ustawy lustracyjnej wymaga zmian, m.in. po to, by zlikwidować groźbę „roznegliżowania” wywiadu.

Zastrzeżenie prezydenta byłoby słuszne tylko w takim wypadku, gdyby jakieś ugrupowanie polityczne chciało masowo wysunąć na kandydatów do Sejmu i Senatu byłych funkcjonariuszy i współpracowników PRL-owskiego wywiadu, którzy w dodatku kontynuują służbę w wywiadzie UOP. Wystarczy jednak, by byli agenci nie kandydowali do parlamentu i nie pretendowali do stanowisk ministrów, podsekretarzy stanu itp., a nikt nie będzie ich ujawniał ani lustrował i wywiad nie zostanie „roznegliżowany”.

Prezydent powiedział też, że „lustracja powinna służyć pojednaniu, a nie być źródłem nowych konfliktów”. Bardzo słusznie. Jeśli jednak dziś lustracji podda się cynicznie tylko opozycję, oszczędzając partyjnych współtowarzyszy, taka procedura z całą pewnością nie będzie służyć pojednaniu. Przeciwnie, stanie się źródłem nowych konfliktów. Przedłuży podział społeczeństwa na dwa wrogie obozy i skłoni do tym drastyczniejszych rozliczeń po zmianie władzy.

[„Gazeta Wyborcza”, 18.02.1997, nr 41]

Dlaczego nie podoba mi się Ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej

Nie podoba mi się ta ustawa. Nie tylko mnie. Rada Legislacyjna przy Prezesie Rady Ministrów w swej opinii napisała delikatnie, iż „projekt nie został dostatecznie zharmonizowany z obowiązującym porządkiem prawnym, pojęciami stosowanymi m.in. w dziedzinie prawa karnego oraz zawiera szereg usterek legislacyjnych”. Wyliczenie i pobieżne omówienie tych ostatnich zajęło Radzie Legislacyjnej dziewięć stron maszynopisu. Tylko nieliczne i wcale nie najbardziej istotne usterki zostały później poprawione. Tak więc, nie jestem w opinii o ustawie odosobniony.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład. Z treści art. 2 i 3 ustawy wynika, że „zbrodniami komunistycznymi” mogą być nawet występki, a formą ich popełnienia mogą być m.in. „inspirowanie” i „tolerowanie”.

Kodeks karny dzieli przestępstwa na zbrodnie i występki. Inaczej mówiąc, przestępstwo może być albo zbrodnią, albo występkiem (por. art. 7 § 1 kk). Podział ten ma nie tylko znaczenie klasyfikacyjne, formalne. Wynikają z niego daleko idące konsekwencje merytoryczne (zbrodnię można popełnić tylko umyślnie, występki także nieumyślnie, inaczej ściga się zbrodnie, inaczej występki, inne są terminy przedawnienia dla zbrodni, inne dla występków *etc.*).

Występek, który może być zbrodnią, to coś tak, jak trójkąt, który może być kołem, albo przydrożna kapliczka, która ewentualnie może być gotycką katedrą. Idźmy dalej. Polskie prawo karne zna trzy formy popełnienia przestępstwa: sprawstwo (w tym sprawstwo kierownicze), podżeganie i pomocnictwo (art. 18 kk). Wszystkie one są dokładnie przez kodeks zdefiniowane.

Okazuje się, że zbrodnię komunistyczną, która może być występkiem, można popełnić także w formie „inspirowania” lub „tolerowania”.

Czy „inspirowanie” to to samo co podżeganie? Jeśli tak, to nie trzeba było tego wcale pisać, bo podżeganie na mocy kodeksu karnego jest karalne na równi ze

sprawstwem. Więc widocznie „inspirowanie” to coś innego niż podżeganie. Zapewne także coś innego niż „sprawstwo kierownicze”. Czymże więc jest to inspirowanie? Gdzie zostało ono zdefiniowane, kto i za jakie zachowanie może być pociągnięty do odpowiedzialności za „inspirowanie” do występku, który okazał się zbrodnią?

Jeszcze gorzej z „tolerowaniem”. Na czym ono polega? Wedle słownika wyrazów bliskoznacznych „tolerować to znosić, cierpieć, pobłażać, zezwalać”. O które z tych znaczeń chodzi? Komu można będzie przypisać, że „tolerował” czyjeś „poważne prześladowanie”, o którym mowa w art. 3 ustawy (od jakiego momentu prześladowanie można już uznać za poważne? – to następne pytanie).



Weźmy taką historię: w Radomiu w 1976 roku milicja urządziła zatrzymanym robotnikom słynne „ścieżki zdrowia” – zatrzymanych aresztowali prokuratorzy i wszczynali im sprawy karne. Czy były to już „poważne prześladowania”, czy jeszcze niepoważne? Idźmy dalej. Czy prokurator, który w tym czasie pracował w prokuraturze radomskiej, wprowadzie tych spraw osobiście nie prowadził, ale też nie podał się do dymisji, głośno nie protestował, może być pociągnięty do odpowiedzialności za „tolerowanie” prześladowań, czy nie? Drobniejszych, choć również bogatych w konsekwencje, usterek prawnych można w ustawie znaleźć dziesiątki.

Przykład kolejny: w art. 38 ustawa daje pewne uprawnienia „upoważnionym funkcjonariuszom służb specjalnych”, wcale się nie troszcząc o to, że nazwa „służby specjalne” jest nazwą języka potocznego, a nie terminem normatywnym. Jeśli taki termin wprowadza się do ustawy, to koniecznie trzeba go zdefiniować. Ustawa tego nie robi. Rodzi się zatem wątpliwość: czy „służby specjalne” to tylko UOP i WSI, czy też np. piony operacyjne Policji i Straży Granicznej?

W konsekwencji nie wiadomo, komu ustawa nadała wspomniane uprawnienia. Niektóre przepisy mają charakter wręcz groteskowy. Choćby art. 13, który przewiduje możliwość wnioskowania przez Kolegium Instytutu odwołania



Prezesa, gdy ten m.in. „z powodu choroby, ułomności lub upadku sił stał się trwale niezdolny dopełnienia obowiązków” (art. 13 pkt 2). Na czym polega „upadek sił Prezesa”, który nie jest spowodowany chorobą ani ułomnością, doprawdy trudno dociec. O jakie siły tu chodzi (duchowe? witalne?). Stan zdrowia, ułomność można oceniać w miarę obiektywnie: mogą to zrobić biegli lekarze. Kto, na podstawie jakich kryteriów ma mierzyć głębokość upadku sił Prezesa?

Z omawianego art. 2 ustawy dowiadujemy się też, że komunistyczne państwo trwało u nas od 17 września 1939 roku do 31 grudnia 1989 roku. W okresie od 17 września 1939 do 22 lipca 1944 roku nie było komunistycznego państwa polskiego, a więc nie było także jego funkcjonariuszy. O funkcjonariuszy jakiego państwa zatem tu chodzi? W tym czasie mogli to być albo funkcjonariusze ZSRR, albo członkowie polskich formacji komunistycznych (np. GL czy PPR), ale tych ostatnich trudno uznać za funkcjonariuszy państwa. Przyjęcie ustawowe daty końca komunizmu w Polsce z 31 grudnia 1989 roku też jest przedsięwzięciem co najmniej ryzykownym. Periodyzacja historii za pomocą przepisów ustawy jest nie tylko czymś osobliwym, ale też niebezpiecznym. Przyjęcie (wbrew słowom Joanny Szczepkowskiej), że komunizm w Polsce skończył się nie 4 czerwca 1989 (jak obwieściła swego czasu aktorka), a dopiero 31 grudnia tegoż roku, pociąga za sobą nie tylko konsekwencje moralne czy polityczne, ale też prawne. Każda kolejna ustawa (np. dekomunizacyjna na początek) może już zbiorowo odnieść się do funkcjonariuszy komunistycznego państwa, do których automatycznie, na mocy omawianej ustawy zaliczeni zostali Tadeusz Mazowiecki, Leszek Balcerowicz i pozostali ministrowie zasiadający z nimi w rządzie. Na pociechę i dla równowagi trzeba powiedzieć, że w świetle art. 6 ustawy, do pokrzywdzonych przez komunizm należy cały aparat partyjny z lat 50.

Pokrzywdzonym bowiem, w rozumieniu ustawy, jest osoba, „o której organy bezpieczeństwa państwa zbierały informacje na podstawie celowo gromadzonych danych, w tym w sposób tajny”. Warto pamiętać, że podstawowym zadaniem Departamentu X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego było zbieranie informacji i rozpracowywanie aparatu partyjnego, o czym swego czasu szeroko opowiadał płk Światło. I na koniec rzecz może najistotniejsza. Ustawa cichcem, bo nie nazywa tego wprost, wprowadza lustrację powszechną.

Wedle art. 32 pokrzywdzonemu (a więc praktycznie nieograniczonej liczbie ludzi) udostępnione mają być m.in. nazwiska i dane osobowe tajnych współpracowników, którzy o nim zbierali dane bądź je oceniali. Dotąd, przynajmniej wśród głównych sił politycznych, panowała zgoda co do lustracji ograniczonej do osób ubiegających się o najwyższe stanowiska w państwie lub przynależnych do określonych kategorii zawodowych (sędziowie, prokuratorzy, adwokaci). Taką ograniczoną lustrację przewiduje tzw. ustawa lustracyjna. Tymczasem Ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej rozpocznie lustrację powszechną, totalną, niekontrolowaną i, co gorsza, nieweryfikowalną. Przy lustracji ograniczonej osoba obciążona niesłusznym zarzutem współpracy będzie miała (co najmniej teoretycznie) możliwość obrony przed Sądem Apelacyjnym. Co będzie z osobą niesłuszenie obciążoną takim zarzutem, której dane osobowe uzyska któryś z pokrzywdzonych? Jak taki ktoś, niebędący VIP-em objętym ustawą lustracyjną i przywilejem obrony swego imienia w Sądzie Apelacyjnym, ma się bronić? Jeśli społeczeństwo, przekonane przez polityków, rzeczywiście chce dostępu do akt dawnej bezpieki, jeśli politycy są zgodni (a przynajmniej udają, że są), że taki dostęp jest potrzebny i trzeba do tego celu powołać specjalną instytucję – to prędzej czy później taki Instytut Pamięci trzeba utworzyć. Nie sprzeciwiam się tej idei. Jednak uważam, że jeśli przez blisko 10 lat III Rzeczypospolitej jakoś bez tego Instytutu wytrzymaliśmy, to pewnie można by poczekać jeszcze kilka miesięcy i w tym czasie przygotować dobrą ustawę.

Ta niestety jest zła. A zła ustawa, regulująca tak delikatne kwestie, jest szkodliwa i niebezpieczna.

Niebezpieczna ustawa

1. Aby nie zanudzać Czytelników polemiką na tematy ściśle prawnokarne, profesorowi Witoldowi Kuleszy („Tygodnik Powszechny” 1998, nr 48) w odpowiedzi zacytuję jedynie fragment Opinii o projekcie Ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – wydanej przez Radę Legislacyjną przy Prezesie Rady Ministrów (zrzeszającą grono uznanych prawników, nawiasem mówiąc podpisaną przez prof. Andrzeja Zolla, byłego Prezesa Trybunału Konstytucyjnego, kierownika Katedry Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego): „projekt (omawianej ustawy) nie został dostatecznie zharmonizowany z obowiązującym porządkiem prawnym, pojęciami stosowanymi m.in. w dziedzinie prawa karnego, oraz zawiera szereg usterek legislacyjnych [...]”.

Wątpliwości budzi przede wszystkim definicja zbrodni komunistycznych (art. 2), podobnie zresztą jak ustawowa definicja zbrodni stalinowskich, stosowana dotychczas. Stosowane w tych definicjach pojęcie tolerowania zbrodni zasadniczo odbiega od stosowanych w prawie karnym określeń czynów podlegających odpowiedzialności karnej [...]”.

Myślę, że miejscem na dyskusję bardziej szczegółową są łamy czasopism prawniczych, i mam nadzieję, że tam dyskusja zostanie przeniesiona.

2. Profesor Kulesza potwierdza, że w świetle ustawy, której jest współtwórcą, Tadeusz Mazowiecki i Leszek Balcerowicz są funkcjonariuszami komunistycznego państwa, pociesza jedynie, że „art. 2 mówi wyraźnie, że sprawcami zbrodni nie byli wszyscy funkcjonariusze państwa komunistycznego”. Znaczy, by powtórzyć w skrócie, funkcjonariuszami komunistycznego państwa to oni byli, ale niekoniecznie byli zbrodniarzami. Cóż, myślę, że zainteresowani z takiej interpretacji się ucieszą.

3. Groteskowości przepisu o „upadku sił Prezesa” nie zmienia w niczym to, że równie groteskowy przepis znalazł się także w innej ustawie. Dalej nie wiadomo, na czym „upadek sił” niepozwalający na sprawowanie urzędu, a niebędący wynikiem stanu zdrowia czy ułomności polega.

4. Wszystko to jednak stanowi drobiazg w porównaniu z konsekwencjami, jakie wywoła art. 32 ustawy, a które w krytykowanym przez prof. Kuleszę tekście nazwałem „lustracją powszechną, totalną, niekontrolowaną i co gorsza nieweryfikowalną”.

Z ogólnikowego ustosunkowania się do tego mojego zarzutu wnoszę, że profesor Kulesza konsekwencji tych nie rozumie albo udaje, że nie rozumie. Dlatego raz jeszcze powtarzam. W lustracji prowadzonej wedle ustawy lustracyjnej, a więc dotyczącej ograniczonej liczby osób (zajmujących kierownicze stanowiska w państwie i wykonujących określone zawody), zasób archiwalny dawnego MSW będzie weryfikował Rzecznik Interesu Publicznego, a potem Sąd Apelacyjny w dwuinstancyjnym postępowaniu, a na-



wet Sąd Najwyższy (jeśli dojdzie do kasacji), w którym to postępowaniu przysługiwać będą wszystkie tzw. gwarancje procesowe (od domniemania niewinności poczynawszy), co zważywszy na stan przetrzebionych archiwów i metodykę produkowania przez SB tych archiwaliów, jest sprawą szalenie ważną. Ale po wejściu w życie Ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, zacznie się w Polsce druga lustracja. Ta właśnie totalna i nieweryfikowalna, którą zapoczątkuje praktyka stosowania art. 32 Ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. Dotyczyć będzie ona bliżej nieokreślonej liczby osób, a każdy „ujawniony” jako były tajny współpracownik nie będzie miał żadnych możliwości obrony. Prawdziwości ujawnionych danych nie będzie weryfikował żaden sąd, żadne gwarancje procesowe nie będą służyć temu, kto w cudzych aktach figurować będzie jako rzekomy tajny współpracownik.

O takiej lustracji nie śniło się nawet ministrowi Macierewiczowi! Ten ostatni, przyciśnięty do muru przyznawał, że jego „lista” nie ujawnia agentów, a jedynie osoby, które w ubeckich kartotekach figurują jako agenci.

Lustracja cichcem wprowadzona przez art. 32 Ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej nie będzie czynić takiego rozróżnienia. Nie będzie dawać możliwości weryfikacji prawdziwości archiwalnego zapisu. Figurujący w kartotece równa się agent!

Na marginesie tej polemiki, ostatnia uwaga, ogólna, nie kierowana do mojego Polemisty. Nie bardzo mogę zrozumieć tych, którzy po 1992 roku odsądzali od czci i wiary Macierewicza, a teraz ochoczo głosowali za Ustawą o Instytucie

Rozważania o prawie i sprawiedliwości

Pamięci Narodowej w obecnym jej kształcie. To może by trzeba najpierw przeprosić Antoniego Macierewicza?

[„Tygodnik Powszechny”, 06.12.1998, nr 49]

Lustracja po raz kolejny

Zbliżające się wybory i związana z tym walka polityczna ożywiły znów temat lustracji. Nie słyszałem wprawdzie, aby prace dziś do władzy partie polityczne miały jakiś pomysł na zmniejszenie bezrobocia, poprawę służby zdrowia lub dofinansowanie nauki, mają za to liczne pomysły na rozliczenia. Stałym elementem tych ostatnich jest lustracja i czasami nadto dekomunizacja.

Ponieważ na naszej scenie politycznej obowiązuje od pewnego czasu kaprałska zasada „równaj w prawo!”, wszystko, co wymyśli Roman Giertych i jego LPR, natychmiast podchwytywane jest przez pozostałe partie prawicy. Tak czy owak, politykom po raz któryś udało się wmówić społeczeństwu, że powszechna lustracja – po pierwsze – jest możliwa, po drugie – jest bardzo potrzebna.

Otóż uważam, że nie jest ona możliwa ani do niczego nie jest potrzebna. Zacznę od przypomnienia, że aktualnie w Polsce mamy dwa tryby lustrowania. Kandydaci na najwyższe stanowiska w państwie, a także przedstawiciele określonych zawodów (sędziowie, prokuratorzy, adwokaci) podlegają lustracji z urzędu. Mają oni obowiązek złożenia tak zwanych oświadczeń lustracyjnych, w których powinni ujawnić, czy przed rokiem 1990 byli pracownikami lub tajnymi współpracownikami organów bezpieczeństwa PRL. Jeśli ktoś przyzna się do takiej pracy lub współpracy, fakt ten zostanie opublikowany w „Monitorze Polskim”, a jeśli ubiega się o mandat poselski lub senatorski, dodatkowo w obwieszczeniu wyborczym. Natomiast zatajenie takiego faktu jest karalne jako tak zwane kłamstwo lustracyjne dziesięcioletnim zakazem pełnienia funkcji publicznej lub wykonywania zawodu.

Aby kogoś uznać za kłamcę lustracyjnego (czyli *de facto* agenta), musi zapaść orzeczenie Sądu Lustracyjnego, którym jest specjalny wydział Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Funkcję oskarżyciela przed tym sądem pełni Rzecznik Interesu Publicznego, którym jest wysokokwalifikowany sędzia. Proces lustracyjny toczy się według zasad procesu karnego. Osobie lustrowanej służy zatem

domniemanie niewinności, może ona korzystać z pomocy adwokata, od orzeczenia sądu przysługuje apelacja, na koniec kasacja do Sądu Najwyższego. Ustawa o IPN otworzyła drugą lustrację, odbywającą się wedle zupełnie innych reguł. Udzielając informacji (i materiałów) historykom, dziennikarzom i osobom pokrzywdzonym w rozumieniu tej ustawy, IPN na podstawie swojej wewnętrznej i jemu tylko znanej procedury określa, kto personalnie kryje się pod pseudonimem agenta, czyli, inaczej mówiąc, kto był agentem. Ta arbitralna decyzja, niemająca przecież statusu orzeczenia sądowego, wydana jest bez udziału (a nawet wiedzy) osoby zainteresowanej i nie podlega żadnej efektywnej kontroli sądowej. Osoby uznane przez IPN za agentów i jako takie upublicznione nie mają możliwości obrony. Nie mogą z zasady odwołać się do Sądu Lustracyjnego o skontrolowanie opinii IPN. Ustawa lustracyjna i jej ekskluzywny tryb lustrowania (według standardów procesu karnego, co znaczy tyle, że lustrowany nie jest przez sąd traktowany gorzej niż człowiek sądzony na przykład o morderstwo) przewidziana jest tylko dla niektórych, tych, co aspirują do najwyższych stanowisk w państwie bądź do konkretnych zawodów (sędziego, prokuratora, adwokata). Ten tryb lustrowania jest z zasady niedostępny dla pozostałych, także tych, których jako agentów ogłosił IPN, a oni temu przeczą i chcą, aby niezawisły sąd zweryfikował IPN-owską informację. Jednakże ustawa lustracyjna zawiera furtkę pozwalającą Sądowi Lustracyjnemu na wszczęcie postępowania lustracyjnego wobec innej osoby niż należąca do grona podlegających lustracji z urzędu. Sąd musi jednak uznać, że zachodzi tu szczególnie uzasadniony przypadek. Za taki Sąd Lustracyjny uznał ostatnio, na prośbę zainteresowanego, przypadek podziemnego wydawcy w czasach PRL, Henryka Karkoszy, co jest precedensem.

Aktualna sytuacja jest niezdrowa i rażąco narusza zasady państwa prawa: nie wszyscy są równi wobec prawa i nie wszyscy mają prawo do sądu. Wymaga to jak najszybszej zmiany ustaw tak, aby osoba określona przez IPN jako agent mogła się odwołać do Sądu Lustracyjnego o zweryfikowanie tego określenia. Zamiast tej koniecznej z punktu widzenia konstytucyjnej zasady państwa prawa nowelizacji zgłoszono niedawno pomysł, aby IPN ujawnił wszystkie nazwiska agentów dające się ustalić na podstawie posiadanych przezeń materiałów. Zadanie takie jest zupełnie niewykonalne (co przyznaje prof. Kieres) – wszak idzie o setki tysięcy nazwisk z lat 1944–1989!

Postulat, aby osoby, które znajdują się na takiej liście, mogły odwołać się do sądu, jest wręcz niepoważny! Jak informuje „Polityka” (z 8 stycznia 2005) przez sześć lat funkcjonowania w Polsce lustracji Sąd Lustracyjny rozpoznał zaledwie 148 wniosków skierowanych do niego przez Rzecznika Interesu Publicznego, z czego prawomocnymi orzeczeniami zakończyło się jedynie 85 spraw! Spośród tych 148 osób, które wedle Rzecznika Interesu Publicznego współpracowały

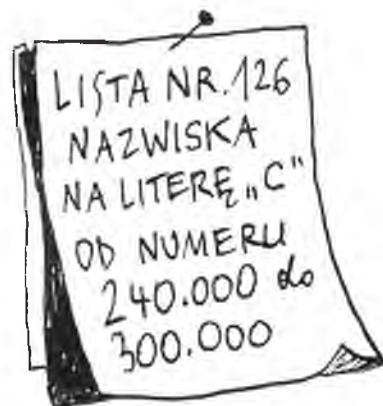
z organami bezpieczeństwa, 20 osób sąd oczyścił z tego zarzutu! 63 sprawy są ciągle w toku – z tego jedna od 1999 roku!

Gdyby chwilę zastanowić się nad tymi danymi, to dla każdego, którego umysł nie jest owładnięty lustracyjnym obłędem, co najmniej dwa wnioski narzucają się same. Po pierwsze, rozstrzygnięcie na podstawie materiału archiwalnego IPN tego, czy ktoś był, czy nie był agentem, w większości przypadków nie bywa proste nawet dla wysokokwalifikowanych sędziów. Coś, co wydaje się niewątpliwe Rzecznikowi Interesu Publicznego, często wątpliwe wydaje się Sądowi. Co więcej, zdarzają się przypadki na tyle wątpliwe, że orzeczenie sądowe w tej kwestii bywa uchylane przez sąd drugiej instancji, którego sędziowie inaczej niż sędziowie orzekający w pierwszej instancji ocenili ten sam materiał IPN (dawniej UOP). Po drugie, sądowa weryfikacja list ogłoszonych przez IPN zająć by musiała kilkadziesiąt lat. W tym czasie osoby ujęte na IPN-owskiej liście ujawnionych agentów żyłyby w niesławie.

Jakie jest wyjście? Takie jak w wielu cywilizowanych krajach. Archiwalna karencja polegająca na utajnieniu tego typu akt przez następnych lat 50. Po takim okresie zawartość ubeckich archiwów będzie interesująca wyłącznie dla historyków, przestanie być przydatna dla polityków, którzy mają zawsze pokusę, aby użyć ich w bieżącej walce politycznej. Sądowa weryfikacja tych list też przestanie wówczas być sprawą pilną i niecierpiącą zwłoki. Nawet jeśli ktoś zostanie przez historyka skrzywdzony, to nie odczuje tego osobiście, a jego wnuki mogą sobie toczyć procesy cywilne z historykami.

I na zakończenie: do czego taka totalna lustracja jest potrzebna? Jej zwolennicy mówią, że jest konieczna w imię prawdy, dla oczyszczenia atmosfery i dla uniemożliwienia szantażu.

W cywilizowanych krajach, tam gdzie w archiwach obowiązuje karencja na ujawnianie różnego rodzaju dokumentów, prawda historyczna na tym szczególnie boleśnie nie cierpi. Bez wiedzy o nazwiskach agentów i osób podejrzewanych o to, że były agentami, historię najnowszą zdaje się można napisać. Zresztą historycy dostęp do archiwów IPN



na mocy obowiązujących przepisów i tak mają, a totalna lustracja nie jest im do niczego potrzebna.

Czy można oczyścić atmosferę? Mnożąc wątpliwości i pomówienia, można ją tylko jeszcze bardziej zanieczyścić. Łatwo sobie wyobrazić lubelski casus Bendera podniesiony do n-tej potęgi.

Nie przesadzajmy też z niebezpieczeństwem szantażu! Po pierwsze, osoby zajmujące stanowiska publiczne, których szantażowanie jest szczególnie niebezpieczne, i tak są lustrowane na mocy obowiązującego prawa. I czy ktoś w ciągu ostatnich 15 lat spotkał się z jakimś pojedynczym choćby przypadkiem szantażowania kogoś zawartością ubeckich papierów?

Obawiam się, że mój głos będzie głosem wołającego na puszczy. No, to do zobaczenia w Rzeczypospolitej Śledczej lub Śledczo-Operacyjnej.

[„Kraków” 2005, nr 2]

Spór o IPN*

IPN POZA SĄDOWĄ KONTROLĄ

Obowiązujące u nas przepisy nie dają podejrzanemu o to, że był za czasów PRL agentem, możliwości obrony. Tymczasem w państwie prawa nikt nie może być pozbawiony prawa do sądu.

Tocząca się od kilku tygodni dyskusja na temat Instytutu Pamięci Narodowej pełna jest emocji, które nie służą obiektywnemu spojrzeniu na zagadnienie. Dyskutanci coraz bardziej oddalają się od realiów i pomijają najważniejsze w tej sprawie kwestie prawne. Te ostatnie przy ocenie działalności IPN są z punktu widzenia państwa prawa fundamentalne. Jako prawnicy wykonujący także praktykę adwokacką zetknęliśmy się z kilkoma przypadkami, w których osoby przez nas reprezentowane, czując się niewinne, zostały dramatycznie dotknięte przez działalność IPN. Sprawy te unaoczniają, jak niedoskonała jest ustawa o IPN i jak jej stosowanie rażąco narusza zasady państwa prawa.

W wywiadzie udzielonym Pawłowi Smoleńskiemu („Gazeta Wyborcza” z 2–3 października) prezes IPN prof. Leon Kieres – sugerując, że działalność „lustracyjna” IPN podlega kontroli sądowej – świadomie czy nieświadomie wprowadza czytelnika w błąd.

TYLKO DLA VIP-ÓW

Trzeba przypomnieć, że w Polsce można być uznanym za agenta organów bezpieczeństwa PRL wedle dwóch zasadniczo różnych procedur. Pierwsza z nich zarezerwowana jest dla VIP-ów (prezydent, premier, ministrowie, posłowie, senatorowie *etc.*) oraz dla sędziów, prokuratorów i adwokatów. Osoby z tej grupy, zanim zostaną uznane za „kłamcę lustracyjnego” (czytaj: agenta), przechodzą

* Tekst napisany wraz ze Zbigniewem Hołądą.

procedurę lustracyjną opartą na wysokich standardach procesu karnego. Mają status podobny jak oskarżony w procesie karnym. Służą im więc domniemanie niewinności, prawo do korzystania z pomocy obrońcy, składania wyjaśnień, wniosków dowodowych, odnoszenia się do każdego z dowodów przedstawionych przez rzecznika interesu publicznego itp.



Proces taki toczy się aż przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie w składzie trzech doświadczonych sędziów. Od jego orzeczenia służy odwołanie do innego składu tegoż sądu, a następnie jeszcze kasacja do Sądu Najwyższego. Orzecznictwo Sądu Najwyższego i Trybunału Konstytucyjnego wypracowało kryteria tajnej współpracy pozwalające uznać kogoś za współpracownika organów bezpieczeństwa. To także świadczy o tym, że uznanie kogoś za agenta lub uwolnienie go od tego zarzutu bywa skomplikowane nawet dla doświadczonego sądu.

Krótko mówiąc, aby kogoś uznać za kłamcę lustracyjnego, czyli w logicznej konsekwencji za agenta, trzeba przeprowadzić proces przed wysoko kwalifikowanymi, doświadczonymi sędziami. Nawet dla nich uznanie za agenta („kłamcę lustracyjnego”) nie jest proste. Świadczy o tym fakt, że orzeczenia bywają uchylane w postępowaniach odwoławczych. Jest to zrozumiałe dla każdego, kto ma elementarną wiedzę o ustalaniu faktów w procesie.

RÓWNI I RÓWNIJSI

Jednak jeśli nie jest się VIP-em (także sędzią, prokuratorem, adwokatem), można być w Polsce uznanym za agenta również w innym, mocno uproszczonym trybie – bez procesu, bez sądu, bez nadzoru instancyjnego, bez obrońcy. W postępowaniu, w którym nie jest się stroną, nie uczestniczy się w nim, a o jego podjęciu i przebiegu nie jest się nawet poinformowanym.

Sąd Apelacyjny i Sąd Najwyższy zastąpione są tu przez IPN, a praktycznie przez któregoś z jego urzędników. Natomiast brzemiennej w skutki decyzję o ewentualnym upublicznieniu tak ustalonego nazwiska podejmuje sam pokrzywdzony z natury rzeczy nastawiony subiektywnie, a więc nie bezstronny, często pozbawiony kwalifikacji owego urzędnika. Wbrew temu, co we wspomnianym wywiadzie powiedział prof. Kieres, „werdykt” IPN nie podlega żadnej efektywnej kontroli sądowej. Sam fakt istnienia tych dwóch drastycznie różnych procedur stoso-



wanych w zależności od formalnego statusu osoby, której dotyczą, jest dyskryminacją gwałcącą zasady państwa prawa. Równość obywateli wobec prawa jest nie tylko zasadą konstytucyjną, ale jest wartością od dawna powszechnie akceptowaną w cywilizowanym świecie.

Z DECYZJI URZĘDNIKA

Jak wygląda wspomniana procedura przed IPN?

Żałujemy, że Kowalski chce zobaczyć, jakie materiały o nim zgromadziły organy bezpieczeństwa PRL. Występuje więc do IPN ze stosownym wnioskiem.

IPN sprawdza, czy dysponuje materiałami, jakie o Kowalskim zgromadziły organy bezpieczeństwa. Sprawdza też, czy wnioskodawca sam nie służył, nie pracował lub nie współpracował tajnie z takimi organami. Cała procedura sprawdzania jest wewnętrzna i tajna. Jeśli rzeczywiście bezpieka zbierała informacje o Kowalskim, to znaczy, że był on pokrzywdzonym w rozumieniu ustawy i dlatego uzyska wgląd w swe dokumenty. Może nawet dostać ich kopie. Ale może też Kowalski dostać z IPN odpowiedź, że nie jest „pokrzywdzonym w rozumieniu ustawy”. Taka odpowiedź znaczy, że: albo w zasobach IPN brak dokumentów dotyczących Kowalskiego, albo że bezpieka nim się nie interesowała, albo że on sam był funkcjonariuszem, pracownikiem lub współpracownikiem organów bezpieczeństwa.

W tym ostatnim przypadku po jakimś czasie Kowalski dostanie wezwanie do prokuratury i będzie się przeciw niemu toczyć postępowanie karne. Albowiem ktoś, kto próbuje dostać wgląd w swoje materiały, a przez IPN uznany został za agenta, popełnia przestępstwo z art. 54 ust. 3 ustawy o IPN.



Ale założmy, że Kowalski faktycznie nie był agentem, nie został też za takiego błędnie uznany przez IPN (co zdarzyć się mogło, skoro sam profesor Kieres przyznaje, że w pewnej sprawie „to, co naszemu archiwiszcie wydało się zupełnie jednoznaczne [...], mnie już się jednoznaczne nie wydało”).

Kowalski dostał swoją teczkę i są w niej nazwiska konfidentów, którzy na niego donosili. Na jego żądanie należy mu podać ich nazwiska (o ile – jak chce ustawa – „można je jednoznacznie określić”, a jak z tą jednoznacznością być może, właśnie napisaliśmy wyżej). Kowalski dowiaduje się teraz, że agent ps. „Alfa” to Nowak, zaś „Beta” to – powiedzmy – Malinowski. W dodatku IPN nie informuje Kowalskiego, jak doszedł do tych ustaleń. Ustalił i już. Tymczasem Nowak

ani Malinowski nie mają najmniejszego pojęcia, że ktoś bada ich przeszłość, że ustalił, nikomu nie tłumacząc się jak, że to oni kryją się pod tymi pseudonimami. Nikt ich nie poinformował, że bez ich wiedzy i udziału podjęto w ich sprawie ważne dla nich decyzje, że zostali uznani za agentów i jako tacy zostali przedstawieni Kowalskiemu.

BEZ PRAWA DO OBRONY

Jeśli Kowalski nie zdecyduje się opublikować w gazecie informacji o tym, że Nowak to „Alfa”, a Malinowski to „Beta”, tylko poprzestanie na opowiadaniu o tym znajomym (ewentualnie pokazując im przy tym stosowne pismo z IPN), atmosfera wokół Nowaka i Malinowskiego zacznie się zagęszczać. Znajomi zaczną ich omijać, ktoś odmówi podania ręki... Dobrze tak paskudnym kapusiom – chciałoby się powiedzieć. A może, choć wydało się to archiwście IPN takie jednoznaczne, wcale takie jednoznaczne nie było? Może oni wcale kapusiami nie byli?

A jeśli Kowalski opublikuje w prasie informacje o tym, że jego dawni przyjaciele Nowak i Malinowski to agenci „Alfa” i „Beta”? Co mogą zrobić Nowak i Malinowski?

Prof. Kieres mówi, że pokrzywdzony (nasz Kowalski), publikując te informacje, „bierze pełną odpowiedzialność za konsekwencje swojego postępowania, za ewentualne naruszanie dóbr osobistych”. Innymi słowy –

Nowak i Malinowski, jeśli czują się skrzywdzeni, znieśliwieni, mogą wystąpić do sądu.

Niestety, z góry można przewidzieć, że bez względu na to, jaka była prawda – czy Nowak był „Alfą”, a Malinowski „Betą”, czy też nie – każdy taki proces (zarówno cywilny o naruszenie dóbr osobistych, jak i karny o znieśliwienie) przegrają. Wystarczy, że Kowalski powoła się na dostarczony mu przez IPN dokument i powie, że publikując te informacje, działał w dobrej wierze, mając na uwadze interes społeczny. Tak więc Nowak i Malinowski przegrają proces, poniosą jego koszty, nadto w opinii publicznej tym bardziej utrwali się przekonanie, że naprawdę byli agentami.

Jak widać – wbrew twierdzeniom prof. Kieresa – obowiązujące przepisy faktycznie nie dają takim ludziom jakiegokolwiek możliwości obrony. Tymczasem w państwie prawa nikt nie może być pozbawiony prawa do obrony przed działaniami władz publicznych! Nikt nie może być pozbawiony prawa do sądu!



STANDARDY PAŃSTWA PRAWA

Prof. Kieres twierdzi: „Bywa, że decyzje IPN są zaskarżane do sądu. I co? W 95% przypadków są utrzymane w mocy”. Profesorowi chodzi tu zapewne o skargi do sądu administracyjnego. Ale te, po pierwsze, nie mogą dotyczyć kwestii, o których pisaliśmy wyżej, a po drugie, chodzi tu często jedynie o kwestie formalne (np. o przywrócenie terminu).

Tak więc dzisiejsza kontrola sądów administracyjnych nad działalnością IPN nie dotyka istoty rzeczy. Sąd administracyjny nie czyni przecież ustaleń faktycznych, koncentruje się na kwestiach ściśle prawnych.

Konieczna jest więc co najmniej nowelizacja ustawy o IPN, z czym generalnie zgadza się prof. Kieres. Ustawa w obecnym kształcie po prostu obowiązywać nie może, jeśli Polska ma być państwem prawa.

Jako niezbędne minimum uznać trzeba, że osoba, której nazwisko ma być ujawnione pokrzywdzonemu jako nazwisko agenta, musi mieć w tej procedurze status strony. Ma być więc traktowana podmiotowo, a nie przedmiotowo. Zatem przed wydaniem decyzji o podaniu jej nazwiska powinna być o tym fakcie poinformowana, powinna mieć prawo do złożenia swoich wyjaśnień, oświadczeń, dokumentów. Powinna mieć prawo do odwołania, włącznie ze skargą do sądu administracyjnego.

Naszym zdaniem trzeba pójść dalej. Każda osoba podejrzana w świetle „zasobów archiwalnych IPN” o „agenturalność” powinna mieć prawo do poddania się sądowej lustracji według procedury dziś przewidzianej tylko dla wybranych.

Standardy państwa prawa zasługują na poszanowanie. Postępowanie według nich ogranicza liczbę błędnych decyzji krzywdzących ludzi. Należą się one każdemu, nawet agentowi bezpieczeństwa z czasów PRL, a co dopiero temu, kto być może niewinnie został podejrzany.

Omówiliśmy jedynie jeden aspekt sprawy. Wątpliwości, czy w wielu innych kwestiach ustawa o IPN, a w konsekwencji jego działalność nie narusza standardów państwa prawa, można zgłosić o wiele więcej. Część z nich trafnie zasygnalizował Andrzej Romanowski („Gazeta Wyborcza” z 25–26 września 2004). Wszystkie te wątpliwości powinna wyjaśnić dyskusja. Dobrze, że się zaczęła, niedobrze, że emocje i zaciętrzewienie biorą w niej górę.



[„Gazeta Wyborcza”, 16–17.10.2004, nr 244]

Bolszewickie trybunały

Ocena poszczególnego człowieka dokonana publicznie, zwłaszcza negatywna, poprzedzona być musi rzetelnym poznaniem prawdy o nim. Tak postępować powinien każdy przyzwoity człowiek, tak postępować musi organ państwowy. Nasza cywilizacja wypracowała dwa sposoby i dwie metodologie poznawania prawdy o człowieku. Sposoby historyczny i prawniczy. Pierwszy stosowany jest przy poznawaniu prawdy o osobach, które już nie żyją. Drugi zarezerwowany dla poznawania prawdy o osobach żyjących.

Ten drugi sposób musi uwzględniać zasady procesu karnego: ocenianemu przysługuje domniemanie niewinności, każde twierdzenie poparte być musi odpowiednim, akceptowanym przez prawo dowodem, zaś oceniający nie może działać bezprawnie. Inaczej: nie może, dokonując oceny, naruszać prawa, np. ujawniać niezgodnie z prawem podlegających ochronie danych osobowych.

Wypowiedziane oceny podlegają z kolei ocenie prawa karnego i cywilnego.

Ocena człowieka nie może mieć charakteru pomówienia czy zniesławienia, nie może też naruszać dóbr osobistych, takich jak prawo do dobrego imienia. Jeśli ocena, szczególnie negatywna, nie jest zgodnie z rygorami prawa uzasadniona, wypowiadający ją musi liczyć się z tym, że poniesie odpowiedzialność przed sądem. Jeśli historyk ocenia osobę już nieżyjącą, zmarłą przed laty postać historyczną, rygory są zupełnie inne. Postaciom historycznym nie przysługuje domniemanie niewinności, szczegóły ich życia nie stanowią objętych ochroną danych osobowych. Historyk jest w ocenie swobodniejszy niż prawnik. Różbieżność ocen tych samych postaci dokonywanych przez różnych historyków jest czymś naturalnym, a nawet zapewne pożądanym. Inaczej ocenia Józefa Piłsudskiego np. Władysław Pobóg-Malinowski, inaczej zdeklarowany endek Władysław Konopczyński. Dla jednego Piłsudski to bohater narodowy, twórca niepodległego państwa, dla innego – dyktator, wróg demokracji, autor dotąd nie ukaranego wojskowego przewrotu, w przeszłości agent austriackiego

wywiadu. Do rozstrzygnięcia sporu między tymi historykami z całą pewnością nie jest właściwy sąd. Spory takie niezmiennie ożywiają naukowe konferencje czy seminaria.

Historyk opiera się oczywiście na faktach, ale ich interpretacja należy już do niego. Może się kierować swoją intuicją, wyprowadzać wnioski *per analogiam* albo szokować śmiałością swych hipotez. Co by było, gdyby przy ferowaniu wyroków podobną metodologię stosował sąd? Co byśmy powiedzieli, gdyby sędzia, uzasadniając wyrok, powiedział, że dowodów wprowadzić nie ma, ale za to ma śmiałą hipotezę i na jej podstawie wydał właśnie wyrok?

Historyk może bezkarnie – co najwyżej narażając się na krytykę kolegów historyków – głosić, że generał Sikorski był agentem francuskim, a Piłsudski austriackim, bo tak wydedukował z zachowanych i fragmentarycznie dostępnych źródeł, bo to pasuje mu do ogólniejszej koncepcji itp. Wypowiedzenie podobnych twierdzeń o osobach żyjących naraziłoby historyka na proces; jeśli nie potrafiłby przed sądem w formie przez prawo przewidzianej udowodnić swych rewelacji, poniósłby odpowiedzialność prawną.

Te dwie metody pomieszczone zostały przy realizacji „lustracji po polsku”. IPN wydaje zaświadczenia (swoiste wyroki) w oparciu o metodę historyczną. Sąd Lustracyjny posługuje się metodą właściwą sądom, stąd czasem rozbieżność ocen. Sąd twierdzi, że ktoś złożył zgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne, *ergo* nie był agentem. Archiwista IPN o tej samej osobie orzeka coś zgoła przeciwnego. Sąd Lustracyjny orzeka, że Lech Wałęsa nie był agentem, ale IPN nie chciał mu nadać statusu pokrzywdzonego, bo wie swoje. Henryk Karkosza wnosi do Sądu Lustracyjnego o autolustrację, jego koledzy z podziemia w oparciu o materiał dostarczony i zinterpretowany przez IPN wiedzą swoje i zapowiadają, że bez względu na to, co orzeknie Sąd Lustracyjny, oni wiedzą i tak, że Karkosza agentem był.

Pomijam przypadki patologiczne, nacechowane wyraźnie złą wolą, np. ten, w którym podopieczny prof. Gąsowskiego (dawniej samozwańczego, dziś niestety z nadania rektora lustratora Uniwersytetu Jagiellońskiego, tego, co to widzi „strach w oczach kolegów”) po prawomocnym wyroku Sądu Lustracyjnego oczyszczającym z zarzutów prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego najbardziej w świecie pisze, że prezydent okazał się współpracownikiem SB! Aby tej schizofrenii zapobiec, a lustrację sprowadzić znów do ram cywilizowanych, aby zachować powagę i autorytet sądu jakże ważne w państwie prawa, Trybunał Konstytucyjny wydał rozumny wyrok: orzeczenia Sądu Lustracyjnego są wiążące dla IPN! Inaczej mówiąc, o osobach żywych orzekamy zgodnie z paradygmatem prawa, a nie historii! Wyrok Sądu Lustracyjnego zamyka dyskusję, czy ktoś był, czy nie był agentem.

Oczywiście to ze wszech miar słuszne orzeczenie nie podoba się rozmaitym samozwańczym sędziom, co mając obłąd w oczach, chętnie widzieliby strach w oczach kolegów. Stąd pomysły, by likwidować Sąd Lustracyjny, a lustrację powierzyć archiwistom z IPN. Innymi słowy – by znów pomieszać porządku i metodologię. Dlaczego? Dlatego, że Sąd Lustracyjny okazał się po prostu Sądem, podczas gdy niektórzy oczekiwali, że okaże się neobolszewickim trybunałem.



Ta tęsknota do bolszewickiego trybunału jako nieodłącznego atrybutu rewolucji pcha niektórych do ominięcia orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, który okazał się po raz kolejny Konstytucyjnym. Ominięcie to dokonać by się miało poprzez nową ustawę lustracyjną powierzającą historykom wydawanie wyroków. Rewolucjonistom ciasno i duszno jest w ramach państwa prawa. Rewolucji w ramach państwa prawa po prostu robić się nie da, więc albo rewolucja, albo państwo prawa. Albo sądy, albo bolszewickie trybunały. Może jednak warto poświęcić państwo prawa dla rewolucji, które ma przynieść odnowę moralną państwa i narodu? Przypominam, że każda rewolucja zapowiadała odnowę moralną, każda miała uszczęśliwić ludzkość. Proszę więc poważnie zastanowić się nad tym, czy Polsce dziś bardziej potrzebna jest rewolucja (choćby tylko moralna), czy państwo prawa?

Ja opowiadam się za państwem prawa. I być może jestem w mniejszości.

Jak wykazać swą czystość i niewinność

Ostatnio zapanowała moda na lustrację. Uniwersytecka „Solidarność” wymyśliła, aby osoby ubiegające się o wybór na stanowiska rektora i prorektorów złożyły oświadczenia lustracyjne. Już wcześniej postulowano, aby lustracją objąć między innymi kierowników bibliotek i domów kultury. Od członków uniwersyteckiej „Solidarności” nie byli gorsi krakowscy radni z PiS-u. Ci wymyślili, że nie czekając na zmianę ustawy, lustracji mają się poddać prezydent miasta i wszyscy radni.

Zanim ten felieton się ukáže, zapewne w ich ślady pójda również inne środowiska, domagając się lustracji kolejnych grup społecznych i zawodowych. Kto nie chce uchodzić za agenta albo obrońcę agentów (dalibóg nie wiem, co dziś gorsze), wzywa do lustracji i głosi, że tego wymaga czystość moralna, rozliczenie z komunizmem, wierność prawdzie, uczciwość wobec przyszłych pokoleń. Co więcej, że jest to warunek konieczny dla pomyślności Ojczyzny. Przeciwstawić się lustracyjnej pasji nikt nie ma odwagi.

Ton wypowiedzi jest tak przekonujący, tak dramatyczny, że oprzeć się temu nie sposób. Nie będę się więc upierał, poddaję się. Od dziś jestem za lustracją, byle tylko powszechną i dogłębną. Wszystko, co do tej pory na temat lustracji napisałem, odwołuję, a wszystkich Czytelników moich niesłusznych tekstów, których dotąd bałamuciłem, przepraszam. Gotów też jestem ponieść za nie słuszną karę i z góry proszę, aby była surowa.

Od dziś ja również uważam, że przejście lustracji jest warunkiem koniecznym dla uzyskania obywatelstwa IV Rzeczypospolitej. Osoby niezłustrowane powinny dobrowolnie wyemigrować, zanim zostaną skazane na banicję i infamię. Uprzedzam też, że gdy tylko usłyszę, że ktoś szemrze coś przeciw powszechnej lustracji, natychmiast na niego doniosę. Tak, lustrację uważam za warunek konieczny, za konieczny element fundamentu IV RP. Warunek konieczny, ale dalece niewystarczający.

Pomysłne przejście lustracji dać może jedynie gwarancję, że rektor (prorektor, dziekan, radny, kierownik wiejskiej biblioteki *etc.*) nie współpracował przed laty z bezpieką. To naprawdę dużo, ale przecież nie wszystko. Nie chcemy wiedzieć, czy rektor (prorektor, dziekan, radny, kierownik biblioteki *etc.*) czegoś przypadkiem w przeszłości nie ukradł? Czy nie molestował seksualnie pracownik (pracowników), nie skalał się mobbingiem? A dla przejrzystości naszego życia społecznego i zawodowego nie powinniśmy wiedzieć, czy nie bił żony, nie znęcał się nad dziećmi? Czy żyje w związku sakramentalnym i nie cudzołożył lub nie cudzołożył, boć to pozwala wnioskować o jego uczciwości nie tylko małżeńskiej, ale i w ogóle? Jeśli ktoś w przeszłości zdradził żonę, to gdzie pewność, że w przyszłości nie zdradzi swoich wyborców? To naprawdę nie jest obojętne! A czy jego popęd seksualny jest prawidłowy i prawidłowo zaspokajany? Bo jeśli nie, może to być przyczyną szantażu. A czy jest do pomyślenia, aby uczelnią (a tym bardziej miastem lub wiejską biblioteką) rządził ktoś, kto jest szantażowany?

Kwestii do sprawdzenia jest o wiele więcej, wymieniam tylko pierwsze z brzegu. Pełna lista tych problemów będzie powstawała w najbliższych tygodniach i jestem przekonany, że wielu prawdziwych patriotów, nieobojętnych na los Ojczyzny, włączy się twórczo w jej uzupełnienie.

Sprawdzenie interesujących nas zdarzeń i przymiotów jest oczywiście trudne, i na razie wykonalne podobnie jak autolustracja. Skoro jednak kandydaci na uczelniane stanowiska mają wypełniać oświadczenia lustracyjne, których Sąd Lustracyjny i tak rozpatrywać nie będzie, bo na to ani przepisy mu nie pozwalają, ani nie jest w stanie tego zrobić w ciągu najbliższych kilkunastu lat (przypominam: w ciągu 6 lat rozpoznać zdołał zaledwie 85 spraw), równie dobrze mogą wystąpić do policji z wnioskiem o przeprowadzenie u nich w domu rewizji. Jak mówi babina w *Policji* Mrożka: „po rewizji to zawsze człowiekowi lżej i lojalniej, a bez rewizji w domu, to zawsze nijako”.

Może ewentualnie taki kandydat złożyć do IPN wniosek z zapytaniem, czy nie został przez PRL uszkodzony (jak np. Maciej Giertych, prof. Bender lub chociażby Jakub Berman). A jeśli okaże się, że nie jest, to nadal nie będzie wiadomo, czy to dobrze, czy źle. A jeśli jest – to czy to na pewno zawsze dobrze? Jednak na większość interesujących nas pytań niestety na razie odpowiedzi nie uzyskamy. Trzeba bowiem pamiętać, że świadomie zaprogramowana przy okrągłym stole (a zwłaszcza w Magdalence) niewydolność sądów i urzędów III RP oraz zdradziecko, z myślą o ochronie agentów i komuchów, napisane liberalne prawa na to póki co nie pozwalają.

Nie wątpię jednak, że gdy władzę obejmie PiS i PO (zapewne w koalicji z LPR), stosowne przepisy zostaną zmienione. Powołane zostaną też właściwe urzędy. Sądy powszechne zostaną wreszcie przekształcone w sądy lustracyjne.

obyczajowe. Wśród wielu nowych urzędów do pilnowania kwestii szczegółowych (takich jak „prokurator nadzwyczajny do strzeżenia godności godła na mundurowych guzikach”), zostanie też utworzony superurząd, który zdoła zebrać o każdym wszystkie niezbędne informacje i twórczo, w obronie bezpieczeństwa państwa oraz panującego w nim moralnego ładu, je wykorzystać. Wymienia się różne propozycje nazwy tego urzędu. Ja też mam propozycję. Z uwagi na zakres zadań, powinien się po prostu nazywać „Urząd Bezpieczeństwa”.

Ponieważ jednak wciąż mamy nieszczęsną III RP z jej liberalnymi prawami, z sądami, które zawracają sobie głowę domniemaniem niewinności i innymi takimi drobiazgami jak szukanie dowodów, a są sprawy – np. wybór rektora – niecierpiące zwłoki, trzeba sobie jakoś radzić w tych warunkach perfidnie stworzonych nam przez Michnika i Mazowieckiego, a nawet Wałęsę, pijącymi wódkę z Kiszczakiem i Jaruzelskim przy zdradzieckim okrągłym stole.



Ponieważ Sąd Lustracyjny nie zechce zajmować się oświadczeniami lustracyjnymi kandydata na rektora (prorektora, kierownika biblioteki *etc.*), a policja też pozostanie zapewne głucha na prośbę o przeprowadzenie rewizji, jak zawsze w trudnych chwilach trzeba się zwrócić o pomoc do Kościoła. Kandydaci na wymienione stanowiska, nieobjęci dotąd z urzędu lustracją, powinni przedstawić zaświadczenie ze spowiedzi od swego proboszcza. Lista grzechów wprawdzie nadal – niestety – pozostanie niejawna, ale przynajmniej będzie domniemanie, że kandydat na stanowisko za owe grzechy żałował i – co nie jest bez znaczenia – ma uregulowane relacje z parafią. Choć tyle. Resztę się załatwi po wyborach.

[„Kraków” 2005, nr 3]

Polska jako „dom Wielkiego Brata”?

Ostatnio modne się stało mówienie o prawie do informacji, które uzasadniać ma rzekomo konieczność pełnego otwarcia archiwów IPN. Bredzą na ten temat politycy, bredzą dziennikarze. Biada temu, kto mówi, że powszechne prawo do informacji ulegać musi rozmaitym ograniczeniom, bez których inne prawa człowieka i konstytucyjne zasady nie mogłyby być zrealizowane. Taki obrońca tajemnic natychmiast okrzyknięty bywa wrogiem prawdy, podejrzanym obrońcą ubeckich tajemnic, zwolennikiem totalitarnych (najlepiej komunistycznych) metod rządzenia.

Tymczasem każde państwo ma swoje tajemnice, których pilnie strzeże. Tajemnicą objęte są na przykład informacje dotyczące szczegółów struktury, organizacji i funkcjonowania systemu kierowania państwem oraz dowodzenia siłami zbrojnymi w czasie zagrożenia państwa lub wojny, szczegółowa struktura sił zbrojnych, organizacja funkcjonowania systemów łączności kierowania państwem i dowodzenia siłami zbrojnymi, zadania sił zbrojnych i związków operacyjnych na wypadek wojny. Tajemnicą objęte są szczegółowe informacje dotyczące organizacji, form pracy operacyjnej, a także kierunków tej pracy i zainteresowań wywiadu, kontrwywiadu, policji i innych służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo tak państwa, jak i jego mieszkańców. Tajemnicą objęte są dane pozwalające na identyfikację funkcjonariuszy realizujących działania operacyjne oraz osób tajnie z nimi współpracujących. Tajemnicą objęte są informacje przekazane Polsce przez sojuszników, jeśli sojusznicy traktują je jako tajne. Tego typu informacje są z reguły objęte najwyższym stopniem tajności. Załącznik do ustawy o ochronie informacji niejawnych zawiera wykaz 28 zakresów przedmiotowych, w których informacje określane są jako „ściśle tajne” i dalszych 59 zakresów, z których informacje są tajne.

Ochrona tych tajemnic należy do najważniejszych zadań państwa i jego wyspecjalizowanych organów. Ujawnienie takich tajemnic jest przestępstwem. Ich zdobywanie jest zadaniem obcych służb wywiadowczych.

Istnienie tajemnicy państwowej stanowi niewątpliwie ograniczenie prawa do informacji. Ciekawość Kowalskiego dotycząca aktualnych działań polskiego wywiadu w Iraku nie zostanie więc zaspokojona. Podobnie jak ciekawość Nowaka, który chciałby wiedzieć, kto dziś współpracuje z CBŚ. Ale oprócz tajemnicy państwowej istnieje wcale szeroka sfera rozmaitych tajemnic zawodowych. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie w imię prawa do prawdy i informacji domagał się od księdza ujawnienia tajemnicy spowiedzi.

Prawo do prawdy i informacji ulega ograniczeniu przez istnienie tajemnicy lekarskiej. W imię prawa do prawdy i informacji nie można domagać się od lekarza, aby ujawnił, czy sąsiad albo nawet osoba publiczna, jak poseł, ma hemoroidy, czy ich nie ma. Jest jeszcze tajemnica adwokacka, dziennikarska, handlowa, bankowa i wiele, wiele innych.

Wszystkie one w istotny sposób ograniczają prawo do prawdy, do informacji. Ale bez nich nie mogłoby funkcjonować ani państwo, ani społeczeństwo. Prawo dostępu do informacji ograniczone jest także przez chronioną prawem tajemnicę korespondencji, przez nasze prawo do intymności życia prywatnego i rodzinnego.



Państwo, które nie strzegłoby swoich tajemnic, nie byłoby zdolne do zapewnienia swoim obywatelom ich najbardziej podstawowych praw: prawa do życia, bezpieczeństwa, do wszechstronnego rozwoju. Czy chcielibyśmy żyć w państwie, w którym dziennikarz w imię prawa do informacji mógłby czytać naszą korespondencję, zaglądać do naszej sypialni i informować o swych spostrzeżeniach społeczeństwo? Albo miałby prawo na pierwszej stronie wysokonakładowego tabloidu referować, co oskarżony powiedział swemu obrońcy?

Czy chcielibyśmy żyć w państwie, w którym przed speckomisją ds. prawdy każdy miałby obowiązek (w imię prawdy i powszechnego dostępu do informacji) pod groźbą kary zeznać, z kim spał, co szeptał swojej dziewczynie do ucha, o czym rozmawiał z przyjacielem? Ile pieniędzy odłożył w banku, a ile ma w szufladce?

Z prawem do informacji jest tak, jak z prawem do wolności. Można z nich korzystać o tyle, o ile nie naruszy to praw innego człowieka. Jeśli przyjąć, że zasadą jest dostęp do informacji, to prawo bardzo słusznie przewiduje od niego wyjątki i wskazuje obszary, których ono nie dotyczy. Przewiduje też sytuacje i określa procedury odstępowania od tych wyjątków. Mówi kiedy, w jakiej sytuacji można informacje objęte tajemnicą odtajnić, kto ma do tego prawo i jaka procedura ma być przy tym zastosowana.

Rozochoceni tym, że w swoich teczkach „pokrzywdzonych” nie znaleźli niczego kompromitującego o sobie, niektórzy politycy wzywają innych do okazania i upublicznienia swoich teczek, ba, do pełnego otwarcia archiwów IPN. Oczywiście w imię prawdy i prawa do informacji. Spokojnie, panowie. To, że nic złego o sobie nie znaleźliście w swoich teczkach, nie znaczy, że w teczkach innych osób nie będzie nic o was. O waszych słabościach, preferencjach seksualnych, czynach nie zawsze szlachetnych. Obojętne, czy wszystko to będzie prawdą, czy kłamstwem, czy tylko półprawdą. Wystarczy, że tak ktoś o was powiedział, że uchoł usłyszał, a ubek zapisał.

Nie wytłumaczcie się z tego nigdy. Jak będziecie udowadniać, że to nieprawda albo nie całkiem prawda? Będziecie dawać oświadczenia do prasy? Kto wam uwierzy? Pójdziecie z tym do sądu? Jak będziecie dowodzić, że to, co o was napisano przed kilkunastu czy kilkudziesięciu laty, to nieprawda? Jaki sąd i w jakim czasie to rozpatrzy? Przy szerokim otwarciu archiwów ludzi w takiej sytuacji jak wy będą tysiące. Przypominam: Sąd Lustracyjny w ciągu 5 lat prawomocnie zakończył tylko 83 sprawy.

Niektórzy politycy powiadają, że godzą się jednak wspinałomyślnie, aby cenzurować jedynie kwestie obyczajowe. Kto miałby władzę cenzurowania? Kto miałby ocenzurować kilkadziesiąt kilometrów akt dawnej bezpieki? Kto zapewniłby, że cenzorzy będą dyskretni i żadne kompromitujące ciekawostki obyczajowe nie przenikną do mediów, nie zostaną wykorzystane przy szantażu, do bieżącej rozgrywki politycznej? Jaki czas byłby na to potrzebny? To ocenzurowanie byłoby wszak konieczne przed otwarciem archiwów. To za ile lat chcecie to archiwum otworzyć – 50, 100? Jeśli tak, to szkoda pracy pokoleń cenzorów. Lepiej już nic nie wymyślajcie, poprzestańcie na 50-letniej karencji dla tych akt, a potem, już bez cenzurowania, wszystko niech będzie jawne. Tak się robi w cywilizowanych krajach. Postuluję to od dawna. Nie chcecie mnie jednak słuchać. No to grzebcie dalej w tym szambie. Nie dziwcie się tylko, że sami będziecie cuchnąć.

[„Kraków” 2005, nr 8]

Infamia

Dawne prawo polskie znało taką karę. Polegała ona na urzędowym pozbawieniu czci. Wymierzały ją sądy. Było to na całe wieki przed tym, zanim Monteskiusz wymyślił trójpodział władz, nie było też jeszcze konstytucji, która stanowiłaby, że wymiar sprawiedliwości należy do sądów.

Dziś o podziale władz i niezależności władzy sądowniczej uczy się już dzieci w szkole, zaś to, że wymiar sprawiedliwości należy do sądów i tylko one mogą wymierzać kary, jest zasadą konstytucyjną. Jednak na infamię w Polsce skazuje nie żaden sąd, a Instytut Pamięci Narodowej. W dodatku nie na rozprawie, a na konferencji prasowej. Ostatnio na infamię skazany został o. Konrad Hejmo. Zachwycone sensacją media – wreszcie coś się dzieje, bo po śmierci Ojca Świętego przez dwa tygodnie było tak jakoś zgodnie i w sumie nudno – prześcigały się w nadawaniu nieszczęsnemu zakonnikowi epitetów, z których „szpieg” był chyba najłagodniejszy. „Judaszem” zatytułował go na pierwszej stronie „Fakt”. Nie wiem, czy o. Hejmo był agentem bezpieki (ściślej: „kontaktem operacyjnym” komunistycznego wywiadu), czy nie był. Wiem jedno: ani prof. Kieres, ani cały jego Instytut nie miały prawa ogłaszać swych rewelacji publicznie. Instytut jest wszak organem państwowym, a prof. Kieres jest funkcjonariuszem publicznym. Obywatel może czynić wszystko, czego prawo wyraźnie mu nie zabrania. Organ państwowy, podobnie jak państwowy funkcjonariusz mogą czynić to i tylko to, co ustawa im nakazuje i na co wyraźnie im zezwala. Jest to fundamentalna zasada praworządności. Ustawa o IPN wyraźnie stanowi, w jakim trybie i komu Instytut może udostępniać informacje o tajnych współpracownikach organów bezpieczeństwa PRL. Otóż może je udostępniać osobom pokrzywdzonym (po uprzednim przyznaniu im tego statusu), instytucjom i organom państwowym w celu ścigania przestępstw określonych w ustawie o IPN. Może wreszcie udostępnić je w celach naukowych lub publicystycznych. Żaden przepis prawa nie upoważnia Instytutu (ani jego prezesa) do ujawn-

niania i upubliczniania nazwisk agentów, z urzędu, nie konkretnemu adresatowi, ale za pośrednictwem mediów, od razu całemu społeczeństwu. Powoływanie się w tym względzie przez prof. Kieresa na przepis art. 22. ustawy o IPN jest nietrafne, bowiem przepis ten pozwoliłby mu na ujawnienie nazwiska agenta tylko w sytuacji, gdy „zachowanie tajemnicy uniemożliwiłoby wykonanie wskazanych w ustawie zadań Instytutu”. W oparciu o ten przepis prezes IPN może przekazywać takie informacje np. Sądowi Lustracyjnemu, ale nie mediom! Poza tym o. Hejmo nie zajmuje żadnego stanowiska, które podlega lustracji ani – o ile wiem – o takie stanowisko się nie ubiegał. Kolegium Instytutu też nie miało uprawnień do upoważniania prezesa Kieresa do ujawniania nazwiska o. Hejmy jako agenta „Hejnał” i „Dominik”. Kompetencje Kolegium określa ustawa. Należą do nich: wnioskowanie (w przypadkach określonych w ustawie) o odwołanie prezesa, zatwierdzanie rocznych informacji prezesa z działalności Instytutu oraz „zajmowanie stanowiska” w takich sprawach jak: ustalanie zasad archiwizacji dokumentów, zasad wglądu w dokumenty oraz zasad ich publikowania, priorytetów w sprawach wniosków poszczególnych osób o udostępnienie materiałów, ocenianie polityki ścigania przestępstw przez pion śledczy, ustalanie programów badawczych itp. Żaden przepis prawa nie upoważnia Kolegium do podejmowania uchwał w kwestii, czy ogłosić, że ktoś był agentem, czy nie był. Obwieszczając *urbi et orbi*, że o. Hejmo to agent ps. „Hejnał” i ps. „Dominik” zarówno prezes Kieres, jak i kolegium IPN działali bezprawnie i przekroczyli swe uprawnienia.

Sprawa jest tym bardziej delikatna, że o. Hejmo wedle IPN działał poza granicami Polski. Za taką działalność w Polsce o. Hejmo grozi infamia, za granicą, jako szpiegowi obcego państwa – kryminal! Czy państwo polskie, które z zasady nie wydaje swoich obywateli sądom obcych państw, może narażać swego obywatela na obcy kryminal? Czy ktoś w ogóle o tym pomyślał?

Kolejną sprawą jest styl tego bezprawnego działania. Najpierw pracownicy IPN rozpowszechnili zaiste rewelacyjną wiadomość, że w najbliższym otoczeniu Ojca Świętego jeszcze w krakowskich czasach znajdowali się agenci PRL-owskich służb specjalnych. Sam ten fakt nie powinien być jednak stanowić dla nikogo zaskoczenia. Z publikacji książkowych ukazujących się od początku lat 90. można było się dowiedzieć, że każdy (dosłownie każdy!) ksiądz objęty był w PRL inwigilacją, zakładano mu „teczkę ewidencji operacyjnej na księdza”, w której m.in. znajdował się „wykaz tajnych współpracowników i kontaktów obywatelskich posiadających dotarcie do figuranta”. Skoro agentami otaczano każdego wikarego, oczywiste było, że tym bardziej czyniono to w stosunku do biskupa czy kardynała.

To, że Watykanem interesowały się (i interesują!) służby wywiadowcze wielu państw, jest chyba też oczywiste dla każdego, co potwierdza tylko wagę roli,

jaką Stolica Apostolska odgrywa w polityce światowej, jaki ma wpływ na postępowanie rządów, na opinię publiczną na świecie.

To, że szczególnie Watykanem interesowały się służby wywiadowcze państw komunistycznych, jest również oczywiste. Nie tylko próbowały zbierać informacje, ale także wpływać na decyzje, prowadzić „działania dezintegracyjne”, też było wiadome od dawna. Takie działania na podstawie spisanych porozumień podejmowane były często wspólnie przez służby wszystkich komunistycznych państw, z KGB na czele. Nachalne przypominanie tych od dawna wiadomych faktów akurat tuż po śmierci Ojca Świętego było – najdelikatniej mówiąc – nietaktem, i niestety również głupotą.



Pracownicy IPN z prezesem na czele zachowywali się jak dzieci, które posiadły jakąś tajemnicę, nie mogą wytrzymać, aby jej komuś nie wygadać. Zaczyna więc od „wiem, ale nie mogę powiedzieć”. Potem dodaje jakieś szczegóły. Dowiadujemy się więc, że są jakieś nagrania, a na nich „rozpoznawalny głos”. Zaczynają się więc spekulacje: głos rozpoznawalny, duchownego z Krakowa (mowa była początkowo o krakowskim otoczeniu kardynała Wojtyły), to może to będzie głos księdza A.? No nie, chyba Kieres nie zna głosu księdza A., to może to głos księdza profesora B.? Czyje głosy, do cholery, zna prof. Kieres? A może on słyszy jakieś głosy, bo coś ostatnio ma taki rozbiegany wzrok! To może chodzi o głos księdza redaktora D. – on często występuje w mediach? A może biskupa E., a może arcybiskupa F. – on z nim rozmawiał, chyba zna jego głos!

Podwładni prof. Kieresa też nie chcą być gorsi. A już szczególnie jeden. Opinia publiczna dostaje nowe sygnały: 15% duchownych współpracowało z bezpieką! Ale tylko w archidiecezji krakowskiej, bo w śląskiej, koszalińskiej i przemyskiej nawet trochę więcej! Rusza kolejna fala spekulacji. O Boże, czy mój proboszcz to agent? A jeśli nie proboszcz, to już na pewno wikary! A co sądzić o siostrze zakonnej, ona jakaś taka podejrzenie zamknięta w sobie!

Wszyscy duchowni są podejrzani, wszyscy jesteśmy podejrzani! Na razie infamią objęty jest o. Hejmo. Zanim jego nazwisko zostało ujawnione, zgnojo- no ks. Malińskiego, rozsiewając pogłoski, że to może chodzić o niego. Gdy był już całkowicie stłamszony, prof. Kieres „złustrował go pozytywnie”, jak swego czasu prof. Friszke złustrował prof. Staniszkis (w oparciu o jaką podstawę prawną panowie profesorowie wydajecie te świadectwa moralności?), w 10 minut po zakończonym programie telewizyjnym, w którym obaj występowali, wydając oświadczenie, że ks. Maliński nie jest tym agentem, o którego mu chodzi, o którym mówi, a nie może, ale powie albo nie powie... A tu już podwładni prof. Kieresa puścili następny sygnał: niech ks. Maliński taki pewny swego nie będzie, po co rozmawiał z bezpieką? Prof. Kieres – Hamlet IPN – ma wyraz cierpienia na twarzy. Tymczasem jego Instytut nadaje kolejne sygnały: o. Hejmo to nie wszystko! Będą dalsze odsłony tragicomedii. Dr L. pisze książkę, tam dopiero będzie! Prof. G. powołał zespół do zbadania agentów w środowisku uniwersyteckim. Oczywiście na podstawie materiału z IPN. Dobrał do zespołu – bardzo słusznie zresztą – znanego etnografa (choć jako etnograf to on raczej nieznan). Zrobiła się awantura. Etnograf został z zespołu wycofany, a szkoda. Niechby – jeśli potrafi – opisał fachowo lustracyjne gry i zabawy ludu polskiego.

Można sobie żartować, ale sytuacja wcale nie jest do śmiechu. Już nie tylko politycy i ich komisje śledcze, ale organy państwowe z profesorem prawa na czele udowadniają, że za nic mają prawo, zasady demokratycznego państwa, prawa człowieka, że najbliższa jest im sprawiedliwość ludowego trybunału nieoglądającego się na prawo i procedury, realizującego zasadę *salus revolutiae suprema lex*. Przypominam, że takie pojmowanie sprawiedliwości wydało zarówno bolszewickie trybunały, jak i prawo linczu.

Na koniec mam może naiwne pytanie do mojego krakowskiego kolegi, profesora Andrzeja Zolla – Rzecznika Praw Obywatelskich. Andrzej! Gdzie jesteś? Czy nie widzisz tego wszystkiego? Być może nic na to nie poradzimy, ale przynajmniej głośno powiedzmy razem: jesteśmy przeciw! Może to do nas, nie do lustratorów adresowane było papieskie: „Nie lękajcie się!”?

[„Kraków” 2005, nr 5]

Lustracja po polsku – kolejna odsłona

Było kilka możliwości. Można było lustracji w ogóle nie robić, pozostałe po PRL akta безпеki i innych podobnych organów, które traciły znaczenie dla służb specjalnych niepodległej Polski, systematycznie przekazywać do Archiwum Akt Nowych i tam systematycznie odtajniać po upływie 50-letniej karencji. Tym sposobem, dla wszystkich chcących korzystać z Archiwum, bez względu na to, czy są historykami, czy tylko historyków udają, dostępne dziś byłyby wszystkie akta Informacji Wojskowej, Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i ich terenowych organów z lat 1944–1956. Z każdym rokiem odtajniano by następny, kolejny rocznik akt. Tak się robi na całym cywilizowanym świecie, z tym że okresy karencji bywają z reguły nieco dłuższe.

Od takiej zasady można było przyjąć wyjątek: można było uznać, że konieczna jest lustracja osób ubiegających się o najwyższe stanowiska w państwie. Taka ograniczona lustracja też była możliwa. Lepiej czy gorzej gwarantowała ją ustawa lustracyjna z 1997 roku. Kazała ona osobom ubiegającym się o najwyższe stanowiska w państwie (prezydenta, premiera, ministrów, wiceministrów, wojewodów, posłów, senatorów, a także dyrektorów generalnych w urzędach centralnych i wojewódzkich), osobom pełniącym kierownicze funkcje w mediach publicznych, a nadto sędziom, prokuratorom i adwokatom złożyć tzw. oświadczenia lustracyjne.

W oświadczeniach tych osoby podlegające lustracji miały podać, czy służyły (pracowały) lub tajnie współpracowały z organami bezpieczeństwa PRL. Jeśli fakt służby lub współpracy ujawniły, ich nazwisko publikowane było w „Monitorze Polskim” wraz ze stosowną adnotacją czynioną przy ich nazwisku na listach wyborczych, jeśli kandydowali do sejmu czy senatu. Sam fakt służby czy współpracy, jeśli została w oświadczeniu lustracyjnym ujawniona, nie pociągał za sobą żadnych negatywnych konsekwencji, poza tym że informowana o tym była opinia publiczna, a więc potencjalni wyborcy czy osoby, w gestii których leżało powołanie danej osoby na stanowisko.

Prawdziwość oświadczenia badał rzecznik interesu publicznego („prokurator lustracyjny”) mający z mocy ustawy dostęp do wszelkich archiwów. Gdy rzecznik uznał, że zachodzi uzasadnione podejrzenie, iż oświadczenie lustracyjne jest fałszywe, czyli składający zataił fakt służby lub tajnej współpracy, kierował sprawę do Sądu Lustracyjnego. Sąd wyznaczał rozprawę, przesłuchiwał osobę lustrowaną, świadków, materiał aktowy konfrontował z treścią zeznań, w razie potrzeby zarządzał ekspertyzy. Trzeba dodać, że rzecznikami interesu publicznego byli doświadczeni sędziowie karni. Sąd Lustracyjny jest wydziałem Sądu Apelacyjnego w Warszawie, zatem sprawy rozpoznawane są przez doświadczonych sędziów apelacyjnych orzekających w składach trzyosobowych. Lustrowanemu w sądzie przysługują te same prawa, jakie przysługują oskarżonym w procesie karnym, w szczególności prawo do obrony (także do posiadania obrońcy), służy im też domniemanie niewinności, zatem ciężar udowodnienia „kłamstwa lustracyjnego” spoczywa na rzeczniku interesu publicznego. Prawomocne orzeczenie przez sąd kłamstwa lustracyjnego powoduje zakaz pełnienia funkcji publicznych przez 10 lat. Sąd Lustracyjny przez kilka lat swojej działalności rozpoznał prawomocnie niespełna 100 spraw, w tym co najmniej kilkanaście osób oczyścił z zarzutu „kłamstwa lustracyjnego, *ergo* z zarzutu tajnej współpracy z organami bezpieczeństwa.

Wejście w życie ustawy o IPN (ustawy prawniczo fatalnej!) zapoczątkowało lustrację powszechną. IPN, udostępniając osobom pokrzywdzonym w rozumieniu tej ustawy dotyczące ich materiały, informował je także o osobach tajnych współpracowników przewijających się w ich materiałach. Informował zatem o ustaleniach, których dokonał nie sąd, ale archiwiści IPN. Mało tego, obok osób pokrzywdzonych wgląd w zgromadzone w IPN dokumenty byłej SB uzyskują też badacze realizujący rozmaite programy badawcze. Nie zawsze są to nawet historycy. Wystarczy przypomnieć ogólnie znane przypadki, gdy badań takich dokonywali etnograf, ksiądz czy inżynier. Osoby te na podstawie udostępnionych im w IPN dokumentów dokonują na własną rękę swoich ustaleń, kto był, a kto nie był TW (tajnym współpracownikiem), kto pod jakim pseudonimem się kryje.

Ustalenia te nie zawsze są prawdziwe, zawsze dokonywane w sposób dalece odbiegający od standardów przyjętych przez sąd. Dość powiedzieć, że wiedzy z nie zawsze jednoznacznych dokumentów nikt z badaczy nie konfrontuje z informacjami od samych zainteresowanych, od świadków, nikt nie zarządza ekspertyz, nie przeprowadza innych jeszcze dowodów. Co więcej, „badacze” nie zawsze posiadają odpowiednią wiedzę o procedurach obowiązujących w SB, a zwłaszcza o praktyce funkcjonowania tej formacji i jej funkcjonariuszy. Nie są więc przygotowani do krytycznej analizy wytworzonych przez SB dokumentów.

Mimo to publikują swe „odkrycia”, skazując na infamię rozmaite osoby, które czasem rzeczywiście były kapusiami, ale czasem nimi nie były!

„Zdemaskowany” w takich badaniach jako TW „Grudzień” był działacz „Solidarności” z Nowego Targu, a później wojewoda nowosądecki Wiktor Sowa właśnie został oczyszczony przez Sąd Lustracyjny z zarzutu „kłamstwa lustracyjnego”, a tym samym z zarzutu tajnej współpracy z SB. Zanim zapadł wyrok w Sądzie Lustracyjnym, kilka gazet napisało, że był wojewoda był kapusiem (jedna szczególnie „zasłużona” w lustrowaniu gazeta uczyniła to nawet na pierwszej stronie). Pan Sowa jednak miał szczęście. Jako byłemu wojewodzie przysługiwało prawo do „autolustracji”. Gdyby inż. Sowa nie został swego czasu wojewodą, nie miałby żadnych możliwości obrony. Zostałby TW „Grudniem” do końca życia!

O tym, że fatalna ustawa o IPN (i jeszcze gorsza praktyka samego Instytutu!) zaczyna lustrację powszechną, dziką, nie do opanowania i nie do weryfikacji ostrzegano od samego początku. Głosy krytyków zostały szybko zakrzyczane. Przeciw rzeczowym argumentom głoszone hasła demagogiczne: o prawie do prawdy, o dostępie do informacji. Tak jakby krytycy nie ostrzegali, że uruchomiona procedura wcale prawdy nie odsłoni, a wylany z archiwów SB strumień informacji nie będzie możliwy do zweryfikowania, że skrzywdzi się w ten sposób wielu niewinnych ludzi.

Demagodzy wygrali. Krytyków nie wsparł nikt. Nawet jeden z najinteligentniejszych hierarchów Kościoła, dziś protestujący przeciw „dzikiej lustracji”, wtedy doznawał bólu z powodu ataków na IPN. Tymczasem była „lista Wildsteina”, lustracja o. Hejmy (dokonana przez IPN), pomówienie Andrzeja Przewoźnika (oczyszczonego przez Sąd Lustracyjny), lustracja ks. Czajkowskiego, ks. Malińskiego, rozpowszechniane pomówienia dotyczące innych znanych krakowskich księży. Wszystko to odbywa się w majestacie prawa! Ten „majestat” reprezentuje ustawa o IPN. To ona pozwala na dziką lustrację, co więcej, ona ją kreuje bronią swego czasu przez tych samych, którzy dziś tak oburzają się na dziką lustrację.

Będzie jeszcze gorzej. Opracowywana w Sejmie nowa ustawa o IPN – przy pełnej zgodności posłów PiS-u i PO – przewiduje likwidację urzędu Rzecznika Interesu Publicznego i Sądu Lustracyjnego. Odtąd lustrować będzie już tylko IPN! Będzie za to lustracja powszechna. Obejmie co najmniej 100 000 osób. Całą resztę będą sobie lustrować „badacze”.



A U T O L U S T R A C J A

Niezadowoleni z lustracji dokonanej przez IPN (lub przez „badaczy” dopuszczonych do archiwów przez IPN) mogą wystąpić do sądu cywilnego z powództwem o ochronę dóbr osobistych. Ta forma sądowej kontroli nad „orzeczeniami” IPN (i rozmaitych prywatnych „badaczy”) będzie czystą fikcją, procedura cywilna będzie bowiem zupełnie nieskuteczna z kilku powodów. Przede wszystkim w procesie cywilnym nie ma czegoś takiego jak „domniemanie niewinności”, ciężar dowodu spoczywać będzie nie jak w Sądzie Lustracyjnym na rzeczniku interesu publicznego, ale na tym, który wystąpi z pozwem. Innymi słowy, pomówiony o tajną współpracę będzie musiał sam udowodnić, że nie był tajnym współpracownikiem. Będzie musiał to zrobić, zgłaszając wnioski dowodowe, a nie wiedząc, na podstawie jakiego materiału został przez IPN (lub „badaczy”) uznany za kapusia. Będzie musiał wykazać „bezprawność działania” IPN. Jak ma to zrobić? Pomijam już fakt, że na prawomocne zakończenie sprawy cywilnej przed sądem czeka się w Polsce kilka lat. Nie liczyłbym na to, że może Sejm jeszcze się opamięta. Jeśli nie cały (tego chyba nikt nie oczekuje), może opamiętają się chociaż posłowie Platformy Obywatelskiej? Może ta ustawa nie zostanie uchwalona w tym kształcie? Nawet Episkopat zdecydował się zabrać głos, ale obawiam się, że o wiele za późno.

Być może ostatnią deską ratunku będzie Trybunał Konstytucyjny. Mam nadzieję, że nawet w „odnowionym” przez PiS składzie pozostanie wierny elementarnym zasadom państwa prawa i stwierdzi niekonstytucyjność takiej ustawy.

Niepamięć i beztroška*

Wytyczne SB pozwalały, by to oficer bezpieczeństwa decydował, czy spotykający się z nim ksiądz jest tajnym współpracownikiem, czy nie. Może więc być tak, że stwierdzenie księdza podejrzanego o współpracę z SB, iż nigdy nie był TW, nie pozostaje w sprzeczności z faktem zarejestrowania go. Swobodne rozmowy trafiały do akt jako raporty. To dlatego w Kościele funkcjonowało wyraźne zarządzenie, by każdy kontakt księdza z bezpieczeńką zgłaszać przełożonym.

W komunikacie Kurii Metropolitalnej w Krakowie z 30 maja 2006 czytamy: „Zapowiedź opublikowania listy nazwisk kapłanów podejrzanych o współpracę ze Służbami Bezpieczeństwa PRL budzi poważne zastrzeżenia natury moralnej [...]. Taka lista może być sporządzona tylko na podstawie dokładnych badań całej sprawy, a nie w oparciu o jednostronne notatki pracowników Służb Bezpieczeństwa”.

Samo ujawnienie i udostępnienie akt nie rozwiązuje problemu w dostateczny sposób.

Nie tylko dlatego, iż niekiedy oficerowie operacyjni SB dla własnych celów wprowadzali przełożonych w błąd, ale przede wszystkim dlatego, że akta Służby Bezpieczeństwa bywają ze swej natury niejednoznaczne, a zatem można je rozbieżnie interpretować. Wytwarzano je przecież w myśl ustalonych przez kierownictwo reguł odzwierciedlających stosowaną w danym okresie taktykę wobec osób inwigilowanych lub pozyskiwanych do współpracy. Akt bezpieki



* Tekst napisany wraz z Krzysztofem Kozłowskim.

Polemikę na tekst *Niepamięć i beztroška* napisali Wojciech Frazik i Filip Musiał (*Wybiórcza pamięć i przedziwna troška*, „Tygodnik Powszechny”, 25.06.2006, nr 26). Odpowiedzieliśmy na nią tekstem *Esbecy zawsze, esbecy nigdy*.

nie można traktować jako fotograficznego, wiernego odzwierciedlenia rzeczywistości. Znajomość zasad pozwala spojrzeć w jaśniejszym świetle na to, jak ludzie Kościoła, co do których pojawiają się podejrzenia, niekiedy rozumieli i rozumieją do dziś swą sytuację, a ściślej – sytuację, w jakiej bywali przez bezpiekę stawiani. I że Kościół był przede wszystkim ofiarą reżimu.

„OFENSYWNA PRACA OPERACYJNA”

Inwigilację Kościoła zajmował się Departament IV MSW i jego terenowe agendy – wydziały czwarte Komend Wojewódzkich MO (od 1983 roku: Wojewódzkich Urzędów Spraw Wewnętrznych). W latach 80. zadania pionu IV określało zarządzenie ministra spraw wewnętrznych nr 0067/84 (tajne specjalnego znaczenia), podpisane przez generała Czesława Kiszcza. Wedle tego zarządzenia do zakresu działania Departamentu IV należało m.in. „podejmowanie ofensywnych działań i przedsięwzięć operacyjnych mających na celu osłabianie możliwości oddziaływania Kościoła na społeczeństwo, zwłaszcza w sferze politycznej, społecznej i ideologicznej; kształtowanie lojalnych wobec Państwa postaw duchowieństwa i przeciwstawianie go reakcyjnej polityce hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego”. Departament ten miał też „rozpoznawać i rozpracowywać – z pozycji krajowych – charakter i treść kontaktów hierarchii i kleru Kościoła rzymskokatolickiego, działaczy stowarzyszeń katolików świeckich, kościołów i związków wyznaniowych nierzymskokatolickich z ich centralami oraz ośrodkami dywersji państw kapitalistycznych”.

Dodać trzeba, że „z pozycji zagranicznych” robił to Departament I, zaś „centralą Kościoła rzymskokatolickiego” była, rzecz jasna, Stolica Apostolska.

Departament IV miał realizować swe zadania m.in. przez „organizowanie ofensywnej pracy operacyjnej w odniesieniu do centralnych, kierowniczo-koncepcyjnych ogniw Kościoła rzymskokatolickiego; działaczy i członków stowarzyszeń oraz ugrupowań katolików świeckich”.

Załącznik do zarządzenia, zatytułowany „Zakres zainteresowań operacyjnych Departamentu IV”, zawiera wykaz obiektów, wobec których prowadzono „działania operacyjne”. Były to m.in.: Episkopat, Sekretariat Episkopatu, „prymas i jego agendy doradczo-wykonawcze”, komisje problemowe Episkopatu, Konsulta Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich, Konsulta Wyższych Przełożonych Zakonów Żeńskich, „misja Watykanu w PRL”, struktury tzw. fundacji dla rolnictwa oraz „centralne ogniwa duszpasterstw specjalistycznych”. Obiektami „ofensywnej pracy operacyjnej” były też stowarzyszenia katolików świeckich oraz „nieformalne struktury katolików świeckich”. Ta „ofensywna praca operacyjna” miała dostarczać aktualnych informacji o „obiektach” interesujących SB, a także wpływać na decyzje osób i gremiów.

Była ona realizowana wszystkimi dostępnymi środkami, przede wszystkim z wykorzystaniem rozbudowanej sieci agentury, a także przy użyciu dostępnej wówczas techniki operacyjnej: za pomocą podsłuchów telefonicznych, pokojowych, a niekiedy także podglądów. Podsłuchy pokojowe zainstalowane były w pałacu prymasa, w sekretariacie Episkopatu, we wszystkich kuriach, w mieszkaniach biskupów, w wielu klasztorach, ośrodkach rekolekcyjnych, mieszkaniach wielu księży i w redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

Każdemu przyjętemu do seminarium klerykowi zakładano teczkę, tzw. Teczke Ewidencji Operacyjnej na Księdza (TEOK), która składała się z dwóch części.

W pierwszej był kwestionariusz personalny, kopia składanego przy wydawaniu dowodu osobistego kwestionariusza ze zdjęciem, wynik sprawdzania w Biurze C (czy „obiektem” interesowała się SB lub współpracował on z jakimś innym ogniwem MO lub SB) oraz w Centralnym Rejestrze Skazanych. Sprawdzanie to dotyczyło nie tylko kleryka, także jego najbliższej rodziny. W tej części teczki znajdowały się też wzory pisma maszyn do pisania, do których kleryk, a później ksiądz, miał dostęp. Kolejnym stałym punktem był wykaz tajnych współpracowników mających dostęp do księdza.



Część druga teczki zawierała tzw. arkusz kronikarski, w którym odnotowywano fakty z życia księdza i jego kariery kapłańskiej, a także doniesienia TW i wszystkie dostarczone przez nich lub zasłyszane przez oficera, „opiekuna” z ramienia SB, plotki, najchętniej o charakterze obyczajowym. W tej części gromadzono również notatki służbowe dotyczące działań księdza, w tym notatki informujące o treści jego kazań.

Ten ogromny materiał skrupulatnie zbierano przy pomocy mnóstwa tajnych współpracowników. Jak widać, *dossier* szeregowego księdza było bogatsze nawet od teczek najbardziej niebezpiecznych przestępców objętych inwigilacją. Tak szczegółowa wiedza o księdzu ułatwiała, w razie potrzeby, jego – jak mówiła instrukcja – „pozyskanie”.

O ile normalnie o kandydacie na TW trzeba było dopiero gromadzić informacje, o tyle każdy ksiądz był już z góry „opracowany”.

„ZOBOWIĄZANIE TRAKTOWAĆ ELASTYCZNIE”

Proces pozyskiwania księdza do współpracy był inny niż osoby świeckiej. Instrukcja o pracy operacyjnej SB (słynna „Instrukcja do zarządzenia nr 006”) kazała po okresie „opracowania” kandydata na TW rozpocząć jego pozyskiwanie przez delikatne rozmowy i sugestie współpracy. Jeśli propozycję przyjmowano, delikwent uzgadniał z oficerem pseudonim i podpisywał („świadomie”, jak tego wymaga art. 4 ustawy lustracyjnej) zobowiązanie do współpracy. Wówczas dopiero zostawał zarejestrowany jako TW.

Z księżmi było inaczej. Wytoczne dyrektora Departamentu IV z 15 czerwca 1973 roku (obowiązujące do roku 1989 i, oczywiście, tajne specjalnego znaczenia) zalecały, by wymóg podpisania zobowiązania przez duchownego traktować bardzo elastycznie, „bowiem jego formalne potraktowanie może

niejednokrotnie uniemożliwić pozyskanie”.

W praktyce od tego wymogu często odstępowano, a jeśli idzie o osoby szczególnie dla SB ważne, odstępowano od niego z reguły. Nie było więc wtedy wyraźnego i oczywistego dla obu stron momentu nawiązania formalnej współpracy. Wspomniane wytyczne stanowiły, że „ocena, czy pozyskanie można uznać za dokonane, należy do pracownika i przełożonego za twierdzącego je”.

Zatem o tym, czy dany ksiądz jest już TW, czy nie, decydował jednostronnie oficer SB



i jego przełożony. Mogło zatem się zdarzyć, że spotykający się z esbekiem ksiądz nawet nie wiedział, że ten uznał go za TW, jako takiego zarejestrował i nadał mu pseudonim, którego używał w dokumentach wewnętrznych.

Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy: stwierdzenie księdza podejrzanego o współpracę z SB, że nigdy nie był tajnym współpracownikiem, nie pozostaje w sprzeczności z faktem zarejestrowania go jako TW. Z tego powodu Sąd Lustracyjny nie uważa samej rejestracji za wystarczający dowód czyjejś współpracy. Zgodnie z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego i orzeczeń Sądu Najwyższego musiała być ona „rzeczywiście podjęta”.

Te same wytyczne dyrektora Departamentu IV pozwalały nie żądać od księży raportów własnoręcznie pisanych i podpisanych pseudonimem, a raczej sporządzać notatki ze spotkań z nimi. Pozwalały też odstępować od zasady kwitowania wynagrodzeń. Te zresztą należały do wyjątków: miały to być raczej prezenty w postaci luksusowych, trudno wówczas dostępnych produktów spożywczych,

alkoholi bądź pomoc w załatwianiu różnych spraw (często w nabyciu deficytowych wówczas materiałów budowlanych). Czasem nagrodą był paszport lub ułatwienia w karierze duchownej, załatwiane różnymi kanałami.

Byli więc tajnymi współpracownikami księży, których SB przyłapała na skandalu obyczajowym i szantażem zmusiła do współpracy, ale byli też tacy, którzy z esbekami (zwykle z jednym i tym samym) spotykali się i rozmawiali, choćby z racji pełnionych funkcji w Kościele. Czasem plotkowali, nie mając pojęcia, że wszystko, co mówią, często w formie dla potrzeb operacyjnych ubarwionej, znajdzie się później w notatce z rozmowy, a oni sami zostaną zarejestrowani jako TW, choć żadnego zobowiązania nie podpisali i zapewne nigdy by nie podpisali, gdyby im je ktoś do podpisania dał. Dodajmy, że z reguły wykorzystywane były przez Departament IV nieuniknione kontakty księży z Urzędem do spraw Wyznań.

To dlatego w Kościele funkcjonowało wyraźne zarządzenie, by każdorazowy kontakt księdza z bezpieką, niezależnie od jego charakteru, zgłaszać przełożonym. Inna sprawa, czy było zawsze przestrzegane.

Byli też księża, którzy z całym rozmysłem szkodzili innym, przekazując SB informacje lub wykonując na jej zlecenie rozmaite zadania o charakterze „dezinformacyjnym” czy „dezintegracyjnym”, rozsiewając ułożone w SB pogłoski i plotki, denuncjując współbraci w kapłaństwie, biskupów, ba – nawet kontakty z księżmi z ZSRR i narażając tych ostatnich na prześladowania.

Przy niekompletnych archiwach bardzo trudno ustalić, kto jaką funkcję pełnił.

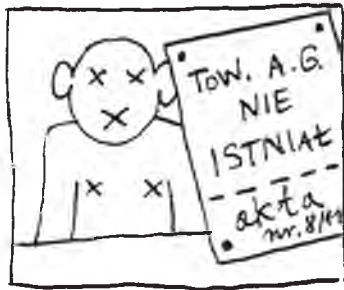
„NIE ZDEKONSPIROWAĆ PODSŁUCHU”

Pochopny osąd może być bardzo krzywdzący. Jego wydanie bez znajomości kontekstu jest w ścisłym sensie „dziką lustracją”. Wydaje się, że najbardziej optymalne byłoby w rozpatrywaniu tych spraw przeprowadzenie dla każdego przypadku procedury sądowej opartej na domniemaniu niewinności i przy zapewnieniu prawa do obrony.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Jeśli notatka nie jest pisana ręką tajnego współpracownika, co najmniej od 1982 roku nie ma pewności, czy zawarte w niej informacje rzeczywiście pochodzą od TW, czy też z innych, bardziej zakonspirowanych i chronionych źródeł. Zarządzenie nr 0018/82 ministra spraw wewnętrznych (z 17 lutego 1982 roku) stanowiło w ust. 6, że „informacje uzyskane środkami techniki operacyjnej można włączyć do spraw operacyjnych tylko w tak przetworzonej postaci, aby nie stracić ich wartości operacyjnej, a jednocześnie całkowicie zakonspirować źródło ich pochodzenia”.

Czyli nawet w dokumentacji operacyjnej informacja z podsłuchu nie mogła być przedstawiona jako taka. Nie można było ujawnić podsłuchu! Najczęściej informacje przekazywano *in extenso* („aby nie stracić wartości operacyjnej”), ale jako

źródło podawano tajnego współpracownika („aby całkowicie zakonspirować źródło jej pochodzenia”). A więc nie każda informacja przypisana tajnemu



współpracownikowi rzeczywiście musiała od niego pochodzić. Mogły to być jego własne słowa, ale podsłuchane w zaciszu jego mieszkania. Mogły to być informacje uzyskane z podsłuchu w kurii lub klasztorze, a przypisane potem księdzu X czy zakonnikowi Y. Inną wagę mają słowa wypowiedzane prywatnie do znajomych, a inną – do oficera SB. Wiadomość mogła być księdzu przypisana, ale żeby przypisać ją tajnemu współpracownikowi, ten ostatni musiał rzeczywiście istnieć. Co jednak wtedy, gdy

TW nie miał świadomości, że został jednostronnie przez oficera SB uznany i zarejestrowany?

Ocena poesbeckich archiwaliów nie jest łatwa. Musi uwzględniać pamięć o ówczesnych realiach i troszczyć się o ich uwzględnienie. W przeciwnym razie grozi nam niepamięć i beztroska. Czyli akurat odwrotnie niż ma być.

[„Tygodnik Powszechny”, 11.06.2006, nr 24]

„Esbecy zawsze”, „esbecy nigdy”...*

Najpierw chcielibyśmy podziękować panom Frazikowi i Musiałowi, że traktują nas wyrozumiale: że rozumieją, iż w okresie kilkumiesięcznego kierowania resortem nie mogliśmy poznać ani obowiązujących w nim procedur, ani osiąść doświadczenia w badaniu archiwaliów – taką wiedzę można bowiem zdobyć dopiero „w toku wieloletniej pracy w archiwum”. Pragniemy uspokoić: mamy kilkudziesięcioletnie doświadczenie i w badaniach archiwalnych, i w badaniach aktowych, a problematyką funkcjonowania służb jeden z nas zajmuje się naukowo co najmniej od lat kilkunastu.

Autorzy podejrzewają, że z „Wytycznymi Dyrektora Departamentu IV” z 15 czerwca 1973 roku zapoznaliśmy się w publikacji IPN w roku 2004. Otóż nie: „Wytyczne...” były nam znane już w 1990 roku, kiedy jeszcze nie istniał IPN, a dla porządku dodamy, że zostały odtajnione i w istotnych fragmentach opublikowane w ogólnodostępnej literaturze jeszcze przed 1992 roku.

Nie bardzo też wiemy, na czym polegać ma nasza „manipulacja”. Czy przekreściliśmy jakiś cytowany fragment? Zacytowaliśmy wiernie fragmenty owych „Wytycznych...”, w tym kluczowe zdanie: „ocena, czy pozyskanie można uznać za dokonane, należy do pracownika i przełożonego zatwierdzającego je” (ust. 3, pkt b). Przywołajmy jeszcze poprzedzający je tekst. Rzecz dotyczy „pozyskiwania” tajnych współpracowników:

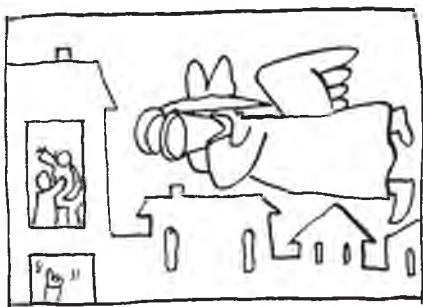
„Instrukcja o pracy operacyjnej [Instrukcja do zarządzenia 006/70 – przyp. autorów]: proces pozyskania zaleca się zakończyć odebraniem zobowiązania o współpracy i wartościowych materiałów informacyjnych. Wymóg ten, zwłaszcza w stosunku do osób duchownych, należy stosować bardzo elastycznie, mając na uwadze względy, o których była wyżej mowa. Jego formalne potrakto-

* Tekst napisany wraz z Krzysztofem Kozłowskim.

wanie może niejednokrotnie uniemożliwić pozyskanie. Stąd fakt przyjęcia zobowiązania nie musi być głównym kryterium pozyskania”.

Co z tych słów wynika? Każdy, kto umie czytać, jest w stanie wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski.

Nasi polemisiści twierdzą, że „SB nie uznawała za konfidenta nikogo, kto faktycznie współpracy nie podjął lub się do niej formalnie nie zobowiązał”. Otóż my jesteśmy zdania, że można było do współpracy formalnie się zobowiązać, ale jej nie podjąć – tak jak można też było formalnie się nie zobowiązać, a faktycznie współpracować. W tym ostatnim przypadku można to było czynić świadomie, ale i nieświadomie. Rozdzielenie tych dwóch sytuacji nie zawsze jest proste.



Nasz pogląd zgodny jest z doświadczeniem Sądu Lustracyjnego i Sądu Najwyższego, a także z opinią Trybunału Konstytucyjnego. Na przykład Sąd Najwyższy w wyroku z 10 maja 2000 roku (sprawa: II KKN 271/00) stwierdził: „Nie jest współpracą uchylenie się od dostarczania takiej informacji ani współdziałanie pozorne – choćby przejawiało się w formalnym dopełnieniu czynności i procedur wymaganych przez oczekującego współ-

pracy”. To samo powtórzył w postanowieniu z dnia 3 listopada 2004 roku (sprawa: II KK 390/04), dodając, że tajna współpraca z SB musi być rozumiana materialnie, a nie formalnie. W innym orzeczeniu (wyrok z 21 lipca 2000 roku, sprawa II KKN 204/00) stwierdzono, że w razie wątpliwości, czy istotnie chodzi o współpracę, Sąd ma obowiązek zbadania m.in., czy współpraca była świadoma.

Również Trybunał Konstytucyjny (orzeczenie z 10 listopada 1998, TK 39/97) określa warunki uznania współpracy z SB za rzeczywistą: musiała ona „po pierwsze, polegać na kontaktach z organami bezpieczeństwa państwa i musiała polegać na przekazywaniu temu organowi informacji. Po drugie, musiała mieć charakter świadomy, a więc osoba współpracująca musiała zdawać sobie sprawę, że nawiązała kontakt z przedstawicielami jednej ze służb [...]. Po trzecie, współpraca musiała być tajna, a więc osoba współpracująca musiała zdawać sobie sprawę, że fakt nawiązania tej współpracy i jej przebieg ma pozostać tajemnicą, w szczególności wobec tych osób i środowisk, których miały dotyczyć przekazywane informacje. Po czwarte, współpraca musiała wiązać się z operacyjnym zdobywaniem informacji przez służby [...]. Po piąte, nie mogła ograniczać się do samej deklaracji woli, lecz musiała materializować się w świadomie podejmowanych, konkretnych działaniach w celu urzeczywistnienia pod-

jętej współpracy. Tym samym za niewystarczające uznać należy samo wyrażenie zgody w przedmiocie nawiązania i zakresu przyszłej współpracy, lecz konieczne były konkretne działania odpowiadające wyżej wskazanym kryteriom i składające się na rzeczywiste współdziałanie z organami bezpieczeństwa”.

A oto przykład wzięty z dokumentów SB, publikowanych w „Tygodniku Podhalańskim” (nr 25/06). Nowotarski proboszcz ks. Mieczysław Łukaszczyk zostaje (jeszcze jako proboszcz w Gilowicach) zarejestrowany jako TW „Turysta”. Rozmowy prowadzone są z nim aż do 1989 roku, a z esbeckiej oceny 56 spotkań wynika, że 15 informacji było przydatnych. Równocześnie jednak ksiądz domaga się deklaracji ze strony funkcjonariuszy, że nie jest żadnym współpracownikiem, choć zarazem nie potrafi uniknąć ich kolejnych wizyt. W maju 1985 roku w Nowym Targu zostaje przeprowadzone kontrolne spotkanie z ks. Łukaszczykiem. Prowadzący je ppłk Stanisław Polak pisze w raporcie: „TW »Turysta« nie jest związany z SB i nie wie, że nasze z nim kontakty to współpraca [...]. Współpracę na tym etapie należy traktować jako dialog, przy czym należy spotkania usystematyzować”.

Zdajemy sobie sprawę, że takie sytuacje psują jednoznaczny obraz działalności SB. Nasi polemici naprawdę głęboko wierzą, że esbecy „zawsze” tak postępowali lub „nigdy” czegoś podobnego nie zrobili, bo byli idealnie dopasowanymi elementami precyzyjnego mechanizmu.

Autorzy zarzucają nam dezinformację przy interpretacji Zarządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych nr 0018/82. Pomijając już fakt, że – jeśli wierzyć mediom – o istnieniu tego dokumentu IPN dowiedział się stosunkowo niedawno, bo przy okazji procesu lustracyjnego Małgorzaty Niezabitowskiej, zarządzenie stanowiło dokładnie tak, jak napisaliśmy. Konkretnie fakty przypisywania informacji z podsłuchu osobowym źródłem informacyjnym są nam osobiście znane.

Dziwi nas fakt, że pracownicy IPN nie wiedzą o powiązaniach pionu IV SB z Urzędem do spraw Wyznań. Piszą oni, że „dotąd nie stwierdzono takiego przypadku, by funkcjonariusz SB podawał się konsekwentnie za urzędnika Urzędu ds. Wyznań”. Pozostają jednak przypadki, gdy czynił to „niekonsekwentnie”, czyli od czasu do czasu. Czy autorom nieznane są przypadki zatrudniania w Urzędzie Wyznań funkcjonariuszy SB „pod przykryciem”? Nam – są. Zademonstrowane w polemice przez pracowników IPN przekonanie o własnej nieomyślności, przy równoczesnym ujawnieniu braków wiedzy o funkcjonowaniu aparatu SB, umacniają w nas przekonanie, że lustracji w ich ręce oddać nie



można. Archiwa IPN, dawne archiwa SB, zawierają liczne dowody: dowody ludzkiej słabości, czasem głupoty, czasem podłości i zdrady. Pomijamy już takie „drobnostki”, jak tę, że oceny dowodów dokonywać powinien nie urzędnik-archiwista, ale niezawisły sąd, a osoba, której dotyczą, powinna mieć prawo je poznać i mieć prawo się do nich odnieść. Rzecz w tym, że dowody te, jak każde inne, wymagają w cywilizowanym świecie krytycznej oceny dokonanej zgodnie z zasadami wiedzy i doświadczenia życiowego. Tych zaś przynajmniej niektórym pracownikom IPN wyraźnie brak.

[„Tygodnik Powszechny”, 25.06.2006, nr 26]



**demokracja,
politycy
i bezpieczeństwo**

Demokracja

Kto akceptuje demokrację – a werbalnie akceptują ją w Polsce wszyscy – akceptuje zarazem przyjęte w demokracji reguły gry.

Teoretycznie każdy wie, co to takiego demokracja. Ale tylko teoretycznie. Praktyka naszego życia politycznego, a nawet społecznego pokazuje, że jednak nie bardzo rozumiemy, co to naprawdę znaczy demokracja. Co prawda, jak pokazują badania, również znaczna część społeczeństwa amerykańskiego nie potrafi podać podręcznikowej definicji demokracji, ale z przekonaniem twierdzi, że „demokracja to jest to, co mamy u nas w Stanach Zjednoczonych”. I z grubsza ma rację. Demokracja to oczywiście forma rządów, w której władza (*kratos*) należy do ludu (*demos*). Dziś nikt nie ma wątpliwości, że lud to ogół mieszkańców. Kiedyś nie było to takie oczywiste. Demokracje starożytne do ludu nie zaliczały niewolników, demokracja szlachecka ludzi innych stanów (chłopów, mieszczan). Kiedy już określiliśmy *demos*, ustalając, kto wchodzi w jego skład, reszta jest już w zasadzie tylko kwestią techniczną. Okazuje się jednak, że te kwestie techniczne są najbardziej skomplikowane. Cały lud, w szczególności gdy jest to ogół mieszkańców, bezpośrednio, w dodatku w dużej mierze sam sobą rządzić po prostu nie może. Potrzebne są zatem instytucje („instytucje demokratyczne”), które mówią, w jaki sposób lud wybiera swoich przedstawicieli, jaki zakres władzy im powierza, na jak długo, jak kontroluje ich działalność, jak ich na koniec ze sprawowania władzy rozlicza.

Aby taki system mógł działać, jak to wynika z długoletnich doświadczeń, potrzebne są wolne wybory, prawo do stowarzyszania się, w tym prawo do tworzenia partii politycznych, wolność słowa, prawo do gromadzenia się. Potrzebne są niezawisłe sądy, wolne media i wolność gospodarcza. Ta ostatnia istotna, bo dająca niezależność od państwa, które przestaje być głównym pracodawcą swych obywateli.

Zarówno w wolnych wyborach prezydenta czy do ciał przedstawicielskich (parlament, samorządy) decydujące znaczenie ma większość głosów. Wygrywa ta partia, ten kandydat, który uzyska większą liczbę głosów. Również w wyłonionych w wyborach ciałach przedstawicielskich wszystkie ważniejsze decyzje wymagają większości głosów. Większością głosów uchwała się ustawy, przyjmuje uchwały, powołuje na stanowiska, zabiera głos w ważnych kwestiach.

Przed zajęciem stanowiska, najpierw w negocjacjach i dyskusjach (debatach) próbuje się uzyskać konsensus. Gdy to okaże się niemożliwe, zarządza się głosowanie i następnie zajmuje stanowisko zgodne z wolą większości.

Tak z grubsza wygląda demokracja od strony formalnej, czy też instytucjonalnej. Demokracja ma jednak zrealizować pewne cele, ma strzec pewnych wartości. Od strony aksjologicznej współczesna demokracja nakazuje większości respektować istotne interesy mniejszości, wszystkich obywateli obdarowywać równymi prawami i możliwościami rozwoju, czyli innymi słowy realizować hasło równości. Ma gwarantować wolność, chronić podstawowe prawa człowieka. Jej znamieniem jest tolerancja, otwartość na innego człowieka. Jej narzędziami są więc dyskusja, kompromis, głosowanie.



Demokracja bez wartości może stać się okrutną tyranią. Łatwo sobie wyobrazić, że większość uchwała pozbycie się mniejszości poprzez jej eksterminację czy też wysiedlenie. Jeśli uchwała taka podjęta by była większością głosów i w dodatku zgodnie z obowiązującymi procedurami, to z formalnego punktu widzenia podjęta by była demokratycznie.

Historia polityki przypomina, że swego czasu w Niemczech Hitler doszedł do władzy właśnie w wyniku demokratycznych wyborów. Twórcy konstytucji Stanów Zjednoczonych słusznie zwracali więc kiedyś uwagę, że demokracja najlepiej sprawdzi się w społeczeństwach moralnych i rozumnych.

Kto akceptuje demokrację – a werbalnie akceptują ją w Polsce wszyscy – akceptuje zarazem przyjęte w demokracji reguły gry. A te najogólniej rzecz ujmując, są następujące: gdy będę w większości, mniejszość będzie stosować się do naszego zdania. Gdy jednak znajdę się w mniejszości, uszanuję wolę większości i będę jej posłuszny.

Jest to oczywista, podstawowa w demokracji reguła gry. Oczywista, ale jak się okazuje niekoniecznie u nas. U nas zasadą jest, że każdy tak długo jest za demokracją, tak długo przestrzega reguł gry, jak długo wygrywa i jest w większości. Gdy nie dać Boże przegra, znajdzie się w mniejszości, natychmiast oznajmia, że wybór większości odrzuca, że nie zamierza realizować tego, co większość uchwaliła („bo on za tym nie głosował”).

Będzie szanował tylko tego prezydenta swego państwa, na którego sam głosował, nie zamierza szanować tego, który wbrew niemu – choć najwidoczniej zgodnie z wolą większości – śmiał wygrać wybory! Będzie walczył o prawdę, o ile to będzie „jego prawda”, każdą inną zignoruje. Będzie szanował państwo i jego instytucje, o ile rządzić akurat będzie jego partia i jego koledzy. Inaczej mówiąc, jest gotów akceptować tylko te demokratyczne wybory czy głosowania, których wynik jest zgodny z jego wolą. Gdy nie jest zgodny, po pierwsze, obraża się, po drugie, ignoruje zdanie większości. Okazuje więc postawę zupełnie nieprzystającą do podstawowych reguł demokracji. Daje dowód, że demokracji po prostu nie rozumie albo że demokracją gardzi, choć nie ma odwagi powiedzieć tego wprost.

Nasza demokracja, choć wyposażona we wszelkie niezbędne instytucje, jest jednak słaba. Jest słaba słabością tych, którzy ją realizują i tych, którzy z jej dobrodziejstw mogą korzystać. Jest zatem słaba słabością elit politycznych, słaba słabością, społeczeństwa, które te elity rodzi, a wychować nie potrafi.

Tradycja *liberum veto*, nie zawsze do końca uświadomiona, okazuje się też nad podziw żywotna i silna.

Niebezpieczeństwo niekompetencji

W ostatniej kampanii wyborczej większość partii (w tym partie zwycięskiej koalicji) deklarowała poprawę bezpieczeństwa obywateli. Zdecydowaną wolę działań rządu zmierzających w tym kierunku zapowiadał też w swym *expose* premier Buzek. Co prawda i później prominentni przedstawiciele AWS przy różnych okazjach publicznie deklarowali, że poprawa bezpieczeństwa jest jednym z priorytetów rządu, ale przez całe trzy miesiące nie robiono nic, co mogłoby wyglądać na realizację tych zapowiedzi.

Co gorsza, przez ten czas nowy minister spraw wewnętrznych i administracji Janusz Tomaszewski publicznie zastanawiał się, czy zmienić komendanta głównego policji czy nie. Skutkowało to pozbawieniem autorytetu komendanta, który – bądź co bądź – stał ciągle na czele ponad 100-tysiecznego korpusu policjantów, funkcjonującego w oparciu o hierarchiczne podporządkowanie i dyscyplinę i który w dodatku powinien był prowadzić nie zawsze w środowisku policyjnym popularne reformy. Stracono więc trzy ważne miesiące, a przy okazji pogłębiono panujący w policji chaos i rozpolitykowanie.

Milczenie w sprawie poprawy bezpieczeństwa obywateli przerwało przedstawienie 18 lutego przez ministra Tomaszewskiego w Sejmie „Informacji Rządu o stanie bezpieczeństwa publicznego”. Z ubolewaniem stwierdzić jednak trzeba, że „Informacja” przygotowana była źle, zawierała wiele tez nieprawdziwych, wiele wniosków nieuprawnionych i interpretacji z gruntu błędnych. Wyglądało na to, że zebrano cały szereg wyrywkowych danych statystycznych, których autorzy nie potrafili poprawnie skomentować.

Przede wszystkim, nie miało większego sensu porównywanie danych dotyczących przestępczości z dwóch kolejnych lat. Prawdą jest, że współczynnik przestępstw (liczony na 100 000 mieszkańców) w 1997 roku wynosił w Polsce 2568, a w 1996–2325, ale co z tego wynika? Np. w 1995 wynosił on dla odmianny 2527 i był wyższy niż w 1996. I co z tego? Po roku 1989 nastąpił w Polsce

(i we wszystkich krajach regionu, w których zmienił się ustrój) ogromny, kilkudziesięcioprocentowy wzrost liczby przestępstw ujawnionych. Potem w krajach, które przeprowadziły gruntowne reformy i ustabilizowały gospodarkę (m.in. w Polsce), nastąpiła również stabilizacja wzrostu przestępczości, choć na wyższym niż przed 1989 rokiem poziomie. Natomiast w krajach, które reform takich nie przeprowadziły (np. Ukraina), przestępczość nadal dynamicznie rośnie. W Polsce od początku lat 90. współczynnik przestępstw liczony na 100 000 mieszkańców ustabilizował się i waha się w poszczególnych latach między ok. 2300 a 2500. Między rokiem 1996 a 1997 nic dramatycznego tu się nie wydarzyło.

Podobnie rzecz się ma z tzw. „współczynnikiem wykrywalności”. W PRL za pomocą motywowanych politycznie machinacji statystycznych wykazywano, że jest on bliski 100% (w co zresztą, nikt nie wierzył), po 1990 spadł on do 40% (czyli zbliżył się do współczynnika wykrywalności w krajach zachodnich) i od tego czasu powoli rośnie, również wykazując niewielkie wahania w poszczególnych latach (w 1992 – 53,5%; 1993 – 53,5%; 1994 – 54,6%; 1995 – 54,7%, 1996 – 54,2%, w 1997 – 53,5%). Jak widać, nie ma żadnego powodu do alarmu.

Nieprawdziwe było też m.in. twierdzenie zawarte w „Informacji”, że w Polsce „narasta gwałtownie przestępczość cudzoziemców”. Wzrost liczby przestępstw (ale wcale nie gwałtowny!) popełnionych przez cudzoziemców w 1997 roku wyjaśniają dostatecznie inne dane zawarte w „Informacji”: „w 1997 roku odnotowano najwyższy w latach 90. wzrost ruchu granicznego”. Dla pełności obrazu należało jeszcze dodać, że cudzoziemcy (których do Polski przyjeżdża rocznie ok. 90 milionów!) stanowią zaledwie 1,8% podejrzanych o popełnienie przestępstw. Pozostałych 98,2% podejrzanych rekrutuje się spośród 38 mln Polaków, zaś zdecydowana większość popełnionych przez cudzoziemców przestępstw stanowią przestępstwa drogowe!

Jednym z wniosków, jakie znalazły się w „Informacji”, był taki: „etat policji jest niewystarczający w stosunku do potrzeb – wynosi 102 755, a wg standardów europejskich powinien wynosić co najmniej 125 000 policjantów”. Jest to twierdzenie bałamutne. Tzw. „gęstość policji” (współczynnik, który pokazuje, na ilu mieszkańców przypada jeden policjant) w Niemczech czy Francji jest rzeczywiście większa niż w Polsce i to zdaje się być podstawą owego porównania do „standardów europejskich”. Trzeba jednak wiedzieć, że np. w Niemczech w skład policji liczy się także formację ochrony granic, policja zajmuje się ochroną placówek dyplomatycznych w kraju i za granicą, ochroną VIP-ów *etc.* We Francji uwzględnia się także policję polityczną czy kontrwywiad cywilny *itd.* U nas zadania te rozłożone są między różne formacje: Straż Graniczną, Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe BOR, częściowo UOP. Poza tym ostatnim, wszystkimi tymi formacjami kieruje bądź je nadzoruje minister Spraw

Wewnętrznych i Administracji. Jeśli więc do 102 755 policjantów dodać 13 500 funkcjonariuszy Straży Granicznej, 12 000 żołnierzy NJW, ok. 1000 funkcjonariuszy BOR i żołnierzy „GROM”, to nawet pomijając ok. 7000, strażników miejskich i gminnych, okaże się, że w Polsce policjantów jest relatywnie znacznie więcej niż we Francji czy Niemczech, pomimo że współczynnik przestępstw w Niemczech czy Francji jest kilkakrotnie wyższy niż w Polsce.

Na bezpieczeństwo obywatela składa się zarówno realne bezpieczeństwo (jako dopełnienie realnego zagrożenia przestępczością), jak i społeczne poczucie bezpieczeństwa (dopełnienie społecznego, poczucia zagrożenia). Z licznych badań wiadomo, że społeczne poczucie zagrożenia jest w Polsce bardzo wysokie, nieuzasadnione zagrożeniem realnym. Obowiązkiem państwa jest także obniżenie społecznego poczucia zagrożenia. To ostatnie nie tylko pozbawia ludzi koniecznego komfortu (obywatele nie czują się bezpiecznie w swoim państwie), ale i determinuje cały szereg niekorzystnych postaw społecznych (domaganie się surowych kar, w tym kary śmierci, samoograniczenie wolności, domaganie się powszechnej dostępności broni palnej, gotowość poparcia władz autorytarnych deklarujących „zrobienie porządku” itp.).



Minister spraw wewnętrznych i administracji kreślił w Sejmie ponure (inna rzecz, czy prawdziwe i uzasadnione) wizje i prognozy przestępczości. Mówił, co będą w przyszłości robić przestępcy, nie powiedział natomiast nic o tym, co zamierza robić rząd, a zwłaszcza podległe ministrowi służby, aby poprawić bezpieczeństwo. W ten sposób zamiast obniżyć, umocnił w społeczeństwie poczucie zagrożenia.

I jeszcze uwaga na zakończenie. Być może w kierownictwie MSWiA nikt nie zna się na interpretacji danych statystyki kryminalnej – ale przecież w Polsce jest wiele placówek naukowych zajmujących się profesjonalnie kryminologią, w tym analizą takich danych czy prognozowaniem przestępczości, że wspomnę chociażby Zakład Kryminologii PAN w Warszawie. Czy rząd, przygotowując dla Sejmu „Informację...”, nie mógł konsultować się z ekspertami? Pozwoliłoby to przynajmniej na uniknięcie błędów, które nie uchodzą nawet w studenckiej pracy proseminaryjnej. Aż strach pomyśleć, co to będzie, jeśli dokument ten stanie się podstawą rządowego programu poprawy bezpieczeństwa.

[„Tygodnik Powszechny”, 01.03.1998, nr 9]

Po co komu ta abolicja?

Ustawa o przebaczeniu szpiegom, pod warunkiem że się ujawnią, jest absurdalna. W obywatelach wzbudzi podejrzenia, że kryje się za nią jakiś nieczysty interes polityczny.

Zwykle abolicje (zaniechanie ścigania i puszczenie w niepamięć popełnionych przestępstw) łączone są w jednym akcie prawnym z amnestiami (darowanie kar w całości lub części). Zarówno abolicja, jak i amnestia są swoistymi zbiorowymi aktami łaski, ingerencją władzy ustawodawczej w funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. W krajach demokratycznych takie ingerencje traktowane są jako coś naprawdę nadzwyczajnego i zdarzają się nader rzadko. Uznaje się, że mają one sens przy wielkich przełomach politycznych, po zakończeniu wojen domowych, po zmianie ustroju. Odgrywać mogą wówczas istotną rolę w procesie pojednania narodowego.

W powojennej praktyce polskiej szafowano amnestiami (i abolicjami) dość hojnie, zawsze z jakimś jawnym lub – częściej – ukrytym celem politycznym; zwykle pod pozorem czczenia bądź upamiętnienia czegoś tam. Łącznie takich aktów wydano 15. W 1945 roku rząd tymczasowy dekretem o amnestii czcił pierwszą rocznicę powstania PKWN. Dwa lata później amnestia upamiętniała otwarcie Sejmu Ustawodawczego i wybór Bieruta na urząd prezydenta. Obydwie miały umożliwić „wszystkim obywatelom wzięcie udziału w odbudowie demokratycznej Polski”, a pomogły organom bezpieczeństwa w rozprawie z poakowskim podziemiem. Kolejna amnestia czciła i upamiętniała uchwalenie stalinowskiej konstytucji z 1952 roku. Amnestia z 1956 roku, efekt październikowego przełomu, uwalniała więźniów okresu stalinowskiego.

PRL obdarowała amnestią swych obywateli także w latach 1964 (XX-lecie PRL) i 1969 (XXV-lecie). Tym razem chodziło zarówno o efekt propagandowy, jak i – przy okazji – o odciążenie przeładowanych do granic możliwości zakładów karnych. W latach 80. amnestie motywowane były wyłącznie doraźnymi

względnymi politycznymi. W III Rzeczypospolitej nie było dotąd żadnej ustawy amnestyjnej (ani abolicyjnej). Przeciwnie, ustawa z 31 maja 1996 roku wyłączyła działanie niektórych ustaw o amnestii i abolicji wobec sprawców niektórych przestępstw, nieściganych z przyczyn politycznych w latach 1944–1989.

W świetle tego, co dotychczas powiedziano, zgłoszenie przez rząd projektu ustawy „o przebaczeniu i puszczeniu w niepamięć niektórych przestępstw przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej”, uznanie tego projektu za pilny i kierowanie go na tzw. szybką ścieżkę legislacyjną uznać trzeba za coś zupełnie niezwykłego. Jeśli do tego dodać, że w obowiązującym kodeksie karnym są przepisy gwarantujące bezkarność ludziom uwięzionym w przestępstwa przeciwko państwu – w tym w działalność obcych wywiadów – w zamian za dobrowolne poniesienie dalszej działalności i „ujawnienie wobec organu powołanego do ścigania przestępstw wszystkich istotnych okoliczności popełnionego czynu”, to cel uchwalania odrębnej ustawy abolicyjnej wydaje się nader wątpliwy.

W uzasadnieniu projektu napisano, że celem ustawy jest „neutralizacja zagrożeń związanych z działalnością na terenie Polski obcych służb specjalnych”, a nawet – że ustawa ta „w znaczny sposób utrudni lub wręcz uniemożliwi na długi czas działalność obcych wywiadów skierowaną przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej”. Osobiście jednak skłaniam się do poglądu, że do takiej neutralizacji czy wręcz paraliżu obcych służb służy sprawny kontrwywiad, a nie jakakolwiek ustawa.

W tymże uzasadnieniu napisano, że ustawa „pozwoli znaleźć drogę wyjścia przede wszystkim tym osobom, które zetknęły się z obcymi wywiadami działającymi przeciwko Polsce, ale nie są pewne charakteru tych kontaktów i ewentualnych następstw prawnych. Osoby te chciałyby ujawnić swoje kontakty, lecz obawiają się konsekwencji karnych lub też szantażu ze strony tych wywiadów”. W innym miejscu napisano: „Można przypuszczać, że w skali całego kraju z dobrodziejstw ustawy może skorzystać od kilkudziesięciu do nawet kilkuset osób”.

I ta liczba jest więcej niż wątpliwa; bardziej prawdopodobne, że zgłosi się kilku chorych psychicznie, a jeśli zgłosi się jakiś prawdziwy szpieg, to raczej po uzgodnieniu tego ze swoją centralą. Nie w tym rzecz. Logika uzasadnienia jest taka – ujawnienie się kilkudziesięciu (a nawet kilkuset) osób, które jedynie zetknęły się z obcymi wywiadami i nie są pewne swoich kontaktów, sparaliżuje działalność obcych służb w Polsce!

Absurdalność samej ustawy dublującej w dużej mierze (bez żadnej zrozumiałej potrzeby) kodeks karny, pośpiech w jej uchwalaniu, zbieg czasowy z faktycznym rozpoczęciem kampanii prezydenckiej, naiwność uzasadnień – wszystko to przeciętnemu obserwatorowi życia politycznego w Polsce, który już przyzwyczaił się do tego, że właściwie za wszystkim kryje się jakiś partyjny interes lub

polityczny szwindel, wydaje się dziwne lub wręcz podejrzane. Skoro brak jasnych odpowiedzi na pytanie, po co w ogóle ta ustawa i dlaczego akurat teraz zgłoszono jej projekt – szuka on jakichś racjonalnych, ale ukrytych powodów. Z sejmowej mównicy podpowiada mu poseł Macierewicz. Dla niego ustawa jest nieodzowna dla „rozpracowania, wyjaśnienia i zrozumienia całości mechanizmu sowieckiej penetracji w Polsce [...] ludzi z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, sowieckiej agentury i tych wszystkich, którzy zdradzali przez ubiegłe lata Ojczyznę”.

Nic więc dziwnego, że czytelnik „Gazety Polskiej” w liście do redakcji wyraża nadzieję, że ustawa ujawni nie tylko polskiej opinii publicznej, ale i sojusznikom, kto kryje się za takimi agentami, jak „Olin”, „Kat” i „Minim” i wielu, wielu innych.



Sympatycy skrajnie przeciwnej strony sceny politycznej spekulują natomiast, że przed spodziewaną po wyborach parlamentarnych zmianą władzy, po rewelacjach Kohla na temat pośredniczenia zachodnioniemieckiego kontrwywiadu BND w przekazywaniu pieniędzy dla „Solidarności” – część postsolidarnościowego establishmentu chce się zabezpieczyć na wszelki wypadek.

Rację ma Krzysztof Kozłowski, ostrzegając na łamach „Tygodnika Powszechnego”, że ustawa – bez względu na rzeczywiste intencje autorów projektu – rozpocznie w Polsce polowanie na współpracowników owych skruszonych czy niby-skruszonych szpiegów, na ludzi często dowolnie wskazanych przez nie wiadomo kogo.

Jedno jest pewne. Działalności obcych wywiadów ustawa nie sparaliżuje ani nie zneutralizuje. Rozpęta atmosferę szpiegomanii, odwróci uwagę od spraw naprawdę istotnych, do pojednania narodowego się nie przyczyni. A dziesiątki naprawdę ważnych ustaw czekają w długiej kolejce na uchwalenie.

[„Gazeta Wyborcza”, 13.03.2000, nr 61]

Polscy politycy o bezpieczeństwie (między demokracją a demagogią)

Jest rzeczą zrozumiałą, że politycy przy różnych okazjach wypowiadają się na temat bezpieczeństwa wewnętrznego kraju. Najczęściej wypowiedzi te dotyczą oceny aktualnego stanu bezpieczeństwa i porządku bądź też są to propozycje czy nawet programy działań na przyszłość. Liczba takich wypowiedzi wzrasta z reguły w okresie kampanii wyborczych. Również każdy kolejny premier rządu w swoim *exposé* zapowiada poprawę bezpieczeństwa i kreśli bardziej lub mniej ogólny program realizacji tej zapowiedzi.

Samo zainteresowanie problematyką bezpieczeństwa przez polityków jest zrozumiałe, wszak zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom jest jednym z celów państwa, a nawet uważane jest za jedną z ważniejszych przyczyn, dla których państwo jako takie w ogóle powstało (Krapiec 1998, s. 71).

W Polsce okresu transformacji po 1989 roku temat bezpieczeństwa stał się szczególnie aktualny dla polityków. Stało się tak zarówno dlatego, że po tym roku wzrosła znacznie przestępczość ujawniona, jak i szczególnie dlatego, że w tym okresie ogromnie wzrosło społeczne poczucie zagrożenia przestępczością. To ostatnie było przedmiotem licznych badań i analiz naukowych i z naukowego punktu widzenia jego przyczyny uznać można za w pełni wyjaśnione.

Wszyscy w zasadzie autorzy zajmujący się tym zagadnieniem są zgodni tak co do jego przyczyn, jak co do tego, że nie jest ono prostym odzwierciedleniem rzeczywistego zagrożenia przestępczością, które w Polsce oceniają na relatywnie dużo niższe niż w większości rozwiniętych państw Europy Zachodniej, USA czy państw regionu Europy Środkowo-Wschodniej, przechodzących podobnie jak Polska transformację ustrojową (por. np. Misiuk 1998, s. 37–48; Hołyst 1998, s. 49–68; Czapska 1997, s. 21–28; Kury, Obergfell-Fuchs 1998, s. 425–446; Kury, Krajewski 1995). Co więcej, zajmujący się tym zagadnie-

niem autorzy są też zgodni co do społecznych i politycznych konsekwencji tego fenomenu. Zwracano uwagę, że ludzie o wysokim poczuciu zagrożenia (lęku przed przestępstwem) sami ograniczają własną swobodę poruszania się, unikają pewnych miejsc, które, słusznie czy niesłusznie, uważają za niebezpieczne. Nie opuszczają domów po zmroku, domy przemieniają w swoiste fortece, instalują dodatkowe zamki, zabezpieczenia antywłamaniowe, urządzenia monitorujące, wynajmują ochronę. Ograniczają swoją wolność z nadzieją na poprawę bezpieczeństwa.



W społeczeństwie o wysokim poczuciu zagrożenia rośnie podejrzliwość i brak zaufania do obcych, innych (co skutkuje z kolei brakiem tolerancji itp.), wzrastają postawy represyjne, polegające na braku akceptacji dla liberalnej polityki karnej, na domaganiu się zaostrzenia kar, na akceptacji dodatkowych uprawnień policji, godzących w prywatność i umniejszających prawa obywatelskie, rośnie tolerancja dla brutalnych działań policyjnych, akceptacja dla polityków, którzy zapowiadają uporanie się z przestępczością nawet kosztem demokracji (por. Czapska 1997, s. 26; Widacki 2000, s. 6). Nie ulega też wątpliwości, że wysokie poczucie zagrożenia istotnie wzmacnia alienację polityczną, rozumianą jako syndrom bezradności i wyobcowania (Korzeniowski 1995, s. 187), a ta ostatnia sprzyja wzrostowi poczucia zagrożenia.

Zwracano już uwagę, że alienacja polityczna może utrudnić proces demokratyzacji polskiego społeczeństwa i systemu politycznego (Korzeniowski 1994, s. 2; por. też McClosky, Schaar 1965, s. 14–40; Schwartz 1973). Po roku 1990, kiedy na krótko wzrosło przekonanie o możliwości bycia podmiotem, a nie tylko przedmiotem polityki, procent Polaków zgadzających się ze stwierdzeniem „ludzie tacy jak ja nie mają żadnego wpływu na to, co robi rząd” systematycznie rośnie i już w 1992 roku osiągnął poziom z końca lat 80., by w 1993 roku przekroczyć już 90% (Korzeniowski 1995, s. 188).

Prowadzone badania nad alienacją polityczną w Polsce doprowadziły do kilku szczególnie istotnych tu wniosków. Po pierwsze, osoby politycznie wyalienowane mniej ufają strukturom i procedurom demokratycznym, które nie dają im poczucia bezpieczeństwa i sprawiedliwości. Dla osób wyalienowanych ideałowi bliższy jest ład autorytarny i za takim porządkiem gotowe są opowiedzieć się. Część osób wyalienowanych widzi wyjście z sytuacji poprzez „danie pełni władzy w kraju ludziom pracy i ich związkom”, część – w „zlikwidowaniu demokracji i wprowadzeniu rządów silnego człowieka” (Korzeniowski 1995, s. 198). Nie trzeba dodawać, że w XX wieku obydwa te sposoby były już testowane z ogólnie znanymi skutkami.

Podsumowując, można powiedzieć, że na początku XXI wieku znaczna część Polaków jest przekonana, że nie ma żadnego wpływu na bieg wydarzeń w kraju (jest wyalienowana), równocześnie ma wysokie poczucie zagrożenia przestępczością. Przypomnijmy też, że obydwa te fenomeny pozostają ze sobą w związku, wzajemnie się wzmacniając.

Co więcej, w społeczeństwie polskim bardzo silnie ugruntowane jest przekonanie, że surowość kar jest skutecznym remedium na przestępczość. Pogląd taki niegdyś był dominujący u autorów staropolskich, od Janka z Czarnekowa aż do Andrzeja Frycza Modrzewskiego, którzy jednak na ogół dostrzegali również wpływ innych czynników na przestępczość.



Dla wspomnianego Andrzeja Frycza Modrzewskiego takim czynnikiem była nędza, dla XVI-wiecznego kanclerza Jana Ocieskiego także braki w wychowaniu. Można jednak przyjąć, że do czasów oświecenia pogląd, że surowe kary powstrzymują przestępczość, był poglądem dominującym. Warto zwrócić uwagę, że zaostrzania kar dla ukrócenia przestępczości domagano się w czasach, kiedy za co najmniej kilkadziesiąt różnych czynów groziła kara śmierci, i to nie tylko „zwykła” (przez ścięcie, powieszenie, utopienie, rozstrzelanie), ale także „kwalifikowana” (przez spalenie na stosie, wbicie na pal, zakopanie żywcem, ćwiartowanie, łamanie kości, rozszarpanie końmi), a sama egzekucja poprzedzona była szeregiem dodatkowych udręczeń w postaci różnego rodzaju okaleczeń, szarpania rozżarzonymi cęgami itp. Odbywanie kary więzienia

faktycznie polegało na powolnym gniciu w ciemnicy – „wieży dolnej” (por. Kaczmarczyk, Leśnodorski 1966, s. 339–340, 354).

Zdecydowany przełom w poglądach dawnych autorów polskich wywołała książka C. Beccarii *O przestępstwach i karach*, której pierwszy polski przekład ukazał się w 1772 roku. Już w 1786 roku Teodor Ostrowski pisał, że „nie tylko

przestępcą jest winien, ale i społeczeństwo: ledwie nie częściej samą społeczność niż winowajcę o niektóre zbrodnie winić by należało” (Ostrowski 1786). Krakowski profesor prawa doby reformy kołłątajowskiej, Sebastian Czochron pisał, że „karać przestępstwa nie jest sztuką; sztuką jest im zapobiegać” (Czochron 1788).

Ta radykalna zmiana poglądów na rolę kary, dokonująca się w dobie oświecenia, spowodowana była w dużej mierze tym, że surowe, okrutne kary nie powstrzymały wzrostu przestępczości, dlatego też uznano, że dalsze eskalowanie okrucieństwa kary na nic się nie zdaje i trzeba poszukać innych środków.

Choć od czasów oświecenia nikt w polskiej literaturze przedmiotu nie twierdził już, że zaostrzanie kar stanowi remedium na przestępczość, a prawo karne od tego czasu w swej ewolucji wykazuje wyraźną tendencję do łagodnienia, przekonanie o związku między surowością karania a stanem przestępczości jest dość głęboko zakorzenione w społeczeństwie.

Ta społeczna intuicja jest niezgodna również z najnowszymi wynikami badań. Ostatnio H.-J. Albrecht, badając przestępczość i politykę karną w USA i kilku krajach Europy Zachodniej, doszedł do wniosku, że polityka karna nie ma żadnego albo co najwyżej marginalne znaczenie dla stanu przestępczości (Albrecht 2001). Do podobnych wniosków doprowadziły badania przestępczości w przechodzących transformację ustrojową krajach Europy Środkowej i Wschodniej, w których obowiązują różne surowe kodeksy karne, różne represyjne były polityki karne, różne warunki odbywania kary pozbawienia wolności, różne głębokie reformy systemu sprawiedliwości karnej, a przestępczość zachowała się niemal dokładnie tak samo (Widacki 2001). Tak więc wyniki badań są oczywiście rozbieżne ze społecznymi intuicjami.

Jakie są możliwe reakcje polityków na taką sytuację? Oczywiście, żaden polityk, zwłaszcza w okresie przedwyborczym nie może nie odnieść się do kwestii, które znaczna część potencjalnego elektoratu uważa za najistotniejsze. W kampanii wyborczej do Sejmu w 1997 roku wszystkie liczące się siły polityczne głosiły hasła poprawy bezpieczeństwa. Tylko niektóre wyszły poza hasła, dając w swych programach zarys przyszłych działań. Niektóre poprzestały tylko na hasłach odwołujących się, jak słusznie to skomentowano (Marszałek 1997), „do ludowego pragmatyzmu z ogromną dozą niekonsekwencji”.

Takie zarysy programu przedstawił Sojusz Lewicy Demokratycznej (ściślej – jego polityczny trzon, jakim wówczas była Socjaldemokracja RP), który deklarował, że w razie zwycięstwa w wyborach będzie „doskonalił prawo, zwiększy skuteczność działania organów ścigania oraz funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza poprzez uproszczenie i przyspieszenie procedur sądowych”. Jeśli chodzi o priorytety, to walkę z przestępczością skoncentruje na przestępczości zorganizowanej, przestępczości nieletnich i wymierzonej

przeciw nieletnim, związanej z narkotykami i stosowaniem broni palnej. SLD zapowiadało też reformę policji, wyposażenie jej w szersze, ale „demokratycznie kontrolowane” uprawnienia, rozbudowanie pionu ds. nieletnich, podwojenie liczby dzielnicowych (policjantów pierwszego kontaktu), wprowadzenie współpracy policji z różnymi instytucjami, samorządem i organizacjami pozarządowymi na polu zapobiegania przestępczości. Propozycje SLD zawierały też zapowiedź „opracowania i wdrożenia długofalowego programu działalności edukacyjno-wychowawczej dla ograniczenia zjawisk patologicznych i kryminalnych” obejmujących młodzież, bezrobotnych itd.*

Jak wynika z programów wyborczych, Unia Wolności zdawała się sądzić, że dla poprawy bezpieczeństwa wystarczy usprawnić Policję, ewentualnie jeszcze wymiar sprawiedliwości. Sam postulat usprawnienia policji był jak najbardziej słuszny, jednak nie wyczerpywał w żaden sposób problematyki. Otóż UW słusznie postulowała konieczność odbiurokratyzowania i unowocześnienia policji, utworzenie w niej odrębnego pionu ds. kontaktów ze społecznościami lokalnymi. Postulowała też enigmatycznie „reformę wymiaru sprawiedliwości dotyczącą zmian strukturalnych, kompetencyjnych”, nie wyjaśniając, co konkretnie ma na myśli i nie troszcząc się, co z tego hasła ma zrozumieć potencjalny wyborca**.

Kilka ugrupowań prawicowych: Unia Prawicy Rzeczypospolitej, Unia Polityki Realnej, Ruch Odbudowy Polski postulowały konieczność zaostrzenia kar, przywrócenia kary śmierci, zaostrzenia procedury (wprowadzenie obligatoryjnego aresztu tymczasowego przy różnych kategoriach przestępstw), zaostrzenie warunków wykonywania kary pozbawienia wolności (likwidacja przepustek z więzień dla sprawców różnych kategorii przestępstw) (por. Konieczna 2000, s. 24 i n.; Marszałek 1997). Niezwykle szczegółowe postulaty zmian w Kodeksie postępowania karnego przeplatały się z ogólnikowymi, demagogicznymi obietnicami „stworzenia prawa gwarantującego bezpieczeństwo” (tamże).

Akcja Wyborcza Solidarność – zwycięska siła wyborów w 1997 roku deklarowała w swym programie uznanie, że „podstawowym obowiązkiem państwa jest zapewnienie bezpieczeństwa”. Równocześnie zapowiadała, że realizacja tego obowiązku należeć będzie do „sprawnej, profesjonalnie zorganizowanej policji i służb specjalnych”. AWS w formie hasła zapewniała też wyborców, że nie dopuści do „szerzenia się struktur mafijnych” i „wyda zdecydowaną walkę korupcji” ***. Program wyborczy niestety nie informował, jakimi metodami mają być osiągnięte te cele. Ocena stanu aktualnego tych zjawisk po czterech

* Program SdRP, b.d.

** Deklaracja programowa Unii Wolności, Warszawa 1997, s. 5.

*** Program Akcji Wyborczej Solidarność, b.d.

latach rządów AWS zdaje się wskazywać, że właściwych metod do dziś nie udało się znaleźć.

Od wyborów parlamentarnych w 1997 roku miało miejsce kilka faktów szczególnie istotnych dla naszych rozważań. Weszły w życie – uchwalone w 1997 roku – kodeksy karne (Kodeks karny, Kodeks postępowania karnego, Kodeks karny wykonawczy), zmieniono istotnie ustawę o Policji, zmieniono podział administracyjny kraju (redukując liczbę województw z 49 do 16), co spowodowało kolejną niezbyt udaną reformę policji (Widacki 1999, s. 215–248; por. również Widacki 2000a, s. 128–139).

W tym samym czasie współczynnik przestępstw (liczba przestępstw na 100 tys. mieszkańców) wzrósł z 2568 (w 1997 roku) do 2900 (w 1999 roku). W całej Polsce rozpoczęto, zwykle z inicjatywy samorządów, czasem z inicjatywy lokalnych szefów policji lub liderów lokalnych społeczności (ze wsparciem samorządów i lokalnych struktur policji) realizację ponad tysiąca różnych programów zmierzających do zapobiegania przestępczości, mieszczących się w ramach tzw. *Community policing* i *community crime prevention* (szczegółowe omówienie tych programów por. Czapska, Krupiarz (red.) 1999 oraz Czapska, Widacki (red.) 2000).

Równocześnie zaczęło się zmniejszać społeczne poczucie zagrożenia, co można było tłumaczyć przyzwyczajeniem się społeczeństwa do większej niż przed 1989 rokiem przestępczości i do nowego stylu mediów w informowaniu o przestępczości. W roku 1999 badania opinii publicznej odnotowały dalszy wyraźny wzrost wskazań, że Polska jest krajem bezpiecznym (CBOS 2000, s. 1). Według CBOS na pytanie, „czy Polska jest krajem, w którym się żyje bezpiecznie” – „nie” w 1987 roku odpowiedziało 22% respondentów, w 1993 roku – 67% respondentów, w 1995 roku – aż 79%, a w kolejnych latach coraz mniej, do 64% w 1999 roku; w 2000 roku znów gwałtownie rosła liczba respondentów odpowiadających „nie”, osiągając jesienią 2000 roku rekordowy poziom 82% (CBOS 2000, s. 2).

Nie znajduję żadnej innej racjonalnej przyczyny dla tej niekorzystnej zmiany poczucia bezpieczeństwa, poza wszczętą przez nowego (od wiosny 2000 roku) ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego publiczną kampanią na rzecz zaostrzenia prawa karnego i zaostrzenia polityki karnej, które rzekomo są konieczne w związku z rzekomo ogromnym wzrostem (kiedy odnotowanym?) przestępczości. Tymczasem ciągle 72% badanych określa swoje miejsce zamieszkania jako bezpieczne i spokojne, a informacje o zagrożeniu czerpie z mediów (CBOS 2000, s. 2) (co zdaje się potwierdzać tezę Chestertona „to nie świat jest gorszy, to serwis informacyjny jest lepszy”), zaś przestępczość ujawniona po gwałtownym wzroście w latach 1989–1990 względnie się ustabilizowała.

Styl prowadzenia przez wspomnianego ministra tej kampanii, konflikt ze środowiskiem naukowym prawniczym, sama częstość publicznych wystąpień ministra i jego doradców, komentowanie przez niego w mediach każdego pojedynczego przypadku drastycznego przestępstwa, które zostało popełnione w liczącej blisko 40 mln mieszkańców Polsce (co zapewnia dostateczną liczbę pojedynczych drastycznych przypadków), jego spektakularne decyzje kadrowe w prokuraturach – wszystko to spowodowało, że zagrożenie przestępczością i rzekoma konieczność drastycznego zaostrzenia kar dla jej zapobieżenia, za czym jawnie opowiadał się minister, stało się jednym z ważniejszych tematów w mediach. Przyniosło to z całą pewnością dwie konsekwencje: popularność ministra i proporcjonalny do niej wzrost poziomu poczucia zagrożenia w społeczeństwie. To ostatnie tym bardziej napędzać będzie to pierwsze. Minister w pełni sobie zasłużył na tytuł „administratora strachu” (Widacki 2000).

Czy jednak długo można administrować strachem?

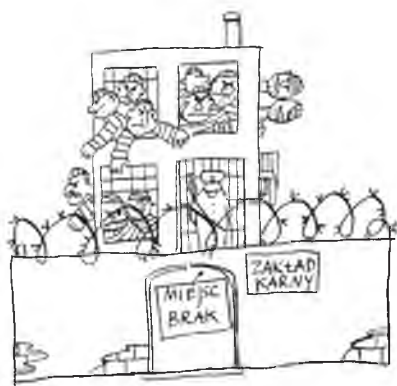
Aktualna sytuacja, na jaką składa się realne zagrożenie przestępczością i poziom społecznego poczucia bezpieczeństwa, zmusza polityków wszystkich orientacji do zajęcia się problemem bezpieczeństwa i stawia przed nimi dwie możliwe strategie postępowania.

Strategia pierwsza to strategia wybrana przez Ministra Sprawiedliwości L. Kaczyńskiego. Trzeba wykorzystać strach przed przestępstwem, a nawet

strach ten eskalować. Wywoła to dające się przewidzieć oczekiwania społeczne i należy tym oczekiwaniom wyjść naprzeciw z odpowiednimi hasłami wyborczymi. Zapewnia to dużą popularność społeczną, przekładalną na liczbę głosów zebranych w wyborach*.

Strategia ta może być później kontynuowana w ten sposób, że zacznie się stopniowo realizować hasła; zaostrzenie prawa karnego jest zabiegiem stosunkowo prostym. Wystarczy zmiana ustawy, która zaostrzy sankcje za poszczególne przestępstwa. Zaowocuje to przede wszystkim

większą liczbą osadzonych w aresztach i zakładach karnych. Wzrosną koszty utrzymania więziennictwa, być może powstanie konieczność budowy nowych więzień. Jest wątpliwe, czy rząd znajdzie na to środki kosztem innych wydatków budżetowych (np. na oświatę, ochronę zdrowia, restrukturyzację gospodarki, obronność itp.).



* Ugrupowania kandydujące w kampanii wyborczej do Sejmu w 2001 r. z tej strategii, a więc Prawo i Sprawiedliwość oraz w pewnym sensie także Samoobrona zdobyły łącznie blisko 20% głosów.

Realizacja tej polityki musi się więc załamać. Równocześnie wcale nie spadnie przestępczość, bo jej poziom w minimalnym tylko stopniu zależy od tego, jaka jest polityka karna i co w telewizji mówi minister sprawiedliwości. Wzrośnie tylko poziom społecznej frustracji, z wszelkimi znanymi tego konsekwencjami. Strategia druga, również możliwa, jest trudniejsza, wymaga większej odwagi na początku, ale ma większe szansę na osiągnięcie sukcesu w dalszej perspektywie. Wymaga ona przeciwstawienia się opinii publicznej, co nie jest rzeczą prostą, a w okresie kampanii wyborczej – rzeczywiście ryzykowną. Wymaga zbudowania skomplikowanego programu, którego celem będzie z jednej strony obniżenie społecznego poczucia zagrożenia, z drugiej – działania nastawione na zahamowanie wzrostu rzeczywistej przestępczości.

To pierwsze wymaga zarówno właściwej polityki informacyjnej (także medialnej), wyjaśniającej rzeczywiste przyczyny przestępczości i wskazującej sposoby ich ograniczania, jak i podejmowania działań łagodzących skutki przestępstw (polityka ubezpieczeniowa, stworzenie funduszu pomocy ofiarom przestępstw itp.), wspieranie wszelkich form organizowania się społeczności lokalnych dla ochrony przed przestępczością.

To drugie wymaga gruntownej reorganizacji wymiaru sprawiedliwości, rzeczywistego usprawnienia policji, rozbudowy instytucji działających na rzecz wymiaru sprawiedliwości (np. zwiększenie liczby placówek wykonujących ekspertyzy dla prokuratur i sądów, bez czego nie jest możliwe przyspieszenie procedur sądowych i śledczych), rozbudowy instytucji patronatu, zwiększenia liczby kuratorów sądowych itd. Na koniec wymaga to skoordynowanych działań administracji rządowej i samorządowej oraz licznych organizacji pozarządowych na rzecz eliminacji przyczyn przestępczości.

Wybór strategii zależeć będzie od tego, jaką treścią chce się wypełnić formułę, że „polityka to zespół działań podjętych przez ośrodek decyzyjny, zmierzających do osiągnięcia zamierzonych celów za pomocą odpowiednio dobranych środków” (Chmaj, Żmigrodzki 1998, s. 20). Czy celem samym w sobie jest zdobycie władzy, czy też zdobycie władzy ma być środkiem do zrobienia czegoś dla dobra wspólnego? Wybór ten faktycznie będzie wyborem pomiędzy demokracją a demagogią, które na pierwszy rzut oka mało wnikliwego obserwatora mogą – na krótko – wydać się niemal synonimami.

Jak łatwo było przewidzieć w perspektywie wyborów parlamentarnych, będąc pod wrażeniem rosnącej popularności polityka, który wybrał strategię pierwszą, nie było zbyt wielu sił politycznych, które zaryzykowałyby wybór strategii drugiej. Może się obawiać, że poziom dyskusji nad problematyką bezpieczeństwa w najbliższej kampanii wyborczej będzie jeszcze niższy niż w ostatniej. Społeczeństwo zaś skazane będzie na przeżywanie kolejnego nieudanego eksperymentu, na dokonanie którego nie tylko zezwoliło, ale do wyboru którego zachęciło. Będzie więc musiało ponieść tego koszty.

Pocieszające jest to, że, jak zauważył Bertrand Russell, „fanatycy zawsze przegrywali, bo zamierzali dokonać rzeczy niemożliwych [...] i zajmowali stanowisko zbyt wrogie nauce, by przyjąć właściwe metody”, zaś „demokracja i empiryzm są ze sobą ściśle związane i nie naginają faktów do teorii” (Russell 1997, s. 38).

W tej sytuacji tym większej odpowiedzialności oczekiwać należy od środowisk naukowych. Naukowcy nie muszą wybierać żadnej strategii. Ich racji nie mierzy się społecznym poparciem. Dlatego elementarnym obowiązkiem naukowców jest referować aktualny stan wiedzy i wskazywać, jakie konsekwencje z niego wynikają dla praktyki społecznej, bez względu na to, czy to, co głoszą, podoba się politykom i partiom, z którymi sympatyzują, czy nie.

Rządzący mogą korzystać z nauki i naukowców w różny sposób (Znaniński 1984, s. 542 i n., por. też Zawadzki 1975, s. 11–25; Marchel 1983, s. 157–166). Mogą powierzyć im rolę „mędrca-arbitra”, któremu wprost powierzą rozwiązanie problemu, a następnie w praktyce zrealizują ściśle wskazania nauki. Ten „mędrzec-arbiter” swą rolę wykonać może jako „technolog” – na podstawie teoretycznej dać wskazania praktyczne, lub jako „rzeczoznawca” – odpowiadając na pytania teoretyczne (Znaniński 1984). Gdy przyjmuje rolę „technologa”, bierze na siebie część odpowiedzialności za skutki działań rządzących (tamże).

Naukowiec-ekspert powinien być niezależny, a niezależny, jak stwierdził kiedyś S. Ehrlich, to taki, „który nie jest zatrudniony przez instytucje polityczną, nie oczekuje żadnych ubocznych korzyści, nie obawia się wyrazić opinii sprzecznych z sądami lansowanymi przez ośrodek decyzji” (1974, s. 19 i n.). Rządzący, i w ogóle politycy, na ogół jednak nie lubią „ekspertów niezależnych”. To, że najchętniej traktują naukę tak „jak pijak latarnię” i nie szukają w niej światła, a co najwyżej oparcia, nie jest tylko polską specyfiką (Leighton 1949, cyt. za: Ossowski 1983, s. 166). Z drugiej strony politycy powinni być świadomi, że w XXI wieku nie da się skutecznie rządzić, przegłosowując ekspertów i lekceważąc osiągnięcia nauki.

Cytowana literatura

Albrecht H.-J. (2001), *Entwicklungen der Krimimilität, Ursachen und die Rolle der Kriminalpolitik*, (w:) H.J. Hirsch (Hrsg.), *Krise des Strafrechts und der Kriminalwissenschaften*, Duncker & Humblot, Berlin, s. 17–58.

Czapska J. (1997), *Poczucie społecznego zagrożenia przestępczością*, (w:) Błachut J., Czapska J., Widacki J., *Zagrożenie przestępczością*, Instytut Spraw Publicznych, Warszawa–Kraków, s. 21–28.

- Czapska J., Krupiarz W., red. (1999), *Zapobieganie przestępczości w społecznościach lokalnych*, Instytut Spraw Publicznych, Warszawa.
- Czapska J., Widacki J., red. (2000), *Bezpieczeństwo lokalne. Społeczny kontekst prewencji kryminalnej*, Instytut Spraw Publicznych, Warszawa.
- CBOS (2000), *Opinie o polityce karnej i bezpieczeństwie obywateli. Komunikaty z badań*, Warszawa, grudzień.
- Chmaj M., Żmigrodzki M. (1998), *Wprowadzenie do teorii polityki*, Lublin.
- Czochron S. (1788), *Dysertacja o prawie kryminalnym*, Kraków.
- Ehrlich S. (1974), *Sześć tez o ekspertach i o ośrodku decyzji politycznej*, „Prakseologia”, nr 1(49).
- Hołyst B. (1998), *Opinie Polaków o współczesnych zagrożeniach dla kraju i obywateli*, (w:) *Bezpieczny obywatel – bezpieczne państwo*, Widacki J., Czapska J. (red.), Lublin, s. 49–68.
- Kaczmarczyk Z., Leśnodorski B. (1966), *Historia państwa i prawa Polski*, t. II, *Od połowy XV wieku do roku 1795*, Warszawa.
- Konieczna A. (2000), *Bezpieczeństwo publiczne w programach partii politycznych uczestniczących w wyborach parlamentarnych w 1997 roku*, niepubl. praca magisterska, KUL, Lublin.
- Korzeniowski K. (1995), *Alienacja polityczna a demokracja. Analiza psychologiczna*, (w:) *Potoczne wyobrażenia o demokracji. Psychologiczne uwarunkowania i konsekwencje*, J. Reykowski (red.), Warszawa.
- Korzeniowski K. (1994), *Political alienation in Poland in days of systematic transformation*, „Polish Psychological Bulletin”, nr 25.
- Krąpiec M.A. (1998), *Rozumny ład dobra organizującego cywilizację, czyli bezpieczny obywatel – bezpieczne państwo. Refleksje filozofa*, (w:) *Bezpieczny obywatel – bezpieczne państwo*, Widacki J., Czapska J. (red.), Lublin, s. 71–75.
- Kury H., Obergfell-Fuchs J. (1988), *Fear of crime in East and West after the political changes*, (w:) *Bezpieczny obywatel – bezpieczne państwo*, Widacki J., Czapska J. (red.), Lublin, s. 425–446.
- Kury H., Krajewski K. (1995), *Problem lęku przed przestępczością*, „Przegląd Sądowy”, nr 5.
- Leighton A.H. (1949), *Human Relations in a Changing World*, New York.
- Marchel J. (1983), *Rola ekspertyzy naukowej w procesie podejmowania decyzji politycznych*, „Studia Nauk Politycznych”, nr 1–2, s. 157–166.
- Marszałek A. (1997), *Bezpieczeństwo publiczne w programach partii politycznych*, „Rzeczpospolita”, 18 września.
- McClosky H., Schaar J.H. (1965), *Psychological dimensions of anomie*, „American Sociological Review”, nr 30, s. 14–40.
- Misiuk A. (1998), *Społeczne poczucie bezpieczeństwa i czynniki wyznaczające jego poziom*, (w:) *Bezpieczny obywatel – bezpieczne państwo*, Widacki J., Czapska J. (red.), Lublin, s. 37–48.

- Ossowski S. (1986), *O osobliwościach nauk społecznych*, Warszawa.
- Ostrowski T. (1786), *Prawo kryminalne angielskie*, Warszawa.
- Russell B. (1997), *Szkice niepopularne*, Warszawa.
- Schwartz D.C. (1973), *Political Alienation and Political Behavior*, Chicago.
- Widacki J. (1999), *System bezpieczeństwa wewnętrznego – ewolucja struktur i funkcji*, (w:) *Druga fala polskich reform*, Kolarska-Bobińska L. (red.), Instytut Spraw Publicznych, Warszawa, s. 215–248.
- Widacki J. (2000), *Wprowadzenie*, (w:) *Bezpieczne Świętokrzyskie*, Kielce.
- Widacki J. (2000a), *Rewiry dzielnicowych. Przetom czy kolejna zmarnowana szansa na reformę Policji?*, (w:) *Bezpieczeństwo lokalne. Społeczny kontekst prewencji kryminalnej*, Czapska J., Widacki J. (red.), Instytut Spraw Publicznych, Warszawa, s. 128–139.
- Widacki J. (2000b), *Administrator strachu*, „Polityka”, 18 listopada.
- Widacki J., (2001), *Criminality in the Central and Eastern European Countries in the Period of Transformation 1989–1999*, (w:) Widacki J., Mączyński M., Czapska J. (eds.), *Local community, public security. Central and Eastern European Countries under Transformation*, Warszawa, Instytut Spraw Publicznych, s. 13–24.
- Zawadzki S. (1975), *Przyczynek do teorii podejmowania decyzji państwowych*, „Studia Nauk Politycznych”, nr 1 (19), s. 11–25.
- Znaniecki F. (1984), *Społeczne role uczonych*, Warszawa.

[*Mit represyjności albo o znaczeniu prewencji kryminalnej*,
pod red. J. Czapskiej, H. Kury'ego, Kantor Wydawniczy Zakamycze,
Kraków 2002 (Monografie Zakamycza), s. 91–103]

Projekt okładki i stron tytułowych:

Iwona Siwek-Front

Rysunki:

Iwona Siwek-Front

Redaktor prowadzący:

Halina Baszak Jaroń

Korekta redakcyjna:

Kamila Zimnicka-Warchoł

Copyright© by Jan Widacki

Copyright© by Krakowska Szkoła Wyższa im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego
Kraków 2007

ISBN 978-83-89823-03-8

Zadna część tej publikacji nie może być powielana ani magazynowana w sposób umożliwiający ponowne wykorzystanie, ani też rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie za pomocą środków elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniej pisemnej zgody właściciela praw autorskich

Na zlecenie:

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

www.ksw.edu.pl

Wydawca:

Krakowskie Towarzystwo Edukacyjne sp. z o.o. – Oficyna Wydawnicza AFM,
Kraków 2007

Sprzedaż prowadzi:

Księgarnia Krakowskiego Towarzystwa Edukacyjnego sp. z o.o.

Kampus Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

ul. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego 1

30-705 Kraków

tel./fax: (012) 252 45 93

e-mail: ksiegarnia@kte.pl

Łamanie:

Mariusz Front

Druk i oprawa:

Bros s.c.

